WYDANIE SPECJALNE NA ŚWIĘTA – AŻ 132 STRONY



KOLEJNY DODATEK Z CYKLU
BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ

ŻUKOWSKI: O OKRUCIEŃSTWIE POLITYKI

SKWIECIŃSKI: POLSKA WOJNA ELIT

JANECKI: ROSJA OSZALAŁA ZEMSTĄ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 13 (278) 2018
26 marca–2 kwietnia
CENA: 8,90 zł (w tym 8% VAT)

PASJONUJĄCA OPOWIEŚĆ GRZEGORZA GÓRNEGO

TAJEMNICE OSTATNIEJ WIECZERZY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269809 13

Na wiosnę dołącz do Sieci Przyjaciół

Zamów subskrypcję:



na 1 miesiąc

~~19,99 zł~~ **tylko 9,99 zł**



książka o wartości 44,90 zł

na 6 miesięcy

89,99 zł + prezent!

na 12 miesięcy

159,99 zł + prezent!

koszulka RED IS BAD™ o wartości 103 zł



biała lub czarna do wyboru

www.SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl e7b333557f



Uniwersytet czy jaczejka?

Coraz ostrzejszy charakter przybiera aktywność skrajnie lewicowych środowisk, w tym także feministycznych. W ostatnich dniach pikietowały one przed siedzibą biskupów. Nie zabrakło bardzo wulgarnych haseł, pogardy, a nawet agresji. Zapowiadane są kolejne tego typu akcje. Media opozycyjne nie kryją swojego zachwytu, nagłaśniając i komplementując język często wręcz bolszewicki.

Bazą tego typu aktywności coraz częściej stają się uczelnie, w tym uniwersytety. Towarzyszy temu brutalne, choć często ciche i szerzej niezauważalne, wypychanie ze świata akademickiego ludzi podejrzewanych o sympatie konserwatywne. Ofiarą tego zjawiska są przede wszystkim, choć nie tylko, ludzie dopiero próbujący rozpoczynać karierę naukową. Również przestrzeń uniwersytecka zaczyna podlegać cenzurze politycznej poprawności: odwoływane lub blokowane są spotkania z ludźmi reprezentującymi szeroko pojętą prawicę, przy jednoczesnej akceptacji dla ludzi lewicy.

Są to zjawiska globalne, w Polsce, na szczęście wciąż możliwe do odwrócenia. Kierunek jest jednak jasny i niepokojący. Nie ma prostej recepty na powstrzymanie tej faktycznej komunizacji uczelni. Władze publiczne mają ograniczone możliwości, a każde ich działanie może spotkać się z zarzutem cenzury. Ale bierność również nie jest żadnym rozwiązaniem. Likwidacja pluralizmu na uczelniach, uczynienie z nich twierdz lewicy, sprawi, że społeczna zmiana w stylu zapateryzmu stanie się kwestią czasu.

Jacek Karnowski

I będzie pomnik!

Ósma rocznica tragedii smoleńskiej będzie szczególna. Wysiłkiem Komitetu Społecznego Budowy Pomników, którym kieruje premier Jarosław Kaczyński, brat śp. Lecha Kaczyńskiego, udało się zbudować pomnik Ofiar Tragedii Smoleńskiej na placu Piłsudskiego w Warszawie. Monument sfinansowany ze składek społecznych, także dzięki wpłatom czytelników tygodnika „Sieci", ma zostać odsłonięty 10 kwietnia 2018 r.

Dla wszystkich, którzy rozumieli skalę straty, jaką poniosła Polska w tamten straszliwy dzień 2010 r., którzy nie zgodzili się na ofertę ówczesnej władzy, by szybko i haniebnie zapomnieć, będzie to wielkie przeżycie. Wiemy już niestety, że będą próby jego zakłócenia przez bojówki, które od lat atakują obchody smoleńskie. To barbarzyństwo, które trzeba odrzucić.

Tym bardziej obóz patriotyczny powinien zrobić wszystko, by nic innego nie zakłóciło tego dnia. Powinien to być czas modlitwy i wspomnień, podobny w swojej powadze do pierwszych dni żałoby. Pamiętajmy: wkrótce potem przez rozmaite prowokacje tę jedność zniszczono. Dlatego apeluję: wszelkie inne wydarzenia związane z rocznicą tragedii, w tym raporty z prac podkomisji smoleńskiej i prokuratury, powinny być ogłaszane w innym terminie, choćby dzień później. Niech 10 kwietnia 2018 r. będzie dniem skupienia i satysfakcji, że ten pomnik jednak naród polski postawił. Że pamiętamy.

Michał Karnowski

eprasa.pl e7b333557f

SIECI spis treści



42 Pinokio szuka newsa
Krzysztof Feusette



59-74 Dodatek historyczny
Bohaterowie Niepodległej (cz. III)



86 Madagaskar na nas czeka
Tadeusz Brzozowski

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

9 **CZAS WSTAWAĆ**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

12 **NOTORYCZNY PUTIN**
Jan Pietrzak

13 **URZĘDNICY POWINNI ZARABIAĆ WIĘCEJ**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **500+ I DO PRACY**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

WIELKANOC

20 **TAJEMNICE OSTATNIEJ WIECZERZY**
Grzegorz Górny

KRAJ

26 **SAMORZĄDOWY SURWIWAL**
Stanisław Janecki

28 **Z DR. TOMASZEM ŻUKOWSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

33 **PŁOT NIEZGODY**
Wojciech Biedroń

34 **MOŻNA WYGRAĆ I STO BITEW…**
Piotr Skwieciński

37 **Z KACPREM PŁAŻYŃSKIM**
rozmawia Piotr Filipczyk

40 **FABRYKI FAKE NEWSÓW**
Marcin Fijołek

42 **PINOKIO SZUKA NEWSA**
Krzysztof Feusette

46 **ARCHIWUM X ZBIGNIEWA ZIOBRY**
Wojciech Biedroń

49 **ALFABET ANTYPiSU**
Konrad Kołodziejski

52 **Z TADEUSZEM CYMAŃSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

56 **UCISZYĆ DZWONY**
Jan Rokita

NA ŚWIĘTA

75 **ADAM FERENCY. PASJA GRANIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

78 **PUTIN NIE WYBACZA NIGDY**
Stanisław Janecki

82 **TAM, GDZIE WIARA SPOTYKA SIĘ Z ROZUMEM**
Rozmowa Grzegorza Górnego z dr. Patrickiem Theillierem

85 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

86 **MADAGASKAR NA NAS CZEKA**
Tadeusz Brzozowski

89 **PASIKOWSKI PRZEJMUJE „PITBULLA”**
Łukasz Adamski

92 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

94 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

96 **POLECA**
Łukasz Adamski

TRADYCJE

98 **LISTA PRAGNIEŃ**
Krzysztof Logan Tomaszewski

100 **FENIKS I WIDŁAKI**
Przemysław Barszcz

102 **MAZUREK JAK SŁODKI OBRAZEK**
Anna Monicka

104 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

GOSPODARKA

106 **SMOG: JAK WALCZYĆ, BY WYGRAĆ**
Debata tygodnika „Sieci”

NA KONIEC

118 **DWA KOŃCE SYSTEMU**
Piotr Skwieciński

119 **ZATRUTA STUDNIA**
Wojciech Wencel

120 **STOP ILUZJOM**
Dariusz Karłowicz

122 **KWIECIEŃ 1943**
Wojciech Reszczyński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **DZIECIAKI Z BAMBUSEM**
Wiktor Świetlik

125 **NIEŚWIADOMOŚĆ**
Aleksander Nalaskowski

126 **FELIETON TYLKO DLA MĘŻCZYZN**
Robert Mazurek

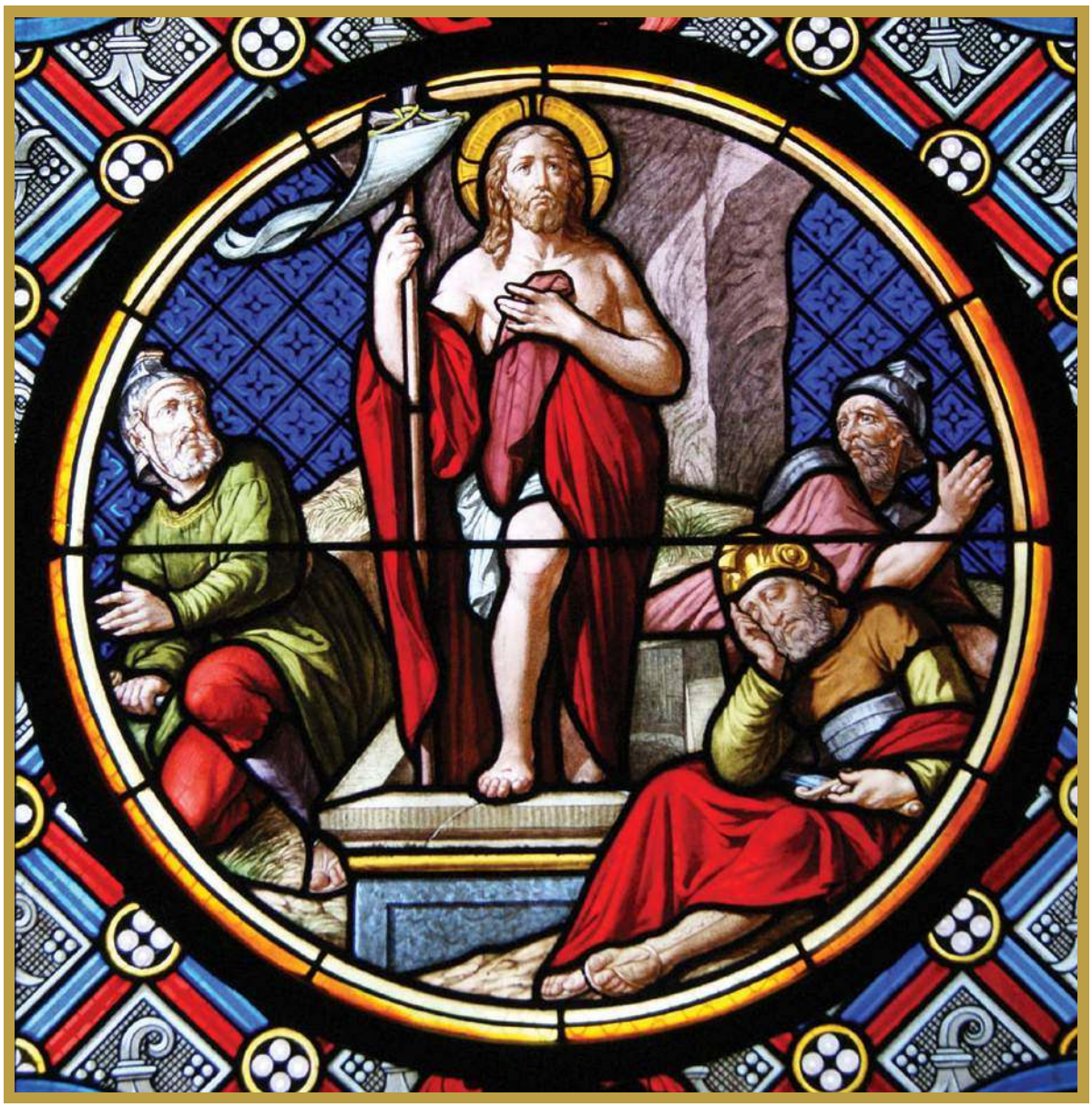
128 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

130 **EKSKLUZJA ZAMIAST DIALOGU**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

36/0218/F

Następny numer tygodnika „Sieci” ukaże się we wtorek, 3 kwietnia

eprasa.pl e7b333557f



Zdrowych i pogodnych Świąt Wielkanocnych,
pełnych wiary, nadziei i miłości.
Pogody w sercu i radości płynącej ze Zmartwychwstania Pańskiego
oraz serdecznych spotkań w gronie rodziny i wśród przyjaciół.

Zarząd, Rada Nadzorcza
oraz Pracownicy Cedrob S.A.

CEDROB

eprasa.pl e7b333557f

Z życia koalicji

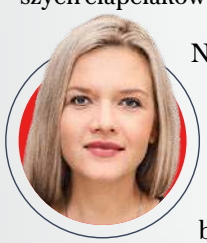


Dzień po wyborach w Rosji w Belwederze spotkanie ***Duda***–Merkel. Czerstwo, drętwo i jak zwykle. Pani kanclerz – zdaniem obserwatora wyglądająca, „jakby ją przepuścili przez wyżymaczkę" – jakoś tam zagaduje o Putina. A Duda na to: „Nie wysyłam mu teraz gratulacji. Wysłałem tydzień przed wyborami". Wszyscy w śmiech. I pytanie, kto Dudzie ten żart wymyślił? Nie, nie przypuszczamy, że sam na to wpadł.

Pisaliśmy tu, że Marcin Mastalerek biega po mediach i powtarza, jak wybitny jest Andrzej Duda. Otóż zostało to dostrzeżone i prezydent publicznie pochwalił pomysł Mastalerka, by z okazji 100-lecia niepodległości przemalować LOT z niebieskiego na biało-czerwony. Niestety nadal niedostrzeżony pozostaje, kluczowy dla Mastalerka, postulat, by dać mu jakąś godną robotę.

A jednak walczy! Patryk Jaki nie poddaje się w walce o Warszawę. Argumentem ostatecznym, którym chce przekonać Prezesa, mają być sondaże, które nie chcą pokazać inaczej – to on ma większe szanse niż Dworczyk. Zresztą, jak na to wszystko patrzymy, to Jaki byłby jedynym facetem w tym wyścigu – Trzaskowskiego włączając – który naprawdę chciałby wygrać. I dlatego mu tego Kaczor nie da.

W ogóle co ważniejsi pisowcy kandydować nie chcą, ale Prezesowi się nie odmawia, więc mogą być zmuszeni. Taką wylęgarnią dla kandydatów na prezydentów miała być komisja od Amber Gold, ale jakoś marnie wyszło. To może trzeba było kogoś sensownego tam wstawiać, a nie najgorszych ciapciaków?



Najlepsza z tego grona jest ***Małgorzata Wassermann*** i dlatego wszyscy pisowcy są pewni, że będzie kandydowała w Krakowie. Niestety panna Małgosia ma jedną wadę – dostanie bęcki. Z sondaży wynika ponoć, że rozkochała w sobie do imentu tylko twardy elektorat PiS. Reszta uważa, że jest antypatyczna i wredna. Czyli taka jak my, dlatego u nas ma plusa.

Z komisji wyszła też rzecznik rządu Joanna Kopcińska, która rękami i nogami zapiera się przed kandydowaniem w Łodzi. Powód ten sam, co u wszystkich innych – nie ma ochoty przegrać z urzędującym prezydentem. PiS niestety nie ma w Łodzi nikogo innego, bo brany jest tam jeszcze pod uwagę wojewoda Rau, ale on przegra jeszcze bardziej dotkliwie. To może wystawcie Waszcza? Jest z Łodzi, ma sporo wolnego czasu i też przegra.

Nową minister Jadźkę Emilewicz jeden z tabloidów przyłapał – tak się teraz nazywają te ustawki – na jeżdżeniu autobusem miejskim i dalejże chwalić panią minister, że taka ekologiczna. My jakoś nie dowierzamy i moglibyśmy napisać, że dziwi nas, iż Jadźka pracuje w MPT i nawet taksówki nie ma, ale to bardzo warszawski żart. Napiszemy więc tak: a może i jeździ? W końcu skąpstwo niejedno ma imię, a pani Jadzia jest z Krakowa.

Segment propagandy w kancelarii premiera powiększył się o nowy departament, na którego czele stanęła Anna Plakwicz (ta z Solvere). Jednocześnie premiera opuszcza ponoć jego bliski współpracownik Tomasz Fil, który idzie do biznesu. O Filu mówiono nam tylko dobrze, więc nic dziwnego, że długo w urzędzie nie wytrzymał.

W dalszym ciągu trwa powszechne darcie łacha z Gowina. Teraz popularna jest akcja „Zaproś Gowina na święta". O rezultatach będziemy informować.



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk

eprasa.pl e7b333

Z życia opozycji



Adam Szłapka to sekretarz generalny Nowoczesnej. Nie bardzo wiemy, po co Nowoczesnej sekretarz generalny, skoro nie ma struktur. Ale skoro już jest, to dobrze, że to Szłapka. Nazwisko sugeruje, że zarządza czymś malutkim, a w każdym razie nie za dużym. Szłapka i jego strukturki.

Plany natomiast Szłapka ma ogromne. Rzucił on pomysł wielkiej koalicji wyborczej całej opozycji, „wszystkich sił, które chcą Polski demokratycznej". Tylko w ten sposób można, zdaniem Szłapki, odsunąć od władzy PiS, które teraz zmierza pewnie po wygraną w wyborach 2019 r. Wizjoner z tego Szłapki. Ale postawmy się w sytuacji takiego Grzecha Schetyny. Po co mu wielka koalicja, skoro kiedy Nowoczesna nie wgramoli się do następnego Sejmu, to już nikt mu – czyli Schetynie – bruździć nie będzie. A potem resztki Nowoczesnej i tak pokornie do PO przyjdą.



Tymczasem Petru Ryszard zawędrował aż do Szczecina (nie zabłądził – szacun) i tam ogłosił, że rozliczy ***Katarzynę Lubnauer***. I to już niedługo, bo po wyborach samorządowych. Petru w swoim niepowtarzalnym stylu zauważył, że Nowoczesną czeka w tych wyborach sukces albo porażka. Naszym zdaniem wybory lokalne będą spektakularną klapą Nowoczesnej. Nie wiemy co prawda, jak to będzie z tym rozliczaniem Lubnauer, ale Petru na pewno będzie mógł się pocieszyć, że nie tylko on partoli wszystko, co jest do spartolenia.



Przy okazji ze smutkiem zauważamy, że inicjatywa polityczna ***pana Ryszarda***, czyli „Plan Petru", tak jakoś zamarła. Szkoda. Wiązaliśmy z nią nadzieje. Odkąd Mateusz Kijowski przycichł, a Królowa Polskiej Komedii Ewa Kopacz zniknęła, mało mamy rozrywek. Bardzo zatem liczymy na pana Ryszarda. Parafrazując jeden z tygodników: „Petru, musisz!".

No, ale Petru nie bardzo ma czas na myślenie o wielkiej polityce, bo biedaczyna ma kłopoty w życiu osobistym. Okazuje się, że mąż ten nawet rozwieść się nie potrafi i jego rozwód utknął na etapie sporów z małżonką o majątek. Przed wyborami Rysiek przeprowadził rozdzielność majątkową, by nie wpisywać do oświadczenia majątkowego Bóg wie jakich milionów. No i teraz żona nie chce się tym rozdzielonym dobytkiem dzielić. Biedny, naprawdę biedny ten człeczyna.

Z rzeczy zabawnych. A może raczej smutnych. Podczas 6. Globalnego Forum Walki z Antysemityzmem w Jerozolimie socjolog Rafał Pankowski przejechał się po ojczyźnie aż miło. Na szczęście Polski przed nim bronił Michael Schudrich, naczelny rabin Polski. Schudrich mówił nawet o antypolonizmie. Natomiast ataki na Polskę nie były w wystąpieniu Pankowskiego najstraszliwsze. Gorsze było to, że pomylił poseł Mazurek z minister Zalewską, co oczywiście my, jako Mazurek i Zalewski, musimy z całą mocą napiętnować! Nie wolno mylić Mazurków z Zalewskimi!



„Każde dziecko wie, że zniszczyliście Polskę" – grzmiał w Sejmie po exposé ministra spraw zagranicznych przewodniczący PO ***Grzegorz Schetyna***. Kurczę, jaki to pech, że dzieci nie mogą głosować. A ci tępi dorośli ciągle chcą głosować na PiS! Głupi, głupi naród!



TYGODNIA

Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Fot. Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor, Andrzej Skwarczyński (x2)

eprasa.pl e7b333557f

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

„Premier mógł wygłosić drugie exposé i uzyskać wotum zaufania. Opozycji by nie było” – powiedział w czwartek rano były spin doktor PiS Marcin Mastalerek, coraz śmielej recenzujący działania partii rządzącej. Premier Morawiecki nie posłuchał, za to posłuchała była premier Beata Szydło. Ni z tego, ni z owego weszła na sejmową trybunę i znów błysnęła swoim największym talentem, czyli umiejętnością przemawiania w taki sposób, że Polacy słyszą, co się do nich mówi.

„To sabotaż wobec premiera Morawieckiego!” – ogłosili niektórzy dobrze wychowani dziennikarze. Że niby to małe, wiosenne exposé miało służyć podkreśleniu różnicy pomiędzy tym, co było, a tym, co jest. No, trochę miało. Ale nie była to samodzielna akcja Beaty Szydło, bo przecież była premier nie jest samobójczynią. Po prostu pani premier ma być teraz mocniejsza, niż była, ale nie oznacza to żadnej rychłej zmiany.

Premier Szydło mówiła o nagrodach, które przyznała swojemu rządowi, stwierdzając: „Otrzymywali nagrodę za ciężką, uczciwą pracę!”. Ale na Nowogrodzkiej decyzja o nagrodach uważana jest (słusznie) za spory błąd byłej premier. Z kolei ludzie jej bliscy przekonują, że cała afera to pułapka, bo w odpowiedzi na interpelację posłów opozycji celowo zsumowano miesięczne nagrody i wyszły duże sumy. To paradoks, że sprawa, która miała pognębić Szydło, bardziej pognębiła nowy rząd.

Po nieudanych pierwszych stu dniach ***premier Mateusz Morawiecki próbuje zacząć od nowa***. Najpierw był tweet-up (spotkanie z internautami i dziennikarzami), a chwilę później celebracja 500+ bez krawata i w otoczeniu dzieci. Wszystko fajnie, elegancko, ale czy stare pomysły mogą dziś pomóc? Generałowie odtwarzający poprzednią wojnę zawsze przegrywają. Premier historyk powinien o tym wiedzieć.

W tle ***nowej odsłony wizerunkowej*** jest nie tylko Solvere, czyli Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, lecz także Michał Lorenc junior, syn znanego kompozytora. Ponoć dziś to naprawdę wpływowa i skuteczna postać dobrej zmiany. Jak przystało na świat muzyki poważnej – również dyskretna i cicha. Choć coraz żywiej debatowana.

Historia wraca również w tym, co złe. „Hej klecho, wyjdź po dobroci”, „Zrozum biskupie, mamy cię w du*ie” – pod takimi hasłami Studencki Komitet Antyfaszystowski protestował przed siedzibą warszawskich biskupów na Miodowej. Forma była nowa: niemal okupacja dziedzińca, przepychanki z policją. Na uniwersytetach wyrasta nam nowe pokolenie agresywnej, wulgarnej bolszewii. Niestety, przy całkowitej bierności prawicy. Jeszcze trochę pośpimy, a nie poznamy swojego kraju. Tak jak Hiszpanie po latach 80.

W kwestiach żydowskich powoli, powoli robiło się ciszej, ale Kornel Morawiecki to twardy zawodnik. „Panowie myślą, że Niemcy ich zaganiali do getta? Nie. Żydzi sami poszli, bo im powiedzieli, że tam będzie enklawa, że nie będą mieli z tymi wstrętnymi Polakami do czynienia” – rzucił w wywiadzie dla „Kultury Liberalnej”. Powtarzamy naszą radę dla całej prawicy: o stosunkach polsko-żydowskich tylko z kartki, nudno, precyzyjnie, a nawet banalnie!

W sprawie sądów ***PiS idzie na ustępstwa*** wobec Brukseli: minister sprawiedliwości będzie mógł odwołać prezesa sądu dopiero po konsultacjach, wiek przechodzenia w stan spoczynku sędziów (kobiet i mężczyzn) ma być zrównany. Planowane jest też opublikowanie zaległych wyroków TK – co z prawnego punktu widzenia niczego istotnego nie zmieni. Gdyby była to cena za pokój z Brukselą, to trzeba stwierdzić, że wyjdziemy z dużej opresji za wyjątkowo niską cenę.

Wojciech Myślecki, naukowiec, były opozycjonista, przyjaciel rodziny Morawieckich, a teraz także nieformalny doradca, w tym samym periodyku rzucił inną tezę: w tym roku będzie ostre starcie między grupą reformatorów a aparatem PiS i albo PiS się zacznie reformować, albo grupa reformatorów zostanie zablokowana i wypchnięta poza struktury PiS. Obawiamy się, że niestety (a może raczej stety) nie da się rządzić w imieniu PiS bez PiS.

„DEPOPULACJA, POLITYKA SENIORALNA, SREBRNA GOSPODARKA – ZROBIMY TO!” – ***grafikę z takim hasłem*** zaprezentowała Nowoczesna. I była to najbardziej wiarygodna obietnica tej partii w całej jej historii. Co jak co, ale niszczyć, zamykać i wypędzać na emigrację to polscy liberałowie umieją. Wszystko oczywiście z miłości do Polski.

Sygnalista



Czas wstawać



KRZYSZTOF FEUSETTE

W baśni Andersena „Nowe szaty cesarza” przypadkowe dziecko z tłumu otwiera oczy pozostałym, wołając, iż pan i władca na krańcu świata jest goły jak święty turecki. Mamy dziś w Polsce sytuację podobną i choć „dzieci” informujących „tłum” jest znacznie więcej, naga prawda o moralności, patriotyzmie i uczciwości tzw. salonu wciąż przebija się z trudem. A przecież wystarczy zdjąć klapki z oczu, by dostrzec to, co oczywiste: wchodząc do Unii Europejskiej, część środowisk opiniotwórczych zrezygnowała nie tylko z polskiej, lecz i własnej suwerenności.

Widać to najmocniej, gdy z cynicznym uśmiechem przeplatanym błagalną histerią zwracają się do przeróżnych unijnych instytucji z prośbą o ingerencję w polskie sprawy. Ba, o sankcje nawet, które – gdyby miały zostać wprowadzone – uderzyłyby w całe społeczeństwo.

Ludzie ci, jak kastowa „Justysia”, najwyraźniej sądzą, że akces do UE pozbawił Polaków prawa do decydowania o samych sobie – na drodze demokratycznych wyborów, wolnych dyskusji, manifestacji „za” lub „przeciw” władzy. Ktoś im wmówił, a zapewne była to Wróżka Mamona, że Polska w chwili wejścia do Unii stała się jej własnością, czytaj: własnością tych, którzy grają w niej pierwsze skrzypce na koncertach w Brukseli, Berlinie i Paryżu.

Zadziwia nie tylko łatwość, z jaką chcąc zachować wpływy i władzę w Polsce, biedacy ci przeszli na stronę niewolników, lecz i ich krótkowzroczność, bo zdają się nie dostrzegać konsekwencji swoich działań. Tej, mianowicie, że kiedy już nadludzkim wysiłkiem osiągną cel i usuną, dzięki interwencjom eurokapłanów, obecną władzę, mafijny mechanizm pozbywania się niewygodnych pozostanie. I wobec jaśnie państwa także może być kiedyś użyty...

Wolne żarty. Wiemy doskonale, i ja, i państwo, że nigdy nie będzie takiej potrzeby. Ludzie ci nie po to chcą wrócić do „koryt”, by choćby cieniem suwerennej decyzji narażać się panom nowej, wspaniałej Europy. Suwerenność osobista, a tym bardziej suwerenność ojczyzny, nie są im do niczego potrzebne. Nie po to łkają dziś pod drzwiami Brukseli, nie po to skamlą o ochłap „zagranicznej interwencji”, by mieli potem zrobić cokolwiek, co naruszałoby interesy tych, których dziś, raz „Help!”, raz „Hilfe!”, wzywają na ratunek. Ratunek – dla ich przekrętów i układzików, dla salonów pełnych amber-złota i kasy z „reprywatyzowanych” kamienic, dla pozycji społecznej utrwalanej przez możnych mocodawców. Ich oferta jest prosta: pomóżcie nam, eurokraci, a my, jak to było w latach 2007–2015, nie piśniemy przeciw wam ani pół słowa. Przyjmiemy imigrantów, cofniemy reformy i programy społeczne, a ten głupi, polski VAT damy radę „rozszczelnić” w dwa tygodnie.

Przede wszystkim zaś – zlikwidujemy IPN. Po co Polsce historia? Człowiek Lis już kilka lat temu przekonywał, że nie ma czegoś takiego jak „pamięć narodowa”, bo „przecież każdy ma swoją pamięć”. Pewnie, że tak – i rodzina ks. Popiełuszki ją ma, i Jerzy Urban, i dzieci rotmistrza Pileckiego, i żony szpicli SB. Nawet tak wielki autorytet jak Władysław Bartoszewski miał „swoją pamięć”, gdy twierdził, że w czasie wojny bardziej bał się sąsiadów Polaków (ciekawe, że nie nazywał ich „rodakami”...) niż hitlerowców. A gdy w maju 2011 r. kilkadziesiąt osób z Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Niewidomych Cywilnych Ofiar Wojny pojechało do Berlina, aby złożyć u kanclerz Niemiec petycję z żądaniem wypłat odszkodowań w wysokości raptem 80 tys. euro dla 190 pozostałych przy życiu bohaterów, patriota Bartoszewski taką miał „pamięć”, że... odmówił im pomocy. Choć bardzo go o nią prosili.

Skończmy więc chować głowy w piasek, do którego załatwiają swe bieżące potrzeby salonowe media z Czerskiej, Wiertniczej i okolic. Przestańmy się samobiczować, że ten lub ów mógł coś napisać delikatniej. Z większą empatią i zrozumieniem dla tych, którzy polską suwerenność znowu chcą oddać komuś spoza Polski. Pamiętajmy, że dla totalsów nie są ważne ani nasza niepodległość, ani nasze wyborcze decyzje, ani tym bardziej sztandary niesione w imię Boga, Honoru, Ojczyzny.

Nie powinniśmy się zatem zżymać na to, że tak wielu, tak niewiele dla Polski znaczących, oburzyło się na słowa prezydenta Andrzeja Dudy, w których przypomniał, iż żadna Unia nie zastąpi nam silnej ojczyzny – bo i pod zaborami bywała „ciepła woda w kranie”. Gniew salonu po tej oczywistej oczywistości dowodzi tylko jednego: część środowisk opiniotwórczych marzy dziś o Polsce będącej wyłącznie jednym z landów zarządzanych prze Unię. Gdyby było inaczej, czy Timmermansowe czirliderki pokroju Róży Thun tak zajadle wywierałyby presję na rząd w Warszawie, by przyjął muzułmańskich imigrantów wbrew woli większości Polaków? Czy Thun naprawdę wierzyła w to, że biednej, syryjskiej rodzinie (zakładając, że nie składałaby się ona z sześciu nastolatków po czterdziestce) będzie lepiej w zapyziałym ośrodku pod Warszawą niż w hojnie dotującym muzułmanów Berlinie? Czy naprawdę chodziło jej o biedne dzieci, czy może raczej o unijnych pasibrzuchów, którzy nie zorientowali się w porę, że mają już za dużo potencjalnych terrorystów w przeliczeniu na metr kwadratowy?

Skoro wtedy ludzie tacy jak Thun mogli kupczyć naszym bezpieczeństwem, plując na suwerenność narodową, ale przede wszystkim swoją własną, nie oszukujmy się, że źle, fałszywie, opacznie zrozumieli teraz słowa Andrzeja Dudy – o wolności, Unii i zaborach. Oni je zrozumieli doskonale. I dlatego wyją.



Fot. Andrzej Wiktor

Niemcy

Pragmatyczna kalkulacja

Choć w relacjach na linii Warszawa–Berlin nie ma co liczyć na radykalny przełom, to wizyta Angeli Merkel przyniosła szansę na nowe otwarcie. Kolejność pierwszych zagranicznych wizyt czwartej kadencji kanclerz została dobrze dobrana: najpierw Francja, potem Polska, by podkreślić znaczenie obu wektorów, wschodniego i zachodniego, w polityce europejskiej Niemiec.

Jest to też powrót do pragmatycznej kalkulacji. Po pierwsze, sytuacja wewnętrzna Niemiec jest mniej stabilna niż wcześniej (formowanie rządu trwało kilka miesięcy), USA wypowiedziały Berlinowi wojnę handlową i kanclerz będzie potrzebowała w tej wojnie sojuszników, a Brexit uderza także w interesy Niemiec. A po drugie, mimo ideologicznych uprzedzeń Berlina wobec rządu PiS Polska jest zbyt dużym krajem zbyt mocno związanym gospodarczo z Niemcami, by móc ją ignorować.

Wizyta kanclerz służyła więc w pierwszej linii do tego, by określić możliwe płaszczyzny porozumienia, bo kwestie sporne są dobrze znane, choćby Nord Stream 2, gdzie nie należy liczyć na kompromis. Minister spraw zagranicznych Heiko Maas podczas wizyty w Polsce wyraźnie zaznaczył, że to projekt „czysto komercyjny".

Do tego dochodzi fakt, że inne kraje wspólnoty europejskiej nie akceptują roli Niemiec i Francji jako „motoru Unii". Plany reform prezydenta Francji Emmanuela Macrona spotkały się z entuzjazmem głównie w krajach południa Europy, ale i to się zapewne zmieni po wyborach parlamentarnych we Włoszech, w których zwyciężyły partie antysystemowe i eurosceptyczne. Tzw. klub Północy – Holandia i kraje skandynawskie – od początku był przeciwny pogłębieniu integracji eurostrefy i uwspólnotowieniu długu. Premier Holandii Mark Rutte ostrzegł Berlin i Paryż przed – jak to określił – „działaniem na własną rękę". Reformy Macrona są zresztą nie na rękę samym Niemcom. Bo są zbyt kosztowne, także politycznie.

Tak więc w Warszawie usłyszeliśmy od kanclerz nie tylko afirmację dobrych relacji z Polską, lecz także, że rząd PiS ma swoje racje i argumenty w sprawie polityki migracyjnej. Merkel dała też wyraźnie do zrozumienia, że zależy jej na jednolitej Unii, czyli wspólnocie 27 państw. Powiedziała ponadto, że Berlin nie jest zainteresowany powiązaniem unijnego budżetu z realizowaniem reguł „praworządności" czy stanowiskami poszczególnych stolic ws. polityki migracyjnej. Zaznaczyła, że ma nadzieję, iż spór z Komisją Europejską wokół reformy sądownictwa w Polsce się niebawem zakończy, bez konieczności głosowania w Radzie UE.

To brzmi optymistycznie, ale nie należy wpadać w entuzjazm. Niemcy kwestię praworządności w Polsce oddelegowały Brukseli, co pozwala im odgrywać rolę dobrego policjanta. Nie jest więc wcale pewne, jak uważają niektórzy, że Berlin przyczyni się do wygaszenia tego sporu. Chęć zakończenia go bez głosowania w Radzie UE może wynikać zwyczajnie z tego, że Polska może zgromadzić mniejszość wystarczającą, by skutecznie zablokować unijną procedurę. Znów: pragmatyczna kalkulacja. A nie prezent dla polskiego rządu.

Sceptycznie należy też podejść do propozycji ożywienia Trójkąta Weimarskiego. Format ten dawno spełnił swoją funkcję, czyli zbliżenia Europy Środkowej do Zachodniej, i nie ma pomysłów, jak wypełnić go nową treścią, tym bardziej że Francja nie wydaje się tym zainteresowana. Polska musi też najpierw określić, jakie cele chciałaby osiągnąć poprzez współpracę z Berlinem i Paryżem.

W skrócie: sporne kwestie pozostają, ale jest szansa na zmianę relacji z Niemcami z czysto defensywnych na ofensywne i konstruktywne. Należy ją wykorzystać.

Aleksandra Rybińska

Wielka Brytania

Sprawa Skripala

Władze brytyjskie są już pewne, że to Rosja stoi za otruciem byłego agenta GRU Siergieja Skripala, do którego doszło 4 marca w Salisbury. Bojowy środek paraliżujący o nazwie nowiczok został prawdopodobnie podrzucony córce Skripala Julii przed wylotem z Moskwy i w jej bagażu (ukryty w dezodorancie lub rozpylony na ubraniach) przedostał się do Wielkiej Brytanii. Ze względu na wyjątkowo silne właściwości toksyczne nowiczoka (0,01 g na kilogram wagi ciała jest dawką śmiertelną) Londyn jest skłonny uznać, że terytorium Zjednoczonego Królestwa zostało zaatakowane bronią masowego rażenia i nakłania Europę do zdecydowanej reakcji. Mówi się m.in. o bojkocie tegorocznego mundialu w Rosji.

Na razie wydalono z Wielkiej Brytanii 23 dyplomatów rosyjskich (można się domyślać, że w większości powiązanych ze służbami specjalnymi). W odwecie Rosja zapowiedziała, oprócz podobnych retorsji, zamknięcie konsulatu brytyjskiego w Petersburgu oraz moskiewskiej placówki British Council. Zachód – jak wynika ze wspólnego komunikatu Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i USA oraz późniejszego, sygnowanego przez Unię Europejską – uznał wprawdzie odpowiedzialność Rosji za zamach (dyplomatycznie określoną jako „wysoce prawdopodobną"), ale nie jest – jak się wydaje – skłonny do poważniejszych kroków odwetowych.

Jeżeli więc przyjąć, że ważnym motywem zamachu na Skripala było przetestowanie przez Moskwę solidarności europejskiej, to Europa – na razie – nie zdała tego testu. A to dla Kremla istotna wiadomość.

Konrad Kołodziejski

Więcej na ten temat na s. 78 i 120

Rosja

„Już was nie szanujemy...”

Margarita Simonian, szefowa i twórczyni używanego za granicą podstawowego propagandowego oręża Kremla, czyli telewizji RT, zatweetowała po wyborach: „Przedtem on (czyli Putin) był po prostu naszym prezydentem i można go było zmienić. A teraz – to nasz wódz. I zmienić go nie damy. I wy sami doprowadziliście do tego własnymi rękami”. Ten tweet stał się popularny na całym świecie, bo został odczytany – i słusznie – jako de facto przyznanie, że wybory w Rosji są fałszowane (bo „obrona wodza” jest wyższą wartością niż demokracja).

Nie zwrócono jednak uwagi na to, że był to tylko jeden z nerwowych tweetów, jakie Simonian wydała z siebie w dzień rosyjskich wyborów. A szkoda. Bo w innym napisała: „i winni jesteście temu wy, „maj western frends”. To wy włączyliście w nas (czyli w Rosjanach) tryb »Rosjanie się nie poddają«” A w jeszcze innym: „My już więcej nie chcemy żyć jak wy. Pięćdziesiąt lat – skrycie i otwarcie – chcieliśmy żyć jak wy, ale dłużej nie chcemy. Już was nie szanujemy. I nikogo, kogo u nas popieracie”.

Te tweety, mimo całej swojej histeryczności i mimo oczywistej propagandowej przesady (twierdzić, jakoby mieszkańcy Federacji nie chcieli żyć jak ludzie Zachodu, może tylko ktoś, kto Rosji po prostu nie zna), mówią coś prawdziwego o nastrojach jeśli nie większości, to sporej części Rosjan: konfrontację z Zachodem pojmują oni jako walkę w obronie ojczyzny, przeciw obcej agresji. I reagują tak, jak reaguje się w takiej sytuacji.

To wielki, może największy sukces Kremla.

Piotr Skwieciński



Fot. East News/Evgeny Sinitsyn Xinhua/eyevine

Słowacja

Koniec postkomunizmu?

Kiedy 26 lutego policja odnalazła ciało zamordowanego Jána Kuciaka i jego narzeczonej, nikt zapewne nie przypuszczał, że będzie to początek politycznego trzęsienia ziemi na Słowacji. Zastrzelony został dziennikarz śledczy, który wielokrotnie pisał o korupcyjnych powiązaniach obozu władzy ze środowiskami mafijnymi i prowadził kolejne dochodzenie w tej sprawie. Zbyt dociekliwego reportera można było usunąć, pozorując nieszczęśliwy wypadek, jednak zabójcy zadbali o to, by nikt nie miał wątpliwości, że dokonali egzekucji.

Śmierć dziennikarza wywołała prawdziwy wstrząs społeczny. Ujawniane przez niego fakty nagle ujrzano w nowym świetle. Okazało się, że za fasadą demokratycznych instytucji panuje oligarchia, a świat polityki przenika się nie tylko ze światem biznesu, lecz również z półświatkiem zorganizowanej przestępczości. Zasłona opadła i z dnia na dzień prymus Europy Środkowej okazał się republiką bananową.

Słowacja, w odróżnieniu od Polski czy Węgier, nie przeżyła symbolicznego końca postkomunizmu. Pępowina z minionym systemem nie została przecięta. Dawni działacze partyjni przemianowali się na socjaldemokratów i stworzyli oligarchiczny układ władzy z wszystkimi jego patologiami. Wiedza na ten temat przez długi czas nie miała szans na ujrzenie światła dziennego, ponieważ wpływy owego układu sięgały także mediów. Ján Kuciak w swej walce z systemem był osamotniony.

Dopiero po jego śmierci tama runęła i nastąpił istny zalew tekstów demaskujących mroczne oblicze tamtejszej polityki. Dziś Słowacy sprawiają wrażenie, jakby nagle się obudzili w innej rzeczywistości niż ta, która była im przez lata przedstawiana w świetle reflektorów. Przypomina to mentalny wstrząs, jaki nastąpił w Polsce w 2002 r. po ujawnieniu afery Rywina czy na Węgrzech w 2006 r. po upublicznieniu nagrań Gyurcsánya.

Masowe protesty, jakie ogarnęły cały kraj, są największe od czasów aksamitnej rewolucji w 1989 r. Władza rzuciła na pożarcie ministra spraw wewnętrznych Roberta Kaliňáka, ale nie uśmierzyło to gniewu ulicy. Do dymisji musiał się podać sam premier Robert Fico, w którego bezpośrednim otoczeniu krążyło wiele podejrzanych figur. Na nowego szefa gabinetu wyznaczony został dotychczasowy wicepremier Peter Pellegrini. Nie wiadomo jednak, czy uspokoi to nastroje społeczne. Demonstranci domagają się bowiem przyspieszonych wyborów. Co ciekawe, prą do tego również siły związane z George'em Sorosem, które mają nadzieję, że nowa władza zmieni swe krytyczne nastawienie do polityki imigracyjnej UE.

Realne zmiany nie nastąpią zapewne z dnia na dzień, jednak obecny system stracił społeczną legitymizację. Gnicie postkomunizmu może potrwać jeszcze parę lat. Od afery Rywina do zwycięstwa PiS czy od skandalu Gyurcsánya do triumfu Fideszu też musiało minąć trochę czasu. Podobnie może być na Słowacji.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Notoryczny Putin



Jan Pietrzak

Wybory prezydenckie w Rosji wygrał jak zwykle prezydent Putin. Oni tam mają gdzieś zakarbowane, że tylko prezydent ma prawo zostać kolejnym prezydentem. Jest w tym jakaś logika. Nie po to wybierali go kilka razy, by w najtrudniejszym momencie kadencji ugiął się pod presją przypadkowych Nawalnych.

Pewnym zaskoczeniem może być skromne 75-procentowe poparcie. Liczono na więcej. Wydawało się niektórym komentatorom, że statystyka będzie bardziej imponująca, w stylu Breżniewa między 89 a 95 proc., ale coś nie wypaliło... Po chemicznej demonstracji siły na brytyjskiej wyspie, tydzień przed wyborami, wyborcy mieli maksymalnie poprzeć zwycięskiego wodza. Nieubłagana ręka imperium dosięgła tam niejakiego Skripala, który dopuścił się czynów niegodnych komsomolca. Kto się dopuszcza, temu Kreml nie odpuszcza. Dzieje się tak nawykowo przed wyborczymi kampaniami, ale też po nich... Reguł nie ma. Tamtejszy elektorat preferuje twarde porachunki.

Był szał po aneksji Krymu. Była euforia po wojnach czeczeńskich. Pisali o tym w książce „Wysadzić Rosję" emigranci Felsztinski i Litwinienko. Felsztinski przeżył pisarski rozgłos. Litwinienkę potraktowano radioaktywnym polonem i nie nacieszył się sukcesem. To było dawno, a – jak wiadomo – w tamtym kręgu kulturowym nieustannie ulepsza się metody eliminacji niewygodnych osobników. Po użyciu polonu zostawały łatwe do odkrycia tropy na mieście, bo radioaktywność trudno wyczyścić. Preparat nowiczok jest dużo wygodniejszy dla sprawców, ślady zostawia wyłącznie w organizmach, a nie na kanapach i krzesłach. Jest gazem paralityczno-drgawkowym. Napracowali się dzielni naukowcy, by stworzyć coś efektywnego, jednocześnie przyjaznego środowisku. Był to rodzaj prezentu dla notorycznego wybrańca na długie lata kolejnych kadencji.

A my tu nad Wisłą ilekroć słyszymy o aktach terroru, mamy przed oczyma smoleńską katastrofę. Wrak samolotu, główny świadek tragedii 96 polskich ofiar, pod tą prezydenturą z pewnością nie zostanie Polsce zwrócony. Tak to ustalił były premier Tusk na molo z...

Wojenne dziewczyny znów w akcji

z Martą Mazurek, Vanessą Aleksander i Aleksandrą Pisulą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Co się u was zmieniło po emisji „Wojennych dziewczyn"?

Aleksandra Pisula: U mnie to, że muszę kupować więcej eleganckich rzeczy. Na takie m.in. okazje jak premiera drugiego sezonu.

Vanessa Aleksander: Dołączyłam do obsady, dopiero zaczynając przygodę z aktorstwem. Zaskoczyło mnie, jak bardzo spotkania na planie wpłynęły na kształtowanie się mojego charakteru.

Jak czujecie się w wojennych strojach i realiach?

A.P.: Mamy świetne zaplecze: kostiumografów, scenografów, operatorów. Pozwalają odtworzyć tamten świat na tyle, że i nam wydaje się realny.

Wojenny czas stawia bohaterki przed dramatycznymi wyborami. Które z nich były najtrudniejsze?

Marta Mazurek: W pierwszym sezonie Irka była młodzieńczo wierna ideałom. Okupacja zweryfikowała jej nastawienie do życia. Prywatne sprawy zmusiły ją do ostatecznych działań.

A.P.: Nie mogę zdradzić, co się wydarzy w życiu Marysi, ale w porównaniu z pierwszym sezonem, w którym co krok ocierała się o śmierć, teraz ma więcej czasu na refleksję.

V.A.: Ewa już wcześniej mierzyła się z krytycznymi sytuacjami: śmierć matki, po raz pierwszy odebrane komuś życie... Dla niej, i dla mnie najtrudniejsze było odnalezienie się w rzeczywistości, w której trudno znaleźć wytłumaczenie dla tego, co się dzieje.

Fot. Adam Jankowski/REPORTER

BRONISŁAW WILDSTEIN

Urzędnicy powinni zarabiać więcej

Nad rządem Mateusza Morawieckiego ciągle wisi sprawa premii, które wypłacił sobie rząd Beaty Szydło. Pieniądze zostały zwrócone, ale nadal stanowią pretekst do ataków na obóz dobrej zmiany. W rzeczywistości gabinet Szydło zrobił dokładnie to, co wszystkie poprzednie władze III RP, które rozumiejąc, że jakiekolwiek podwyżki rządowych czy okołorządowych pensji staną się okazją do populistycznej nagonki, uzupełniał je innymi świadczeniami. Ta narastająca hipokryzja staje się groźna, gdyż uderza w podstawy państwa, a więc dobra nas wszystkich.

Rządzenie i administrowanie to niezwykle odpowiedzialna i ciężka praca, która wymaga poważnych kompetencji. Nie zmieniają tego przypadki takie jak Donald Tusk, którego wolne weekendy – latał na nie co tydzień rządowym samolotem – trwały niemal tyle, co praca, i bez względu na okoliczności znajdował czas, aby pojeździć na nartach w Dolomitach. Wśród prywatnych menedżerów również trafiają się lenie i oszuści, chociaż rzadko udaje się im utrzymać osiem lat na swoim stanowisku.

Posady w biznesie prywatnym, które wymagają chociaż trochę przybliżonego zaangażowania i talentów, co funkcje rządowe, w Polsce opłacane są kilkadziesiąt razy więcej. Na Zachodzie stawki te są jeszcze większe. Ale tam politycy i urzędnicy otrzymują znacznie wyższe uposażenia w proporcji do innych zarobków niż w naszym kraju.

Nie nawołuję, aby zrównać płace w sektorze komercyjnym i polityce. Niemniej nie możemy zgadzać się na niższą jakość kadr państwowych, choćby z tego powodu, że kosztować nas to będzie wielokrotnie więcej niż to, co wydalibyśmy na podwyższenie ich jakości. A więc musimy choćby zbliżyć pensje w administracji i prywatnej przedsiębiorczości.

Ludzie potrafią czasowo poświęcić dobra materialne na rzecz wyższych. Umieją zaangażować się i obniżyć swoje dochody ze względu na wagę działań, które podejmują. Natomiast mało kto wybierze trwałą i radykalną redukcję standardu życiowego swojego i rodziny. W efekcie jakość polskiej administracji jest, jaka jest.

To dodatkowa przyczyna rozbudowywania biurokracji, gdyż jeśli ci, którzy w niej pracują, nie potrafią sprostać swoim zadaniom, to rozwiązaniem wydaje się zwiększenie ich liczby. Na to, w przeciwieństwie do płac, żadnych ograniczeń nie ma. W rzeczywistości powinno być na odwrót. A zwiększanie administracji jest lekarstwem groźniejszym niż choroba, którą ma leczyć.

Polskie prawo pracy wyjątkowo chroni pracownika, i to, biorąc pod uwagę okoliczności, zwłaszcza w sektorze państwowym. Rozbudowuje formalne regulacje, z którymi związane są urzędnicze uposażenia i w efekcie niesłychanie utrudnia budowę zespołów fachowców, którzy powinni realizować państwowe zdaania. Stąd głównie biorą się gabinety polityczne, stanowiących rodzaj bypassów mających podejmować przedsięwzięcia, których administracja rządowa nie jest w stanie zrealizować. Ta praktyka otwiera wyjątkowe pole do nadużyć, do czego zawsze prowadzą próby drobiazgowej regulacji życia, które ludzie tak czy owak potrafią ominąć.

I w ten sposób wikłamy się w błędne koło, bo każdy rząd wie, że podniesienie płac w administracji spowoduje kampanię „Faktu" – a jeśli jest to rząd PiS, to dołączą się do tego prawie wszystkie media prywatne – który zacznie porównywać płacę praczki z Pcimia z pensją ministra i zapytywać retorycznie, czy kobieta owa jest gorszym człowiekiem.

W przestrzeni publicznej pojawił się więc pomysł, aby oficjalnie wszystkie partie zaproponowały podwyżkę uposażeń polityków i administratorów po najbliższych wyborach, bez względu na to, kto w nich zwycięży. Pomysł wydaje się sensowny, ale nierealny. Totalna opozycja nie za bardzo wierzy, aby była w stanie szybko zdobyć władzę, i jedyne, co może, to podkopać rządzącą większość pod hasłem „walki z próbą skoku na pieniądze podatnika". To, że brak owego „skoku" kosztuje podatnika bez porównania więcej, wymaga refleksji, którą łatwo zagłuszyć wołaniem o korycie plus.

Pozostaje więc czekać na odważnych polityków, którzy po wyborach ogłoszą niezbędne zmiany zarówno w uposażeniach polskich administratorów, jak i gruntowną reformę naszego państwa. Gdyż drugą stroną podwyżki powinna być redukcja biurokracji i reforma państwa, która prowadziłaby do jego usprawnienia.



Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Uprzejmie donoszę

Z życia uchodźców. We Florencji mostem Vespucci, rozpiętym nad rzeką Arną, szedł sobie 65-letni Włoch. Znienacka przechodzący obok Senegalczyk opluł go bez powodu. Senior nie był politycznie poprawny, a w dodatku miewał myśli samobójcze. W jego chorej głowie przełożyły się one na nieodparty przymus pójścia do więzienia. Bezpośrednim powodem problemów z psychiką starszego pana były tarapaty finansowe. Wychodząc z domu, wziął z sobą broń i napisał list. Poinformował w nim, że idzie kogoś zabić. Akurat napatoczył się Senegalczyk, który na niego napluł, więc wpakował w niego sześć kul, kładąc imigranta trupem na miejscu. W mieście wybuchł chaos. Ponad 300 Afrykanów demolowało śródmieście miasta pod hasłami walki z rasizmem. Burmistrz miasta Dario Nardella z Partii Demokratycznej, który udał się na demonstrację, by protestować przeciwko ksenofobii, również został opluty i zwymyślany. A Pape Diaw, samozwańczy lider Senegalczyków we Florencji, zagroził Włochom: „Tym razem będzie burdel, zobaczycie! Nie będzie już więcej pokojowych działań. Będzie totalna wojna w tym kraju. Co zrobimy? Nie muszę tego mówić, ale szykujcie się".

Tak to spotkanie się dwóch świrów na moście skończyło się wojną cywilizacji. A wszystko w ramach programu kulturowego ubogacania.

Tymczasem funkcjonariuszka z Czerskiej – Anna Bikont (autorka książki „My z Jedwabnego") – w ramach swojej działalności publicystycznej wydrukowała w największej szwedzkiej gazecie „Dagens Nyheter", w ramach zakrojonej na szeroką skalę za granicą akcji „Uprzejmie donoszę", tekst szkalujący Polskę i Polaków. „Skala antysemickiej fali w dzisiejszej Polsce jest szokująca, nawet dla tego, kto napisał wiele książek o polskiej nienawiści do Żydów. W wielu miejscach na całym świecie obchodzona jest 50. rocznica wydarzeń z 1968 r. W Polsce mieliśmy nie tylko protesty studenckie, lecz także »specjalność domu« – falę antysemityzmu" – dzieli się ze szwedzkimi czytelnikami autorka. „W publicznej telewizji – kontynuuje – żartowano o Żydach w obozach koncentracyjnych. Prawicowe, radykalne strony internetowe prześcigały się wzajemnie w publikowaniu antysemickich tekstów, które brzmią tak, jakby były pisane w latach 50.". By zakończyć zdaniem: „Liczba donosów i mordów na Żydach popełnionych przez Polaków w czasie wojny jest zawrotna". Jak to nazywają na Czerskiej i w okolicach? Aha! Nowoczesny patriotyzm.



Portal Fronda.pl poruszył dość istotny temat w kategorii symboliki. Dotyczy on Polskiego Czerwonego Krzyża. Jak wiadomo, to bardzo stara organizacja mająca na swoim koncie olbrzymie zasługi dla ludzkości. Pierwszy ambulans wyjechał na drogi w 1897 r. i nosił szlachetny znak Czerwonego Krzyża. III RP wprowadziła na nasze karetki inne oznakowanie, tzw. gwiazdę życia. Tworzy ją niebieska runa hagal z laską Eskulapa w środku – symbolem medycyny. Runa hagal nie najlepiej się kojarzy szczególnie kombatantom, albowiem nosiła ją jako swój symbol 6. Dywizja Górska SS „Nord" (6.SS-Gebirgs-Division Nord). Gwoli ścisłości izraelskie karetki ozdobione są czerwoną gwiazdą Dawida, a arabskie półksiężycem w takim samym kolorze. Obydwie organizacje są członkami Międzynarodowej Federacji Towarzystw Czerwonego Krzyża i uzyskały członkostwo, stawiając warunek pozostawienia swoich symboli. Tak to Izrael i inne kraje pokazują, jak walczy się o swoją tradycję. A III RP jak zwykle poszła w tej kwestii w przeciwnym kierunku. Mam nadzieję, że obecna władza przywróci na ambulansach ten chrześcijański znak miłosierdzia, który zdobi karetki pogotowia od końca XIX w.

W Monte Cassino stowarzyszenie miejscowej branży hotelarskiej wraz z niemiecką organizacją spadochroniarzy postanowiło uczcić walczących tam Niemców tablicą honorową. Miała być ona „ostrzeżeniem" i wyrazem „pamięci o ofiarach absurdu i przemocy wojny". Innego zdania był natomiast przewodniczący władz stołecznego regionu Lacjum Nicola Zingaretti. „To niepokojący gest, rana zadana pamięci o wojnie o wyzwolenie" – stwierdził zaniepokojony i oburzony zarazem. Podniósł się szum i ostatecznie głodni zysków lokalni hotelarze (liczyli na większe obroty z niemieckich turystów, których miało przyciągnąć nowe miejsce pamięci) oraz Zielone Diabły (spadochroniarze) odpuścili. Dobrze się stało. W przeciwnym razie musielibyśmy tłumaczyć zagranicznym turystom, pytającym o główną ulicę Sopotu – „Bohaterów Monte Cassino" (popularny Monciak) – o kogo tu tak naprawdę chodzi.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

500+ i do pracy



Marta Kaczyńska

Wprowadzenie programu 500+ zaowocowało wzrostem dzietności Polaków i podwyższeniem komfortu życia wielu rodzin. Dzieci zyskały środki na zaspokojenie podstawowych potrzeb oraz na możliwości rozwoju poprzez udział w dodatkowych zajęciach edukacyjnych, wyjazdy na obozy czy wizyty w teatrach lub kinach, na które wcześniej rodziców nie było stać. Wprowadzenie wolnych od handlu niedziel to także gest skierowany do rodzin, umożliwiający odpoczynek i wspólne spędzenie czasu dla dotychczas pracujących w każdy dzień tygodnia.

Nie wszyscy przedsiębiorcy są jednak zadowoleni z obowiązujących od niedawana prorodzinnych udogodnień, a w szczególności z efektów 500+. Wiele podmiotów prowadzących działalność gospodarczą, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, odnotowuje zmniejszenie liczby zatrudnionych kobiet – matek, które po zyskaniu uprawnienia do otrzymania wsparcia finansowego na drugie i kolejne dziecko bezpowrotnie rezygnują z pracy. Zjawisko spadku zatrudnienia wśród kobiet powoduje niekiedy poważne utrudnienia w prowadzeniu działalności gospodarczej, a zdarza się nawet, że niewielkie przedsiębiorstwa przestają funkcjonować. Wskutek nasilonej w ostatnich 10 latach emigracji ekonomicznej polski biznes boryka się z poważnym problemem niedoboru pracowników w wielu sektorach zatrudnienia. Deficyt częściowo uzupełniany jest przez chętnych do podjęcia pracy na terenie Polski obywateli Ukrainy, jednak tworzone za naszą zachodnią granicą preferencyjne warunki socjalne prędzej czy później poskutkować mogą zwiększeniem absorpcji potencjalnych pracowników właśnie w Niemczech. Pogłoski o pracach Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Pracy w zakresie upowszechnienia umów o pracę poprzez wprowadzenie domniemania umowy o pracę budzą obawy wielu przedsiębiorców o wzrost kosztów wiążących się z nawiązaniem i utrzymywaniem stosunku pracy. Intencją ekspertów przygotowujących nowelizację przepisów jest przede wszystkim poprawa sytuacji pracowników, przy jednoczesnym uelastycznieniu zasad obowiązujących pracodawców. W powszechnym odbiorze słychać jednak przede wszystkim niepokój przedsiębiorców o zwiększenie liczby składek, które będą zmuszeni odprowadzać w związku z ograniczeniem możliwości zawierania umów cywilnoprawnych.

Poświęcenie się przez matkę wyłącznie macierzyństwu w pierwszym okresie życia dziecka jest niewątpliwie korzystną decyzją zarówno dla małego człowieka, jak i jego rodziców. Pozostawanie bez konieczności świadczenia pracy przez dłuższy czas może jednak wpływać niekorzystnie nie tylko na gospodarkę, lecz również na kondycję kobiet. Przeformatowanie roli pań w ostatnich kilkudziesięciu latach spowodowało, że generalnie zasadą jest, iż angażujemy się zawodowo, z mniejszym lub większym powodzeniem godząc swoje obowiązki służbowe z domowymi. Żeby czuć się w pełni spełnionymi, szczęśliwymi, potrzebujemy zdecydowanie więcej wyzwań niż tylko sprawy stricte domowe. Do zachowania zdrowego dystansu do trudności związanych z wychowaniem dzieci, życiem rodzinnym niezbędne są kontakt z innymi ludźmi, zmienność perspektywy widzenia, które zapewnia właśnie posiadanie swojego bardziej lub mniej rozwiniętego życia zawodowego. Pozostawanie wyłącznie w sferze domowej może wpływać na kobietę nawet frustrująco i demobilizująco. A spędzanie całego dnia z nieszczęśliwą i zirytowaną mamą bywa dla dziecka gorszą sytuacją niż krótsze towarzystwo mamy, ale za to czującej się docenioną i usatysfakcjonowaną w sferze zawodowej. Nie wszystkie panie podejmujące decyzję o odejściu z pracy zdają sobie sprawę z konsekwencji swoich wyborów.

Wielu przedsiębiorców borykających się z ubytkiem pracowników – beneficjentów programu 500+ – postuluje wprowadzenie ustawowych regulacji mających na celu zachęcenie matek do pozostawania na dotychczasowych miejscach pracy, nierezygnowania z zatrudnienia. Rozwiązaniem opisanych problemów mogłoby być wprowadzenie odpowiednich ulg podatkowych lub zmniejszenie składek odprowadzanych do ZUS, a także zorganizowanie kampanii społecznej zachęcającej kobiety do aktywności zawodowej.

Nasi dziennikarze wyróżnieni

W rozstrzygniętej właśnie 25. edycji Nagród Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich doceniono również pracę czworga dziennikarzy tygodnika „Sieci", portalu wPolityce.pl i telewizji wPolsce.pl.

Marka Pyzę i Marcina Wikłę wyróżniono w kategorii Nagroda Watergate, obejmującej dziennikarstwo śledcze, za artykuł „Człowiek Moskwy w Warszawie" w tygodniku „Sieci". Autorzy ujawnili w nim kulisy zawarcia w 2010 r. kontraktu gazowego z Rosją, który negocjował ówczesny wicepremier Waldemar Pawlak.

Łukasz Adamski otrzymał wyróżnienie im. Macieja Łukasiewicza (za publikacje na temat współczesnej cywilizacji i kultury oraz popularyzację wiedzy) za tekst „Polska łączy Zachód ze Wschodem" w tygodniku „Sieci". Był to wywiad z odtwórcą roli Jezusa w „Pasji" Mela Gibsona.

Z kolei w kategorii Nagroda im. Janusza Kurtyki (za publikacje o tematyce historycznej) wyróżniony został (wspólnie z Michałem Muzyczukiem) Mikołaj Nowosad za film „Sławik" opowiadający o człowieku, dzięki któremu w trakcie II wojny światowej uratowanych zostało kilkadziesiąt tysięcy ludzkich istnień. Gratulujemy!

eprasa.pl e7b333557f

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Seniorzy chcą za kraty

Seniorzy w Japonii coraz częściej dopuszczają się drobnych kradzieży, by trafić do więzienia, gdzie mogą liczyć na opiekę" – informuje „Rzeczpospolita" za Business-insider.com. Okazuje się, że w japońskich więzieniach co piąty skazany to osoba w starszym wieku, a w przypadku starszych kobiet, które odsiadują wyroki, 9 na 10 trafiło tam za drobne kradzieże. W trakcie trzech ostatnich dekad liczba seniorów mieszkających samotnie zwiększyła się o 600 proc., a co druga starsza osoba przyłapana na kradzieży w sklepie mieszka samotnie – wynika z danych zebranych przez rząd. „40 proc. drobnych złodziei seniorów przyznaje, że nie ma rodziny lub ich rodzina rzadko utrzymuje z nimi kontakt. Dla takich osób pobyt w więzieniu jest atrakcyjną alternatywą samotnego życia na wolności" – czytamy w Business-insider.com. Oby tylko polscy emeryci nie zechcieli skorzystać z japońskich doświadczeń, bo jak się połapią, że można mieć za darmo wikt i opierunek, to budżet państwa może tego nie znieść.



200 mln zł

tyle na wsparcie prac badawczo-rozwojowych nad innowacyjnymi technologiami materiałowymi przeznaczyło Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBR) w ramach II konkursu strategicznego Techmatstrateg. Nabór wniosków ruszy 9 kwietnia.

103 tys.

tyle kobiet z rodzin, które pobierały świadczenie 500+, przestało być aktywnych zawodowo od momentu, gdy zaczęto wypłacać świadczenie.

3,5 tys.

tyle nowych autobusów na paliwa alternatywne ma wyjechać na ulice polskich miast w ciągu 10 lat.

Gu, gu, gu

Niecodzienną historię opisał Wprost.pl. 18-letnia Tori Hart ze stanu Oregon na zachodzie USA ma nietypowe hobby. Dziewczyna, która na co dzień pracuje w fast foodzie, po godzinach zamienia się w dziecko. „Zakłada wtedy pieluchę, przebiera się w śpioszki i włącza bajkę. O swojej przypadłości odpowiedziała w rozmowie z »Daily Mail«" – czytamy na Wprost.pl. To nie wszystko. Tori chętnie ogląda kreskówki, zakłada ogromne śpioszki, gaworzy i pozwala sobie na wybuchy płaczu i złości. A wszystko może śledzić szeroka publiczność, ponieważ dorosła dzidzia publikuje swoje zdjęcia i filmy na Instagramie. Wszystko po to, by jeszcze raz przeżyć dzieciństwo, którego z powodu traumatycznych doświadczeń dziewczyna była podobno pozbawiona. Mieliśmy już kobiety uwięzione w męskich ciałach, byli mężczyźni w ciałach kobiet, był smok uwięziony w człowieku, był mały chłopiec uwięziony w ciele dorosłego, jest i dziewczynka uwięziona w dorosłym. Nowoczesność to nieograniczone możliwości szaleństw. Kto da więcej?

Obrońca zwierząt?

Algierski artysta podpalił żywe kury, a wszystko w obronie praw zwierząt. „Muzeum sztuki nowoczesnej MAC Lyon we Francji usunęło z ekspozycji nagranie algierskiego artysty Adela Abdessemeda" – pisze portal Artnet.com. Wszystko dlatego, że pseudodzieło o nic niemówiącym tytule „Wiosna" było nagraniem, na którym widać, jak zawieszone za nogi kury palone są żywcem. Choć kuratorzy wystawy twierdzili, że wideo powstało z pomocą specjalnych efektów pirotechnicznych i że w trakcie jego powstawania nie ucierpiała ani jedna kura, a ptaki miały się znaleźć w tzw. bezpiecznym ogniu na trzy sekundy, to jednak film wywołał skandal, a obrońcy praw zwierząt oskarżali muzeum o to, że „propaguje tortury wobec zwierząt". Żeby było śmieszniej, twórcy wystawy podkreślali, że algierski „twórca" wielokrotnie wcześniej potępiał okrucieństwo wobec zwierząt, a nagranie „Wiosna" to metafora przemocy i jego negatywnych skutków. Nadążają państwo? Bo to sztuka tak wysoka, że mnie przerasta. Strach pomyśleć, jak ów artysta mógłby walczyć o prawa dzieci.

Ken marzy o dzieciach

Brazylijskiego żywego Kena Rodrigo Alvesa, który przeszedł 60 operacji, by wyglądać jak lalka, już państwo z tej rubryki znają. Powodem, by wrócić do jego historii, jest spotkanie mężczyzny z żywą Barbie. Jak relacjonuje Pudelek.pl, żywy Ken udał się w daleką podróż do Rosji, by w Moskwie spotkać się z prawdziwą Barbie Tatianą Tuzową. Zoperowana do granic możliwości para spotkała się w salonie SPA, gdzie rozmawiali podczas sesji relaksacyjnej. To spotkanie pobudziło Alvesa do pewnej refleksji: „Teraz, gdy skończyłem z operacjami plastycznymi, będę miał więcej czasu na poświęcenie się rodzicielstwu. Naprawdę chcę mieć psa i dzieci. Zdaję sobie sprawę, że moje dzieci nie będą wyglądały tak jak ja, ponieważ poprawiłem swoją urodę 60 operacjami. Jednak gdyby tylko chciały coś zmienić w swoim wyglądzie, będę je wspierać i płacić za ich operacje, tak jak rodzice finansowali moje" – czytamy na plotkarskim portalu. A nie lepiej od razu kupić sobie zestaw lalek? Po co skazywać dzieci na cierpienie?



Nie mam takiej informacji, ale przypuszczam, że tu chodzi o mnie" – odpowiedział prokurator Dariusz Różycki podczas przesłuchania przed komisją zajmującą się aferą Amber Gold. Pytanie, na które odpowiadał, brzmiało: „W notatce ABW jest info, że jeden z prokuratorów kupił po zaniżonej cenie mieszkanie warte 800 tys., a zapłacił 400 tys. Czy wie pan, o którego prokuratora chodzi?". I to byłoby nawet bardzo śmieszne, gdyby nie fakt, że to jest straszne.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock, East News/KAT/Splash News, Tomasz Jastrzebowski/REPORTER

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wara od futbolu



Dominik Zdort

Czy należy zbojkotować mundial w Rosji? Czy przedstawiciele polskich władz nie powinni jechać na mecze mistrzostw? A może także futboliści powinni zostać w domu?

Moja odpowiedź brzmi: w żadnym wypadku. Sport nie może się stać narzędziem represji dyplomatycznej. Można odwoływać ambasadorów, wydalać pracowników ambasad, ograniczać współpracę międzynarodową, ale od futbolu – wara.

Cały urok światowej piłki nożnej polega na tym, że mogą grać z sobą państwa, które bardzo się nie lubią, a nawet takie, które się nie uznają. Członkami FIFA są zarówno Chiny, jak i Tajwan, Izrael i Palestyna, Serbia i Kosowo. A także Rosja i Wielka Brytania.

Ani FIFA, ani kontynentalne federacje piłkarskie nie wtrącają się w sprawy wewnętrzne poszczególnych krajów (tak długo, jak rządy nie wtrącają się w sprawy wewnętrzne związków piłkarskich), nie narzekają na taki czy inny ustrój, nie wytykają braków demokracji, nie krytykują nawet agresji jednych krajów na inne.

Członkiem FIFA były zarówno stalinowski Związek Sowiecki, jak i Hiszpania gen. Franco (choć Hiszpanie na mistrzostwach w roku 1960 r. oddali mecz z Sowietami walkowerem, aby nie grać z państwem komunistycznych „interwentów" z 1936 r.). Skoro jednak nikt nie odmówił gry z Rosją w mundialu w roku 2014 (a było to niedługo po agresji na wschodnią Ukrainę i Krym), to tym bardziej obecnie bojkotowanie mistrzostw świata byłoby niezrozumiałe.

Wyobraźmy sobie jednak, że bojkoty sportowe powrócą do narzędzi współczesnej polityki międzynarodowej. Konsekwencje mogłyby być nawet dość zabawne.

Otóż państwa UE odmówiłyby gry z USA po wprowadzeniu przez prezydenta Trumpa ceł na stal. Dla odmiany Stany Zjednoczone zapowiedziałyby bojkot meczów z Meksykiem, zanim kraj ten nie zapłaci za budowę muru na granicy. Państwa ceniące demokrację nie chciałyby grać już nie tylko z Rosją, lecz także z Białorusią, Kazachstanem, Azerbejdżanem i Tadżykistanem. A kto wie, czy również nie z Chinami... Idąc tym tropem, większość państw unijnych w końcu musiałaby zacząć bojkotować także reprezentację Polski, domagając się od nas zlikwidowania obrzydliwej antydemokratycznej dyktatury, wycofania reformy sądownictwa i wprowadzenia swobody dokonywania aborcji.

Niemożliwe? Mam nadzieję. Ale zanim zacznie się mówić o bojkocie mundialu w Rosji, warto się zastanowić nad konsekwencjami.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Kształt ryby

Lubię rybę. Najlepiej bez ości. Znaczy filet. Widziałem raz jedną babkę w jakimś programie reality TV, która w trakcie zainscenizowanej kolacji, zapytana o to, jaki gatunek ryb lubi najbardziej, odpowiedziała z rozbrajającą szczerością, że filety.

Do ludziofileta z Amazonii zapałała miłością bohaterka nagrodzonego Oscarem filmu „Kształt wody" Guillermo del Toro. Jest początek zimnej wojny, Amerykanie znajdują wodnego stwora, chcą go przebadać w tajnym laboratorium, a tu nagle sprzątaczka niemowa, bum, zakochuje się w oślizgłym ludziofilecie.



Tomasz ***Łysiak***

Zewsząd płyną zachwyty nad dziełem, recenzenci stawiają wysokie noty, a ja muszę się niestety przyznać państwu, że wielkości nie kumam ani nie rozumiem. Może za mało lubię stwory amazońskie? Może nie ten gatunek fileta?

Tak, wstyd przyznać, ale nie nadążam. Jean-Pierre Jeunet, który wpienił się podobno na del Toro za zrzynanie z jego filmów (z „Amelii" czy „Delikatesów") i nawet groził jakimiś sądami (prawda to?), chyba też nie nadąża. Jakby nadążał, toby się nie wściekał.

A może – myślę sobie – tak miało być? Film będący jednym wielkim cytatem ze wszystkiego? Znaczy – film składający się z samych cytatów? Ze „Splasha" (internauci dla jaj wrzucali w sieci zestawienia kolejnych identycznie zrealizowanych scen) i z wielu innych?

Trzeba jednak przyznać, że „Kształt wody" spełnia jedno kryterium oscarowe do bólu. I to na medal. Nie dość, że obraz zrealizowany jest przez Meksykanina, to jeszcze opowiada przez stary schemat „Pięknej i Bestii" o „akceptacji inności", o „tolerancji", o „dostrzeganiu człowieka w przybyszu z oddali" (tu akurat w rybie) itd., itp. A do tego mamy takie smaczki jak scena, w której biały właściciel knajpy wywala Murzynów za drzwi, bo czarni, i chwilę potem jednego z bohaterów za gest w wymowie homoseksualny, mówiąc, że to jest rodzinna firma. No i nie można zapomnieć, że „zły charakter" bije ofiary, a w przerwach cytuje Biblię.

Ale właściwie wobec tego, że w jednej z najnowszych produkcji filmowych świętego Piotra gra czarnoskóry aktor, a są też już afroamerykańscy Achilles i sir Lancelot, to nic nie powinno mnie dziwić. Także zachwyty nad „Kształtem wody".

Mateusz groźny

Yes, yes, yes...!" – jak krzyknąłby były premier Marcinkiewicz, bardziej znany jako eksmałżonek wierszokletki amatorki Izabeli Olchowicz. Podobno „Kaz" nie chce jej płacić alimentów i zalega kilkadziesiąt tysięcy – wyczytałem gdzieś niedawno. Pani Iza twierdzi, że „dla takich jak on jest więzienie". Oj tam, oj tam, różnych mamy znanych alimenciarzy i przekręciarzy, którzy powinni siedzieć w pudle, ale to pryszcze przy tym, co odkrył polskojęzyczny „Fakt" w „Kulturze Liberalnej", która odkryła, z czyjej strony i co naprawdę nam grozi.



Piotr ***Cywiński***

„On może być bardzo niebezpieczny" – huknął w tytule tabloid „made in Germany". On, znaczy Mateusz Morawiecki, przed którym przestrzega były wykładowca szefa polskiego rządu, gdy studiował w Bazylei. „To jeden z naszych najlepszych studentów. Mieliśmy wobec niego wielkie nadzieje, ale to czyniło go potencjalnie bardzo niebezpiecznym. [...] Nigdy nie powiedział niczego, co mogłoby nas skłonić do podejrzeń, że był bardziej przychylny nacjonalistycznemu podejściu, które wykorzystuje UE dla pewnych korzyści, lecz nie wnosi do niej sprawiedliwego wkładu". Co gorsza, unika „zobowiązań, które byłyby sprzeczne z nacjonalistycznym interesem Polski" powiedział Frank Emmert o premierze.

No, zgrozą wieje! Dzięki ci, profesorze! Może to bez znaczenia, skoro „Fakt" nie podał, ale ów wykładowca urodził się w Wiesbaden, dorastał w Bawarii, skończył monachijską Szkołę Prawa, promocję uzyskał w Holandii na Uniwersytecie w Maastricht, profesurę w Estonii, a obecnie jest dyrektorem Centrum Prawa Międzynarodowego i Porównawczego na Indiana University. Czyli Europejczyk i światowiec, za przeproszeniem, pełną gębą. Nie to, co ten nasz „nacjonalistyczny element", kiedyś jeden z najlepszych studentów profesora Emmerta. „Yes, yes, yes...!" – jest demaskatorskie, czołówkowe story o „grze, w jakiej bierze udział Morawiecki". Skądinąd „bardzo mądry człowiek i wie, co robi", co też profesor powiedział, a co, biorąc pod uwagę tytuł w „Fakcie", nabiera szczególnego znaczenia, że przypomnę: „On może być bardzo niebezpieczny"... Podobno ciało ludzkie zawiera 60 proc. wody. Sądząc po objawach zewnętrznych, w niektórych redakcjach umiejscawia się ona głównie w głowach. Ale „Hut ab!", czapki z głów, bo to aż godne podziwu, co potrafią z niej wyczarować.

Wesprzyj budowę pomników

Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. prowadzi zbiórkę publiczną na pokrycie kosztów związanych z powstaniem monumentów.

W skład komitetu wchodzą m.in. prezes PiS Jarosław Kaczyński, bliscy i krewni ofiar tragedii smoleńskiej, premier, wicepremierzy, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz wiele znanych i cenionych postaci życia publicznego.

Od początku wspieramy tę akcję. Mimo że pomniki już powstają, dalej serdecznie zachęcamy naszych Czytelników do finansowego wsparcia tej inicjatywy, której celem jest godne upamiętnienie w sercu Warszawy śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i osób, które towarzyszyły mu w tragicznym locie do Smoleńska.

Poniżej prezentujemy wzór przelewu, za pomocą którego można przekazać pieniądze Społecznemu Komitetowi. Pieniądze można też przelać na podane niżej konto.

Z góry dziękujemy,
Redakcja tygodnika „Sieci”

DOWÓD/POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

nr rachunku odbiorcy: 35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

odbiorca: KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

kwota:

zleceniodawca:

tytułem: DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

stempel dzienny

opłata:

nazwa odbiorcy: KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP

nazwa odbiorcy cd.: LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

nr rachunku odbiorcy: 35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

waluta: WPLN

kwota:

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy c.d.

tytułem: DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA

tytułem cd.: KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

DAR NA BUDOWĘ POMNIKÓW



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL, ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL, PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 129 570 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

FOT. NA OKŁADCE: RENATA SEDMAKOVA / SHUTTERSTOCK.COM

Tajemnice Ostatniej Wieczerzy



eprasa.pl e7b333557f

Jezus w Wieczerniku posłużył się żydowskimi obrzędami i ceremoniami paschalnymi, ale przemienił je i nadał im zupełnie nowy sens. W Starym Testamencie Bóg nakazywał, by Paschę jako ofiarę celebrować po wszystkie czasy. Judaizm rabiniczny odstąpił od tego nakazu. Dziś jest on wypełniany tylko w chrześcijaństwie



Fot. Shutterstock

eprasa.pl/e/70333571



GRZEGORZ GÓRNY

Najważniejsza uczta w dziejach ludzkości odbyła się w Jerozolimie 14. dnia miesiąca nisan roku 3793 według kalendarza żydowskiego. Miała to być kolejna biesiada paschalna, jaką co roku obchodzili pobożni Żydzi. Każdej wiosny bowiem Izraelici na pamiątkę uwolnienia z niewoli egipskiej celebrowali święto Paschy. Jezus z Nazaretu również co roku brał udział w tej uroczystości.

ŻYDOWSKA PASCHA

Pasja, po hebrajsku „pesach", oznacza przejście. Podczas owej pamiętnej nocy, gdy Żydzi uciekali z Egiptu, musieli zjeść upieczonego baranka, a jego krwią pokropić odrzwia i progi swych domów. Jak mówiła Księga Wyjścia: „Spożywać będziecie pośpiesznie, gdyż jest to Pascha na cześć Pana". Domostwa Izraelitów, które zostały owej nocy oznaczone krwią baranka, ocalały od niszczycielskiej plagi. Ucierpiały natomiast siedziby Egipcjan. To ostatecznie spowodowało, że faraon zdecydował się wypuścić Żydów ze swojego kraju. Jak czytamy dalej w Biblii: „Dzień ten będzie dla was dniem pamiętnym i obchodzić go będziecie jako święto dla uczczenia Pana. Po wszystkie pokolenia – na zawsze w tym dniu będziecie obchodzić święto".

Księga Wyjścia precyzowała, że istotą święta Paschy jest przywoływanie dwóch wydarzeń z przeszłości: wyjścia z niewoli egipskiej oraz uczty pod górą Synaj na znak zawarcia przymierza narodu izraelskiego z Bogiem. Pierwsza część to ofiara przypieczętowana krwią, druga – niebiańska uczta, podczas której można oglądać Najwyższego. Ta sama księga biblijna ustanawiała również liturgię paschalną. Jej struktura odtwarzała pierwotny ryt przymierza złożony z dwóch elementów: krwawej ofiary oraz uroczystego posiłku.

Istotną rolę podczas każdej Paschy odgrywał baranek. Ofiara z niego była składana zawsze 14. dnia miesiąca nisan. Zwierzę musiało być bez skazy, tzn. nie mogło być chore ani chrome, co oznaczało niewinność i doskonałość. Zabite powinno było zostać bez łamania kości. Jego krew należało zebrać do specjalnego naczynia, a następnie skropić nią odrzwia i progi domu. Na końcu baranek musiał zostać spożyty przez tych, za których został poświęcony jako ofiara zastępcza. Był to posiłek przeznaczony jedynie dla członków narodu wybranego. Żaden obcy, niebędący Izraelitą, nie mógł uczestniczyć w uczcie paschalnej, która stawała się aktem dziękczynienia za uratowanie życia. Zwyczaj ten miał być powtarzany co roku jako znak pamięci o wybawieniu z niewoli.

Pascha żydowska przez wieki podlegała ewolucji. W czasach Jezusa baranki paschalne ofiarowywane były w Świątyni Jerozolimskiej przez kapłanów z rodu Lewiego. Do Jerozolimy przybywali wówczas na święto Żydzi z różnych stron świata. Wszyscy musieli zabrać zwierzęta do świątyni, a następnie dać je kapłanom, by ci złożyli ofiarę. Józef Flawiusz w „Wojnie żydowskiej" obliczał, że jednego tylko popołudnia poderżnięto tam gardła 265 tys. baranków, przeznaczonych dla ponad 2,7 mln biesiadników. Liturgia wymagała, by krwią skropić ołtarz świątyni. W Misznie, najstarszym dziele judaizmu rabinicznego, zachował się opis, jak kapłani stojąc w rzędach i trzymając w rękach srebrne oraz złote naczynia, napełniali je krwią zwierząt i podawali jeden drugiemu, aż w końcu ten, kto stał najbliżej ołtarza, wylewał zawartość na jego podstawę. Możemy sobie tylko wyobrazić, jak wyglądała kamienna posadzka, po której spływała krew przymierza ponad ćwierci miliona baranków.

Współczesny badacz izraelski prof. Joseph Tabory z Uniwersytetu Bar-Ilan pisze, że „żydowski baranek paschalny w Jerozolimie ofiarowywany był w sposób przypominający ukrzyżowanie". Zwierzę przeszywane było dwoma rożnami. Pierwszy, wykonany najczęściej z drzewa granatu, przechodził od pyska do pośladków, drugi zaś między łopatkami, ułatwiając powieszenie i oprawienie baranka. Izraelici przebywający podczas Paschy w Jeruzalem mogli więc widzieć tysiące „ukrzyżowanych" zwierząt.

Po zburzeniu Świątyni Jerozolimskiej przez wojska rzymskie w roku 70 przestano zabijać na święto baranki. Od tej pory żydowska Pascha straciła swój wymiar ofiarniczy i ograniczyła się jedynie do uroczystej uczty zwanej sederem, która przetrwała do dnia dzisiejszego. Zniszczenie świątyni przez legiony Tytusa spowodowało, że ustał także inny rodzaj kultu ofiarniczego, praktykowany w tamtym miejscu. Chodzi o „chleby pokładne", zwane „chlebami wystawienia", „chlebami ofiarnymi", „chlebami obecności" lub „chlebami oblicza". Pojawiają się one po raz pierwszy w Księdze Wyjścia jako jeden z elementów, który powinien znajdować się – obok Arki Przymierza i Menory – na złotym stole w przenośnej świątyni, czyli „namiocie spotkania". Księga Kapłańska precyzowała, że są one znakiem „wiecznego przymierza" Boga z Izraelem oraz „darem nieustannym", dlatego powinny ciągle przebywać w przybytku.

W czasach Jezusa chleby pokładne przechowywane były na złotym stole w Miejscu Świętym wewnątrz Świątyni Jerozolimskiej. Stanowiły rodzaj bezkrwawej ofiary, po hebrajsku „minhah". Składane były co tydzień, zawsze w szabat, zaś pobożni Żydzi traktowali je jak najwyższą świętość. Trzy razy w roku – w święto Paschy, Tygodni i Namiotów – kapłani wynosili z Miejsca Świętego na zewnątrz złoty stół wraz z chlebami pokładnymi, podnosili je do góry, tak by wszyscy żydowscy pielgrzymi mogli je zobaczyć, i mówili: „Patrzcie, oto miłość Boga do was!". Współczesny biblista izraelski prof. Israel Knohl z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie pisze, iż w ten sposób lewici chcieli umożliwić Żydom wypełnienie przykazania Tory, które mówiło: „Trzy razy w roku ukażą się wszyscy twoi mężczyźni przed obliczem Pana, Boga Izraela". Izraelici wchodząc podczas świąt pielgrzymich do świątyni, śpiewali bowiem zawsze Psalm 42, zwany psalmem wstępowania: „Kiedy przyjdę i ujrzę oblicze Boże?". Oglądając chleby pokładne, mogli więc doświadczyć czegoś w rodzaju publicznej teofanii, czyli aktu objawienia się Boga.



Fot. Shutterstock

CZWARTY KIELICH

W czwartek poprzedzający święto Paschy pamiętnego roku 3793 Jezus przebywał w Betanii nieopodal Jerozolimy w gościnie u Szymona Trędowatego. Wydał wówczas dyspozycje dotyczące zorganizowania wieczornej uczty. Pisze św. Łukasz: „Jezus posłał Piotra i Jana z poleceniem: »Idźcie i przygotujcie nam Paschę, byśmy mogli ją spożyć«. Oni Go zapytali: »Gdzie chcesz, abyśmy ją przygotowali?«. Odpowiedział im: »Oto gdy wejdziecie do miasta, spotka się z wami człowiek niosący dzban wody. Idźcie za nim do domu, do którego wejdzie, i powiedzcie gospodarzowi: 'Nauczyciel pyta cię: Gdzie jest izba, w której mógłbym spożyć Paschę z moimi uczniami?'. Ów zaś wskaże wam salę dużą, usłaną; tam przygotujecie«. Oni poszli, znaleźli [wszystko] tak, jak im powiedział, i przygotowali Paschę". Sala była duża, usłana i znajdowała się na piętrze, jak podaje inny ewangelista – św. Marek. Według starochrześcijańskiej tradycji należała właśnie do jego rodziców.

Uczta paschalna poprzedzona była zawsze kilkugodzinnym postem i koncentrowała się wokół czterech kielichów wina, jakie wznosił główny celebrans, najczęściej ojciec rodziny lub gospodarz domu. Każda wieczerza zaczynała się od nalania wina i zmieszania go z odrobiną wody, a następnie wzniesienia pierwszego kielicha, zwanego „kidusz", czyli kielich uświęcenia. Wypowiadano wówczas słowa: „Błogosławiony jesteś Ty, Panie Boże, Królu wszechświata, który stworzyłeś owoc winnego krzewu". Dopiero wtedy wnoszono na stół potrawy, z których najważniejsze były cztery: placki niekwaszonego chleba, gorzkie zioła, miska z sosem „charoset" oraz pieczeń z baranka paschalnego, zwana po hebrajsku „guf", czyli „ciało". Ojciec rodziny brał gorzkie zioła, maczał je w sosie i zjadał. To samo podawał pozostałym biesiadnikom.

Później przychodził czas na wymieszanie po raz drugi wina z wodą. Był to kielich proklamacji, czyli „haggada". Po nim zawsze następował dialog dzieci z ojcem, który wyjaśniał im sens obchodzonego święta. Potem śpiewano Psalmy 113 i 114, zwane psalmami chwały. Dopiero po tym przystępowano do właściwej wieczerzy: spożycia pieczonego baranka wraz z niekwaszonym chlebem. Podczas niej dochodziło do wzniesienia trzeciego kielicha, zwanego „beracha", czyli błogosławieństwa. Biesiadnicy śpiewali kolejne psalmy chwały: 115, 116, 117 i na końcu finałowy Psalm 118. Po jego odśpiewaniu wypijano czwarty kielich wina, zwany kielichem chwały, po hebrajsku „hallel", i uczta mogła być uznana za zakończoną. Przepisy wyraźnie precyzowały, iż między trzecim a czwartym kielichem nie można było pić wina.

Analiza tekstów ewangelicznych wskazuje, że Chrystus w Wieczerniku nie wychylił czwartego kielicha, lecz po wzniesieniu trzeciego powiedział: „Odtąd nie będę już pił [napoju] z owocu winnego krzewu aż do owego dnia, kiedy pić będę go nowy w królestwie Bożym". Pascha nie została więc skończona. Potem wspólnie z uczniami udał się na Górę Oliwną. Żydowski biblista prof. David Daube uważa, że Jezus celowo wstrzymał się w Wieczerniku z wypiciem czwartego, obowiązkowego kielicha i nie zakończył uczty paschalnej: „Ta część liturgii została odłożona aż do faktycznego nadejścia ostatecznego królestwa".

Już na Górze Oliwnej ogarnięty trwogą Chrystus modlił się do Boga: „Ojcze mój, jeśli to możliwe, niech Mnie ominie ten kielich. Wszakże nie jak Ja chcę, ale jak Ty". Mówiąc o swej śmierci, odwoływał się do kielicha i nie była to tylko metafora, lecz także konkretna czynność rytualna wpisana w liturgię paschalną. Wkrótce potem został pojmany, skazany na śmierć i stracony. W drodze na miejsce egzekucji ani razu nie pił wina, choć skazańcom często dawano wówczas alkohol, by przytępić ich zmysły. Św. Marek pisze, że na Golgocie „dawali Mu wino zaprawione mirrą, lecz On nie przyjął". Z jednej strony zachował więc pełną świadomość w obliczu śmierci, z drugiej zaś wypełniał nakaz prawa, mówiący, iż między trzecim i czwartym kielichem nie wolno było pić żadnego wina.

A jednak tuż przed śmiercią wypił wino. Św. Jan tak opisuje ostatnie chwile Chrystusa na krzyżu: „Potem Jezus świadom, że już wszystko się dokonało, aby się wypełniło Pismo, rzekł: »Pragnę«. Stało tam naczynie pełne octu. Nałożono więc na hizop gąbkę nasączoną octem i do ust Mu podano. A gdy Jezus skosztował octu, rzekł: »Dokonało się!«. I skłoniwszy głowę, oddał ducha".

Izraelici używali wówczas octu winnego, czyli skwaszonego wina. Jeżeli spojrzymy na ów ostatni łyk jak na czwarty kielich, wówczas zrozumiemy, że Jezus tak przeciągnął ucztę paschalną, iż zawarł w niej swoją mękę. Droga Krzyżowa stała się więc częścią Ostatniej Wieczerzy. Dlatego chrześcijańska Eucharystia, która ma swoje korzenie w starotestamentowej liturgii paschalnej, obejmuje zawsze dwa wymiary: ofiary i posiłku.

NOWE PRZYMIERZE

Francuski liturgista o. Louis Bouyer, który porównał żydowskie teksty liturgiczne z najstarszymi modlitwami chrześcijańskimi z I stulecia, skonstatował, że są one niemal identyczne – z jednym tylko wyjątkiem: te drugie zawierają dodatkowe odniesienia do Jezusa wraz z wypowiedzianymi przez Niego słowami przeistoczenia (czyli zamiany chleba w Ciało i wina w Krew). Chrystus posłużył się więc żydowskimi obrzędami i ceremoniami, ale przekształcił je i nadał im nowy sens. Sprawił, że Pascha przestała ogniskować się wokół ciała i krwi baranka, a zaczęła wokół chleba i wina, które przemienił w swoje Ciało i Krew. Nie opowiadał uczniom o dawnym wyzwoleniu z Egiptu, lecz zapowiadał swoją mękę i śmierć. Sam miał się stać ofiarą, nowym barankiem paschalnym, zabitym dla ocalenia ludzi z niewoli grzechów. Na bazie starego przymierza zawarł więc z ludzkością nowe przymierze. Jeszcze tej samej nocy został pojmany, a następnego dnia skazany na śmierć i ukrzyżowany.

Podczas Ostatniej Wieczerzy, już po przemienieniu chleba i wina w swoje Ciało i Krew, Jezus powiedział do apostołów: „To czyńcie na Moją pamiątkę". Słowo „pamiątka", które po hebrajsku brzmiało „zikkaron", miało dla Żydów inne znaczenie niż dla nas. Nie oznaczało upamiętnienia jakiegoś wydarzenia z historii czy subiektywnego wspomnienia, lecz uaktualnienie przeszłości pojmowanej jako obiektywna gwarancja na przyszłość. Z czasem, gdy w Kościele przestali dominować Żydzi, a przeważać zaczęli ludzie wychowani w kulturze helleńskiej, dla których termin „pamiątka" był nieczytelny, zastąpiono go słowem „ofiara". Oznaczało ono jednak to samo wydarzenie, które miało być uobecniane podczas każdej Eucharystii. Dlatego zgodnie z teologią katolicką msza święta jako „zikkaron" wciąż odnawia moment, w którym Jezus umarł i zmartwychwstał dla odkupienia rodzaju ludzkiego.

To pojmowanie Eucharystii, sięgające korzeniami pierwszych pokoleń chrześcijan, celnie oddaje sformułowanie zawarte dziś w Katechizmie Kościoła Katolickiego: „Msza święta jest równocześnie i nierozdzielnie pamiątką ofiarną, w której przedłuża się ofiara krzyża, i świętą ucztą komunii w Ciele i Krwi Pana". Ponieważ jest ona wciąż uobecniana, mają do niej dostęp ludzie wszystkich wieków. Kapłan, który celebruje Eucharystię, występuje „in persona Christi", jedynie użyczając swoich ust i głosu Zbawicielowi.



Fot. Shutterstock

W języku hebrajskim słowo Zbawiciel brzmi „Goel". Termin ten oznaczał dla Izraelitów najbliższego krewnego, który z racji swego pokrewieństwa zobowiązany był przychodzić z pomocą w najtrudniejszych sytuacjach, takich jak niewola czy zagrożenie śmiercią. Niekiedy dobrowolnie stawał się nawet zakładnikiem za swego krewnego, ofiarowując zań swoje życie. Chrześcijaństwo głosi, że przez swą ofiarę Chrystus stał się dla nas takim właśnie Goelem, gdyż uwolnił ludzi z niewoli grzechu i pokazał, że śmierć, nicość i pustka nie są ostatecznym przeznaczeniem człowieka.

Wśród Żydów w I wieku nastąpił rozłam, gdyż jedni przyjęli to przesłanie i uznali Jezusa za oczekiwanego Mesjasza, inni zaś odrzucili Jego misję. Przełomowym momentem stało się zwłaszcza zburzenie Świątyni Jerozolimskiej przez wojska rzymskie w roku 70. Od tego momentu wiara biblijna zaczęła coraz bardziej rozgałęziać się w dwóch kierunkach. Jeden z nich stanowił judaizm rabiniczny, który dokonał zasadniczego przeformułowania religii żydowskiej – bez świątyni, bez kultu i bez kapłanów. Z najważniejszego święta, czyli Paschy, znikł wówczas zupełnie wymiar ofiarniczy, a pozostał jedynie biesiadny. Drugim spadkobiercą wiary biblijnego Izraela stało się natomiast chrześcijaństwo, w którym odnajdujemy pełniejszą kontynuację Paschy – zarówno jako uczty, jak i ofiary. Zamiast krwawej żertwy z baranka i bezkrwawej z chlebów pokładnych ich miejsce na ołtarzu zajęły Ciało i Krew Chrystusa. Pierwsi chrześcijanie nazywali Eucharystię wielkim misterium, do którego nie każdy może być dopuszczony. Po grecku „mysterion" to tajemnica, ponieważ jego istota pozostaje niezgłębiona.

W Starym Testamencie Bóg nakazywał, by Paschę jako ofiarę celebrować po wszystkie czasy. Judaizm rabiniczny odstąpił od tego nakazu. Dziś jest on wypełniany tylko w chrześcijaństwie. Dzieje się to podczas każdej mszy, przypominającej i uobecniającej ową najważniejszą wieczerzę w dziejach, która odbyła się w Jerozolimie 14. dnia miesiąca nisan roku 3793.

2/1217/F

eprasa.pl e7b333557f



Fot. Mat. prasowe

Innowacje to niekończący się proces

Z procesem innowacji wiąże się ciągłe eksperymentowanie, ulepszanie. Trzeba testować różne rozwiązania, aby w końcu wybrać to faktycznie wartościowe dla klienta – o tym, jak Alior Bank podchodzi do wdrażania nowatorskich rozwiązań, opowiada p.o. prezes Zarządu ***Katarzyna Sułkowska***

Alior Bank pozycjonuje się jako bank innowacyjny, nieustannie wprowadzający nowoczesne rozwiązania. Ale czy banki jeszcze zarabiają na innowacjach, jakie wprowadzają, czy też wdrażanie innowacji ma na celu wyłącznie utrzymanie się w stawce?

Katarzyna Sułkowska: Innowacje są stałym elementem zarówno gospodarki w całości, jak i sektora bankowego. Każda innowacja musi przede wszystkim zaspokajać konkretne potrzeby klienta, które przeważnie wynikają z poszukiwania prostoty i wygody. To widać w wielu dziedzinach, choćby w telekomunikacji.

Trzeba też pamiętać, że potrzeby klienta ewoluują. Inne są, gdy jesteśmy młodzi, i inne, kiedy pojawia się rodzina. Wprowadzając innowacje, chcemy na te zmieniające się oczekiwania odpowiedzieć. Dążymy do tego, aby oferować klientom to, co jutro, pojutrze i za miesiąc będzie adekwatne do ich potrzeb.

A jeśli rozwiązanie, na którego pozytywny odbiór liczyliście, okazuje się niewypałem, to wiąże się to ze stratami finansowymi. Rozumiem, że te straty są wliczone w cały proces wdrażania innowacji.

Z procesem innowacji wiąże się ciągłe eksperymentowanie, ulepszanie. To niekończący się proces. Ekonomika innowacji zawsze bierze to pod uwagę. Trzeba testować różne rozwiązania, aby w końcu wybrać to faktycznie wartościowe dla klienta. Jeśli zatem ktoś stawia na innowacje, to musi być świadomy tego, że porażki są stałym elementem procesu ich tworzenia i wdrażania.

Czy jednak banki w ramach wdrażania nowoczesnych rozwiązań nie zaczynają powoli iść w kierunku takiego modelu działania, jaki mają fundusze venture capital, które są zadowolone, kiedy uda się jedna inwestycja na dziesięć?

Filozofia działania venture capital i firm, które pracują nad innowacjami i ich wykorzystaniem, jest zupełnie inna. Dla firm to długoterminowa konieczność, aby utrzymać konkurencyjność, aby odpowiadać na potrzeby klientów i dostarczać najlepsze, najbardziej efektywne produkty. W naszym planie finansowym zawsze jest pewna pula środków, którą przeznaczamy na innowacje. Dzisiaj traktujemy to jako inwestycję, ale nie oczekujemy szybkiego zwrotu. Venture capital dostarcza funduszy na rozwój innowacyjnych firm. Banki często inicjują również tego typu działalność, aby wspierać innowacyjne start-upy i wykorzystywać ich rozwiązania we własnych procesach innowacji.

eprasa.pl e7b333557f



Fot. Shutterstock

PiS postawi w wyborach samorządowych na sejmiki wojewódzkie, PO na duże miasta

Samorządowy surwiwal



STANISŁAW JANECKI

Wszelkie manewry polityczne związane z jesiennymi wyborami samorządowymi na razie można traktować wyłącznie jako demonstrację sił potencjalnych uczestników. Przy czym na obecnym etapie jest to tylko stroszenie piór, co szczególnie uwidacznia się w wypadku koalicyjnego mezaliansu Platformy Obywatelskiej z Nowoczesną. Piszę o mezaliansie, gdyż Grzegorz Schetyna tak traktuje dogadywanie się z Katarzyną Lubnauer.

Wybory samorządowe są w istocie trzema różnymi rodzajami elekcji i pod nie przygotowywane są strategie, przynajmniej gdy chodzi o najważniejsze partie. Wybory są większościowe, bez konieczności przekroczenia 50 proc. głosów, do rad gmin liczących do 20 tys. mieszkańców. Są większościowe, z koniecznością uzyskania więcej niż połowy głosów, w głosowaniu na wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Są proporcjonalne (liczone wedle metody D'Hondta) do rad gmin liczących powyżej 20 tys. mieszkańców, do rad powiatów oraz do sejmików wojewódzkich. Z tego wynikają różne strategie, gdy chodzi o PiS, PO, PSL, Nowoczesną, SLD czy Partię Razem.

SEJMIKI KONTRA MIASTA

Preferencje polityczne czy też partyjne w wyborach proporcjonalnych w największym stopniu pokrywają się z tymi w wyborach parlamentarnych właściwie tylko na poziomie sejmików wojewódzkich. W obecnie działających sejmikach wojewódzkich PO i PiS są największą siłą w pięciu województwach każde, PSL w trzech, w trzech zaś nie ma takiej dominującej siły. To się oczywiście nie pokrywa z wpływem na zarząd województwa, gdyż w zdecydowanej większości rządzą PO z PSL. Ale obecne preferencje wyborcze dają PiS szanse znacznego powiększenia stanu posiadania w sejmikach wojewódzkich (ta partia mogłaby kontrolować 10–14 sejmików).

W wyborach do rad powiatów istotne są tradycyjne podziały, czyli PiS ma znacznie większe szanse w powiatach wschodniej Polski, na Podkarpaciu czy w Małopolsce, PO w zachodniej Polsce i na Pomorzu, PSL w Świętokrzyskiem czy Warmińsko-Mazurskiem, SLD zaś w części zachodniej i centralnej Polski. Podobnie jak w powiatach jest w wyborach do rad gmin liczących ponad 20 tys. mieszkańców. I na tym poziomie preferencje wyborcze wskazują na PiS jako ugrupowanie mogące najwięcej zyskać w wyborach w październiku bądź na początku listopada 2018 r.

Formalnie największe partie chcą wygrać wszystko, ale faktycznie ich szefowie dobrze wiedzą, gdzie mają największe szanse. I z tego punktu widzenia PiS preferuje sejmiki wojewódzkie, zaś PO duże miasta. Kontrola nad sejmikami wojewódzkimi i siłą rzeczy zarządami województw to przede wszystkim panowanie nad dużymi pieniędzmi z Unii Euro-

pejskiej na programy regionalne. Mając kontrolę nad tymi środkami, ma się realną władzę, znacznie większą niż wygrywając w dużych miastach, co jest głównie prestiżowe.

Nieprzypadkowo PO i Nowoczesna porozumiały się tylko w sprawie wyborów do sejmików wojewódzkich, gdyż tam taka koalicja byłaby większą przeciwwagą dla PiS. Ale Katarzyna Lubnauer nie powinna się jednak łudzić, że w sejmikach wiele wytarguje. Poza Warszawą PO i Nowoczesna nie porozumiały się w sprawie wyborów prezydentów miast, gdyż Schetyna uznał, że partia Lubnauer nie wnosi żadnych aktywów. Koalicja tych partii jest więc w zasadzie czysto marketingowa: do społeczeństwa ma trafić komunikat, że opozycja się jednoczy i chce się przeciwstawić PiS. Faktycznie to zjednoczenie jest fikcją i przy pierwszej okazji doświadczony i sprytny Schetyna bezlitośnie ogra naiwną politycznie Lubnauer.

Postawienie przede wszystkim na sejmiki wojewódzkie nie oznacza, że partia Jarosława Kaczyńskiego nie będzie chciała przejąć przynajmniej dwóch–trzech dużych miast (formalnie będzie mowa o kilkunastu, lecz układ sił jest przecież w PiS znany). I paradoksalnie największe szanse PiS ma w Warszawie (w zasięgu są też Kraków, Wrocław, Kielce, Lublin, Radom, Toruń czy Białystok). Przede wszystkim w związku z kompromitującą PO aferą reprywatyzacyjną.

Z kolei PO liczy głównie na Łódź i Poznań, gdyż Wrocław czy Szczecin wymknęły się partii Schetyny już jakiś czas temu, a Warszawa będzie najtrudniejsza do zdobycia od czasu zwycięstwa Lecha Kaczyńskiego w 2002 r. Jeśli w Gdańsku wbrew PO wystartuje Paweł Adamowicz, ma on szanse na wygraną, i to mimo toczących się postępowań prokuratorskich.

W tegorocznych wyborach samorządowych PO będzie w dużych miastach w najtrudniejszej sytuacji od czasu powstania tej partii w 2001 r. Natomiast z PiS może być akurat odwrotnie. A dla obu partii najtrudniejszym przeciwnikiem w miastach będą lokalni liderzy, którzy są silni także bez partyjnego poparcia, np. prezydenci: Katowic – Marcin Krupa, Szczecina – Piotr Krzystek, Gliwic – Zygmunt Frankiewicz, Zabrza – Małgorzata Mańka-Szulik czy Białegostoku – Tadeusz Truskolaski.

Na poziomie rad powiatów i rad gmin liczących powyżej 20 tys. mieszkańców najgroźniejszym przeciwnikiem dla PiS i PO będą lokalne inicjatywy, których z każdymi wyborami przybywa i są coraz silniejsze. Przede wszystkim dlatego, że dominują tam osoby, które uciekły z głównych partii i mają duże doświadczenie organizatorskie oraz w działaniach zakulisowych.

WALKA O ŻYCIE

Mimo zapowiedzi różnych koalicji na wybory samorządowe nie będą one miały większego znaczenia dla samego głosowania, choć zostaną bardzo nagłośnione w kampanii. Każda partia ma inne interesy do załatwienia wyborami samorządowymi (także w obrębie Zjednoczonej Prawicy), dlatego koalicje są z góry skazane na dominację interesów silniejszych.

Te wybory są najważniejszym testem (sondażem) przed wyborami do europarlamentu oraz do Sejmu i Senatu (w 2019 r.), a tam żadne koalicje ani zjednoczenia nie będą istotne. Najważniejsze partie opozycyjne będą walczyć o życie, więc na własny rachunek. Wiedzą o tym dobrze liderzy PSL i SLD, a nawet Partii Razem, dlatego już przed wyborami samorządowymi nie chcą wchodzić w żadne koalicje. W istocie takie koalicje mogą być pocałunkiem śmierci dla mniejszych ugrupowań, które do wyborów do Sejmu i Senatu po prostu nie dotrwają. I zdaje się, że tylko Nowoczesna pod wodzą Katarzyny Lubnauer tego niebezpieczeństwa nie dostrzega. A zauważa je odsunięty lider Ryszard Petru. W gruncie rzeczy ogłoszona już koalicja PO z Nowoczesną w sejmikach wojewódzkich polega przecież na tym, że Schetyna i PO chcą wchłonąć i skasować Nowoczesną, tak żeby po stronie opozycyjnej mieć jak najmniej rywali w wyborach parlamentarnych. Wybory samorządowe będą więc swego rodzaju surwiwalem dla mniejszych ugrupowań opozycyjnych. W wyborach do europarlamentu słabsze ugrupowania mają generalnie wiatr w oczy i małe szanse na wprowadzenie swoich ludzi do Brukseli i Strasburga.

Mimo różnych konfliktów, o których zresztą wyborcy mało wiedzą, jedyną realną koalicją jest ta w obrębie Zjednoczonej Prawicy, co daje jej przewagę. Ta koalicja jest elementem trwałym, choć i Porozumienie Jarosława Gowina, i Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry będą w wyborach samorządowych chciały zademonstrować swoją ważność i wyjątkowość w koalicji. Innymi słowy, będą chciały się wzmocnić. Pewnie dlatego oba mniejsze ugrupowania Zjednoczonej Prawicy chcą mieć w niektórych gminach, powiatach czy miejscowościach decydujący głos, czyli stworzyć własne enklawy, w których zamierzają potwierdzić swoje wpływy i siłę, a potem zdyskontować to przy układaniu list przed wyborami do europarlamentu oraz do Sejmu i Senatu. Tworzenie takich enklaw może być źródłem konfliktów, szczególnie gdy Porozumienie i Solidarna Polska będą chciały forsować kandydatów uważanych w PiS za renegatów bądź uciekinierów z PO i Nowoczesnej – motywowanych koniunkturalnie.

Kampania wyborcza oraz same wybory samorządowe zmienią polską scenę polityczną, co wpłynie na wynik wyborów do PE oraz do Sejmu i Senatu. Z punktu widzenia PiS i PO mają osłabić mniejsze ugrupowania. I kampania, i wybory są jednak traktowane głównie jako poligon wyborczy. Jakikolwiek wynik sprzeczny z preferencjami ujawnianymi w kolejnych sondażach będzie wykorzystywany do lewarowania pozycji, szczególnie w wypadku partii opozycyjnych. One potrzebują jakiegokolwiek sukcesu potwierdzającego, że ich realna pozycja jest lepsza niż sondażowa. I taki sukces, jeśli nastąpi, będzie wynoszony pod niebiosa. Na tym będzie budowana narracja o odzyskiwaniu pola, o tym, że PiS ma z kim przegrać. Na tym będzie budowana mobilizacja przed wyborami do europarlamentu (najpewniej w maju 2019 r.) oraz do Sejmu i Senatu (prawdopodobnie w listopadzie 2019 r.).

Szczególne miejsce w tej konfrontacji przypadnie Warszawie, gdyż wygrana w stolicy będzie najłatwiejsza do zdyskontowania. Dlatego stołeczne wybory mają podobne znaczenie jak te w 2002 r., gdy Lech Kaczyński przełamał dotychczasowy lewicowo-liberalny monopol. Innymi słowy, wybory samorządowe w 2018 r. to znacznie ważniejsza sprawa, niż mogłoby się wydawać i bywało w poprzednich latach.

Polityka to walka inteligentnych ludzi o to, co ważne

Trzeba utrzymać kierunek realizowany od serii wyborów z 2015 r. Ale też zrewitalizować go, napełnić nowymi pomysłami

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z dr. Tomaszem Żukowskim, politologiem i socjologiem, wykładowcą akademickim, doradcą śp. prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego



Fot. Andrzej Wiktor

Polityka bywa okrutna?

Tomasz Żukowski: Polityka jest zawsze okrutna, choć – szczęśliwie – nie zawsze krwawa. Jest jedną z najbardziej okrutnych dziedzin życia społecznego.

Dlaczego?

To taka gra, w której trzeba grać ludźmi, używać ich jako pionki lub figury w swych strategiach oraz doraźnej taktyce. Dla każdego polityka człowiek jest oczywiście (a przynajmniej powinien być) podmiotem, ale też – nieuchronnie – przedmiotem. Polityk jest podobny do generała na wojnie: musi poświęcać jednych (także swych ulubionych, najdzielniejszych pułkowników), by dać innym (również ciurom z taboru) zwycięstwo. Musi wygrać, by rządzić (to wegetatywna funkcja polityki), czasem z pożytkiem dla wszystkich (to trudny do osiągnięcia cel zależny od inwencji i intencji partyjnych liderów).

By to zrozumieć, wystarczy przeczytać trzech autorów – teoretyków dyscypliny, którą nazwać dziś można „stosowanymi naukami politycznymi": Machiavellego, Szekspira i Kapuścińskiego. Jego „Cesarz" to dzieło – co wiemy dzięki Arturowi Domosławskiemu – w dużej mierze wymyślone, ale opowiedziane naprawdę genialnie.

Studentom mówię o tym tak: społeczeństwo demokratyczne przypomina autobus, w którym trwa walka o to, kto obejmie kierownicę, i o to, by pozostali to zaakceptowali i zgodzili się na wybrany kierunek jazdy. To naprawdę bardzo trudna sztuka. Pominięci mogą przecież wyrywać kierownicę, prowadząc do wypadku. Ktoś może wreszcie – na oczach telewizji z całego świata – rzucić się pod koła z okrzykiem „demokracja!". I jak w takich warunkach ruszyć z miejsca?

Pan by nie chciał być politykiem? Nigdy taka myśl nie przeszła panu przez głowę?

Nie. Po pierwsze, mam zdecydowanie zbyt cienką skórę. Polityka to gra nie tylko dla inteligentnych z inwencją, lecz także dla najtwardszych z twardych, osób łatwo ścierających ze swej twarzy ślinę wrogów i... politycznych przyjaciół. Po drugie, przez długie lata swej publicznej aktywności opanowałem poprawnie tylko jeden poziom narracji: starać się mówić prawdę. A dobry polityk, znając prawdę, musi umieć ją zniekształcić (czasami jej zaprzeczyć) w kilku wersjach: tych dla swoich i tych nie swoich. Stąd kariera PR-owców.

Po paru dekadach doradzania „ludziom panny »S«" (dziś „pani »S« – „kobiety po przejściach") wiem też, że ciągle zaganiani (kilkanaście godzin dziennie siedem dni w tygodniu) politycy mogą czytać co najwyżej kilkukartkowe streszczenia i wyciągi. Chyba tylko Jarosław Kaczyński jest tu wyjątkiem, a i to bardziej w okresach, gdy nie sprawuje władzy. A ja – inteligent – „słoik" (z racji wieku raczej „wek") nie umiem żyć bez książek, tygodników (wszystkich opcji), weekendowych dodatków do gazet, naukowych konferencji, książek, długich rozmów z ekspertami. Takich ekstrawaganckich oczekiwań z polityką pogodzić się nie da.

No i sformułował pan kiedyś trzy zasady Żukowskiego dotyczące ornitologów-politologów. Przypomnijmy.

Chętnie, tym bardziej że doskonale się sprawdzają. Po pierwsze, ornitolodzy nie fruwają, a politolodzy nie umieją uprawiać polityki. Po drugie, jeśli spróbują jednak fruwać, to zostaną zadziobani (wbrew powszechnemu przekonaniu nie dlatego, że są za dobrzy: przeciwnie – są zbyt „słabi w dziobankach"). I po trzecie, jeśli jakiś ornitolog-doradca szczęśliwie podfrunie i przeżyje próby zadziobania, to znaczy, że nie jest już doradcą. Jest ptakiem, członkiem któregoś z ptasich partyjnych stad. Stąd dodatkowe, czwarte prawo Żukowskiego: sukcesem ornitologa-praktyka nie są osobiste, udane loty, ale pomaganie ptakom w jak najwyższym wzbiciu się ku niebu.

Zjednoczona Prawica dobrze fruwa?

Nieźle, coraz lepiej. Na razie trzyma kurs. No i – co najważniejsze – jest ciągle (mówimy o tym w czwartkowe popołudnie 22 marca) zdolna do ciągłej rewitalizacji, odnawiania przywództwa. Choćby poprzez przełamywanie marazmu, uruchamianie „cywilizowanej konkurencji na górze", by „na dole" formacji był spokój.

Obozowi rządzącemu nie grozi demobilizacja?

Oczywiście grozi. To największe zagrożenie. Liderzy formacji powinni ciągle przypominać sobie o siedmiu grzechach głównych. Pierwszy z nich to nieprzypadkowo pycha. Kolejne – w Wielkim Tygodniu warto to sobie powtórzyć – to chciwość (władzy, kasy, medialnej popularności), nieczystość, zazdrość, nieumiarkowanie (nie tylko w jedzeniu), gniew, lenistwo. Śmiertelnie groźne jest przekonanie, że wygrało się na bardzo długo, nawet na zawsze, ostatecznie. Tak naprawdę wygrywa się każdego dnia, każdą decyzją. Przegrywa się też codziennie: błędem i zaniechaniem.

Odradzałbym rządzącym radykalne zwroty: czy to ku miękkiemu centrum, czy to ku twardej prawicy. To naturalne, że takie pokusy pojawiają się przy zmęczeniu, po zakończeniu pewnego etapu działań, a przed doprecyzowaniem kolejnego. W obecnej sytuacji międzynarodowej Polski nie wolno jednak dać się takim pokusom porwać.

Czyli co trzeba zrobić?

Utrzymać polityczny kierunek realizowany – przy wszystkich fluktuacjach – od serii wyborów z roku 2015. Ale też zrewitalizować go, odświeżyć, napełnić nowymi pomysłami.

Co chwila przechodzą nad Polską jakieś burze, huragany. Dlaczego budzimy takie emocje?

Bo wybijamy się na podmiotowość. Inni (używając naszej metafory: najważniejsze ptaki w Europie i poza nią) to wcześniej czy później zauważyli, i reagują.

Jak by pan podsumował spór polsko-izraelski o prawdę o postawie Polaków w czasie II wojny światowej? Dlaczego wybuchł? Tak nagle? I od razu w tak wysokiej temperaturze?

Ten wybuch był chyba nieuchronny. Kluczowa była sytuacja wewnętrzna w Izraelu, gdzie rok przed upływem kadencji Knesetu toczy się bardzo brutalna walka o władzę. W tej

grze biorą udział trzy środowiska. Pierwszym jest rządząca (jeszcze) prawica, czyli Likud premiera Beniamina Netanjahu, na którym ciążą poważne zarzuty korupcyjne. To z kolei zmusza go do szukania innych tematów, które pozwolą mu odwrócić uwagę opinii publicznej. Najważniejszy z tych tematów jest na serio: to potencjalnie skrajne zagrożenie bezpieczeństwa Izraela ze strony Hamasu (i nie tylko). Drugim środowiskiem jest lewica, osłabiona w ostatnich latach, choć najczęściej i najdłużej rządząca Izraelem. I wreszcie trzecia siła, nowe centrum firmowane przez Yaira Lapida.

To ten celebryta?

Szukając porównania z polską sceną polityczną, można powiedzieć, że to postać będąca połączeniem Tomasza Lisa z końca roku 2004 z Ryszardem Petru.

Obecnym?

Nie, tym sprzed paru lat, „młodym", gdy on i jego formacja byli na fali. Partia Lapida Jest Przyszłość (Jesz Atid) zaczęła wyprzedzać w sondażach przeważający wcześniej Likud. Hasła Jesz Atid to świeckość, ograniczenia przywilejów Żydów religijnych, nowoczesność (kosztem tradycji).

Przy okazji: wiemy, że prowadził pan kiedyś negocjacje polityczne z Ryszardem Petru?

Tak. Choć wtedy nie przewodził żadnej partii [lekki uśmiech]. W 1997 r. byłem – nazwijmy to – „sekretarzem merytorycznym" Akcji Wyborczej Solidarność, współodpowiedzialnym wraz ze swym odpowiednikiem za redagowanie umowy koalicyjnej z Unią Wolności, ówczesną partią Leszka Balcerowicza. Mym odpowiednikiem z UW był właśnie pan Ryszard. Ciągle dzwonił do swego szefa i intelektualnego guru po instrukcje. Ja jako współautor programu wyborczego AWS (wraz z Czesławem Bieleckim, Jerzym Buzkiem, trochę Tomkiem Tywonkiem) miałem większą swobodę. No i miałem już dokładnie 40 lat.

Petru był oczywiście młodszy. Czy był też zdolny i dobrze się zapowiadający?

Zapowiadał się nieźle. Miał wtedy 25 lat, dokładnie tyle samo, ile Bartłomiej Misiewicz w momencie, gdy zostawał dwa lata temu szefem gabinetu politycznego oraz rzecznikiem Ministerstwa Obrony Narodowej.

Te postaci można porównywać?

Nie moja to rola. Mogę tylko powiedzieć, że wtedy Petru był ulubionym uczniem Balcerowicza, a niespełna dwie dekady później – twórcą partii-zemsty Balcerowicza na Tusku za Otwarte Fundusze Emerytalne. Dzisiaj, gdy pytają Balcerowicza o Petru, ten odpowiada: „Miałem wielu uczniów".

Wróćmy do Izraela, gdzie naszym Petru jest ich Lapid.

Wszystko się zaczęło, gdy Lapid – zabiegając o pozyskanie centroprawicowego elektoratu raczej niechętnego Polakom – zaatakował naszą nowelizację IPN. Zaczęła się wewnątrzknesetowa licytacja, kto uderzy mocniej. Efekty widzieliśmy.

Czy w ogóle mieliśmy szansę w Polsce wyłapać, że ta ustawa może trafić na taki grunt? Że spokojna intencja zastopowania przypisywania Polsce zbrodni niemieckich spotka się z takim kontratakiem, i to z tej właśnie strony?

Nie. Dlaczego? Tu dochodzimy do drugiego, głębszego (i ważniejszego) wymiaru tej sprawy. Mam tu na myśli głębokie różnice pomiędzy Izraelczykami znad Morza Śródziemnego, którzy – aby przetrwać – muszą być silnym państwem z silnymi korzeniami (w tym kultywowaną religijnością), akceptującymi swą sefardyjską część, a amerykańskimi Żydami z Nowego Jorku (znad Atlantyku), także tym z Budapesztu. Ci myślą o pieniądzach, akcjach, wpływach w systemie finansowym. Odwołując się do aszkenazyjskiej tradycji, szukają otwarcia na nową lewicę, czasem starają się ją – zgodnie ze swoimi cywilizacyjnymi wizjami – budować. Dla Izraela najgroźniejsze są dziś dwie sprawy: Iran i Syria. Pierwsza jako ewentualny dostawca nowoczesnych rakiet, druga – jako szlak ich dostarczenia w pobliże Jerozolimy.

> Spory ostatnich lat i miesięcy wiążą się z pytaniem: gdzie będą zapadały decyzje o Polsce – tutaj czy na zewnątrz? W historii to kluczowa kwestia od czasów Łokietka, który wywalczył podmiotowość. To rozpoczęło naszą zachodnią, choć autonomiczną wobec Europy Zachodniej, ścieżkę rozwojową

I tutaj dochodzimy do USA, które za prezydentury Baracka Obamy popełniły fatalny błąd, najpierw wspierając arabską wiosnę, a później zostawiając sprawy samym sobie. W efekcie miasta syryjskie przypominają dziś Warszawę ze stycznia 1945 r. W to miejsce weszli Rosjanie.

Z pozoru był to ruch absurdalny.

Tylko z pozoru. Musimy pamiętać, że Rosja ma nieprzerwane tradycje myślenia imperialnego. I skutecznej, imperialnej, światowej gry. Potrzebną do tego infrastrukturę na Zachodzie mieli już pod koniec XVIII w. Metody też nie były specjalnie inne niż dzisiaj: kupowanie wpływów, korumpowanie zachodnich elit, straszak siły militarnej. Nie wiem, czy panowie wiedzą, ale w wieku XIX powszechnym zwyczajem były „nieoficjalne" dotacje rosyjskie dla poważnych gazet paryskich.

Co dało Rosji wejście do Syrii?

Nacisk na Izrael. Od tej chwili również od Putina zależy, czy Izrael będzie się czuł bezpieczny od zagrożenia rakie-



Fot. Andrzej Wiktor

tami Hamasu. Co jeszcze ważniejsze (długofalowo być może nawet rozstrzygające), wpływy rosyjskie w Izraelu mają swoje drugie źródło. To coraz większy napływ postsowieckich Żydów. Znaczenie tego procesu rośnie, ze względu na specyfikę systemu politycznego Izraela (ordynacja!). Partia Awigdora Liebermana staje się (gdy pominiemy Arabów) języczkiem u wagi. Już niedługo to od niej może trwale zależeć, kto będzie rządził w Tel Awiwie. Z tego względu, próbując wyprzedzić trend, Netanjahu poszerzył o ich ugrupowanie swą koalicję, chociaż nie musiał. No i co im dał? Obronę i Strategię Migracji! Równoważy to tylko jego szefowanie MSZ.

Sugeruje pan, że w tym konflikcie grają rolę wpływy rosyjskie?

Oczywiście. Musimy pamiętać, że w interesie Rosji jest osłabienie sojuszu polsko-amerykańskiego i zablokowanie inicjatywy Trójmorza. Sukces planu budowy infrastruktury Północ–Południe wraz z portem lotniczym w Baranowie unieważnia wielkie marzenie Putina: „Wielką Europę" zarządzaną z Moskwy i Berlina. Stąd budowanie wizerunku Polski i innych krajów regionu już nie jako państw słabych, „niepoważnych", ale „niepokojących", bo „faszystowskich", oczywiście na kontrze z „antyfaszystowską" Rosją – spadkobierczynią ZSRS – oraz „prawdziwie demokratycznymi" siłami Europy aprobującymi Nord Stream. Zapasowy kij to prorosyjska, nacjonalistyczna (i antyukraińska) prawica. Marchewką jest oferta zdjęcia „narracyjnej anatemy" w zamian za międzynarodową przyjaźń (a przynajmniej wspólne, uzależniające mniejszego interesy).

Jaki jest bilans tej sprawy? Przegraliśmy całkowicie?

Ależ skąd! Pierwsze starcie – do czego przyczyniły się skuteczne szarże naszych internetowych zagończyków na oficjalne strony MSZ Izraela i Departamentu Stanu USA – raczej wygraliśmy. Wbrew wyjściowym żądaniom Lapida i „NYT" oraz pogróżkom Netanjahu nie doszło do obniżenia rangi stosunków dyplomatycznych ani wycofania ambasadora. Doszło do spotkania grup eksperckich, konsekwentnie bronimy naszego stanowiska: zaczynamy poważnie chronić naszą tożsamość, bo jesteśmy tak samo podmiotowi jak Izraelczycy. Izrael wprowadził karę pięciu lat za podważanie prawdy o losie Żydów w czasie II wojny światowej, my zaproponowaliśmy trzy lata. Mniej, bo trauma naszych wielusetletnich sąsiadów jest większa, gdyż doświadczyli biologicznej eksterminacji. Nas „niemieccy naziści" odłożyli – wystarczy przeczytać Generalplan Ost – na później, po wygranej wojnie.

Ale na nas spadła lawina! Ta krytyka, że przecież nasza nowelizacja i tak nie będzie działać na całym świecie...

Jeśli Warszawa dogada się z Jerozolimą (także taka jest stawka tych negocjacji), obrona Polski przed zniesławieniami będzie działać. Bo to się nie rozstrzyga na poziomie sądów, ale tam, gdzie bywają prezesi najważniejszych sądów. Oczywiście również w światowych mediach. A także np. – jak kiedyś – w Camp David. W tle tych negocjacji jest też, rzecz jasna, duża ustawa reprywatyzacyjna.

Izrael może nas potrzebować?

On nas potrzebuje! Ma w świecie coraz mniej sojuszników. Także z powodu realizacji migracyjnej strategii George'a Sorosa osłabiającej dramatycznie i długofalowo wpływy oraz bezpieczeństwo Aszkenazyjczyków w Europie Zachodniej. Stąd zwalczanie wpływowego budapeszteńczyka przez Netanjahu. Z tej perspektywy styczniowy spór Izrael–Polska to incydent. Głośny, ale incydent. Liczy się co innego: bezpieczeństwo, miejsce jego zyskania, rodzaj relacji z sąsiadami w tym miejscu.

Ciekawa myśl wybrzmiewa w tej rozmowie: wszystkie spory ostatnich lat i miesięcy wiążą się z zasadniczym pytaniem: gdzie będą zapadały decyzje dotyczące Polski – tutaj czy na zewnątrz?

Tak uważam. W polskiej historii to kluczowa kwestia od czasów Władysława Łokietka, który wywalczył nam podmiotowość, i jego syna Kazimierza, który ją utrwalił. To rozpoczęło naszą wyjątkową, zachodnią, choć autonomiczną wobec Europy Zachodniej, ścieżkę rozwojową. Zgadzam się z tezą, że utrzymaliśmy naszą podmiotowość aż do bitwy pod Połtawą w 1709 r. Jej odbudowywanie po odzyskaniu niepodległości w 1989 r. to wielka, ciągle niedoceniana zasługa prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Możemy się pokusić o analizę, jaki kierunek doradzałby dziś Polsce?

Przy wszystkich taktycznych korektach taki sam. Obecna strategia Zjednoczonej Prawicy jest budowana na stworzonym przez niego fundamencie zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i zewnętrznym.

Dziś często próbuje się przeciwstawiać śp. prezydenta i Jarosława Kaczyńskiego, padają tezy, że on by rządził inaczej.

To czysta socjotechnika, próba zdemontowania fundamentów moralnych obozu przez najszerzej rozumianą opozycję. Pewnie spierałby się z bratem o jakieś szczegóły, bo na tym polega współpraca dojrzałych polityków.

Dodam jedną ważną rzecz. Miałem zaszczyt doradzać prezydentowi Kaczyńskiemu i chciałbym przypomnieć (a młodym powiedzieć), że był on politykiem z twarzą prawdziwego, polskiego i żoliborskiego inteligenta, który pozostał tym inteligentem (z jego dobrymi, ale i słabszymi stronami) nawet po zdobyciu władzy. Po jego śmierci taką rolę (choć z twarzą osłoniętą już polityczną przyłbicą) odgrywa jego brat, Jarosław Kaczyński. Uważam, że to najwybitniejszy polski polityk po 1945 r. To pewnie potem wytniemy w autoryzacji, bo uznają mnie za klakiera.

> Lech Kaczyński przy wszystkich korektach dziś doradzałby Polsce taki sam kierunek. Obecna strategia Zjednoczonej Prawicy jest budowana na stworzonym przez niego fundamencie zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i zewnętrznym

Może jednak zostawimy.

Może. Wtedy będę mógł dodać, że Kaczyński gra trwale najtrudniejszą w polityce rolę „męża stanu". Innym, najwybitniejszym, zdarzało się to przejściowo. Donaldowi Tuskowi, kiedyś – w mojej opinii – Adamowi Michnikowi, a w 2004 r. Aleksandrowi Kwaśniewskiemu.

Wracając do współczesnych polityków: to jak określić pozostałych uczestników gry o władzę?

W większości są albo socjotechnikami z plastikowymi twarzami, albo ludźmi z zewnątrz, często bardzo wybitnymi specjalistami z innych dziedzin, którzy dopiero uczą się wielkiej narodowej polityki. Można sobie w polityce zmienić wizerunek, nawet wszystkie zęby, ale to nie uczyni człowieka inteligentem. Pozostaje się np. twardym, skutecznym fighterem bez szerszych wizji.

Kiedyś nadzieje na męża stanu liberalnych demokratów łączono z Tuskiem. Pomyłka?

W mojej ocenie miał na to duże szanse. Talent, zaplecze. Zdecydował jednak, że nie będzie „kopać się z koniem", wybierając bezpieczne miejsce w stadzie rumaków i „ciepłą wodę w kranie". Finałem było pozostawienie swojej partii dla osobistej kariery. Niezaplanowanym – zapewne także przez niego – ciągiem dalszym okazało się „kopanie z orłem przednim". Dlatego ma dziś coraz więcej śladów po dziobie i pazurach swego rywala – obozu suwerennościowej prawicy. Nie wiem, czy to nie za mocne słowa... Ale z drugiej strony ktoś musi mówić prawdę.

Tusk uznał, że jedyny wybór, jaki ma Polska, to między Moskwą a Berlinem?

Tak. Odrzucił drogę trudną, ale jedyną możliwą z punktu widzenia polskiej racji stanu, czyli utrwalanie podmiotowości. To zresztą interes całego naszego regionu. Pozostając lojalnym członkiem wspólnoty europejskiej, musimy stworzyć przeciwwagę dla „starej Unii" czy XXI-wiecznej wizji „Mitteleuropy". Musimy budować Unię – wspólnotę, która przy zachowaniu podmiotowości i suwerenności każdego z państw będzie zdolna przeciwstawić się Putinowi, który dąży do zdominowania tej strefy. Mamy dziś wsparcie Ameryki, nasz wspólny potencjał gospodarczy rośnie, moment jest wyjątkowy. Mamy swoje pięć minut, jak mówią młodzi z internetu – „okienko".

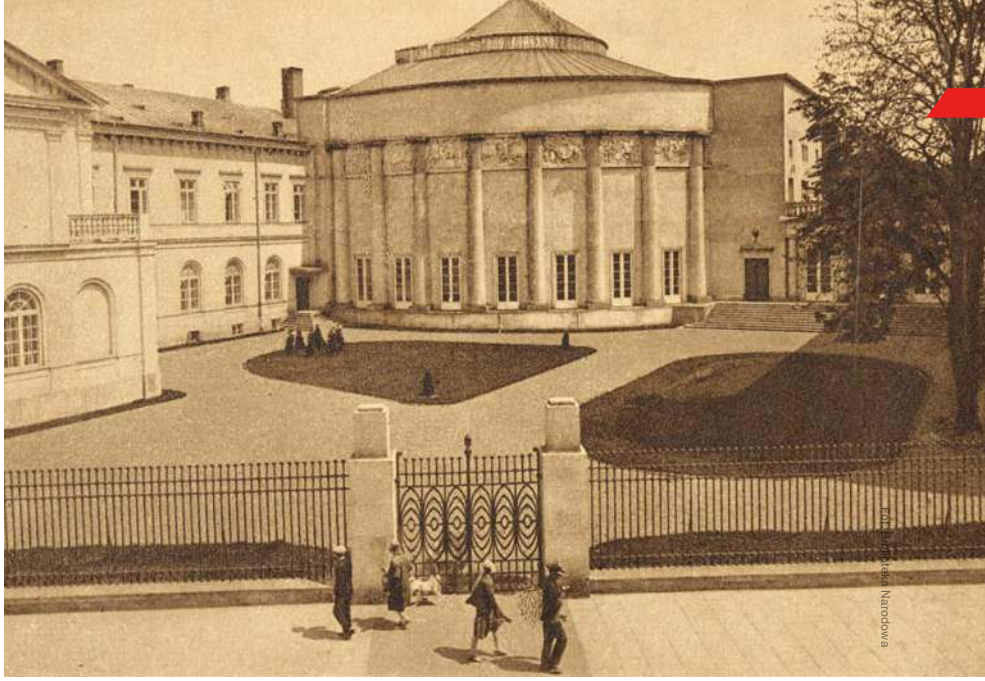
Ale może alternatywą jest roztopienie w Europie? Bruksela i Berlin jako centra decyzyjne? To linia opozycji.

Europa jest alternatywą, ale zależy, jak zostanie zdefiniowana. Dziś dominuje wizja federalizacji, w której suwerenność państw jest formalnie utrzymana, ale realne narzędzia władzy są przekazane na zewnątrz. Pojawiają się też sprzeczne z Traktatami pomysły rozmycia narodowych tożsamości. To budzi opór narodów. To jest też klucz do sukcesów polskiej prawicy nie tylko w 2015 r.

Wracając do początkowej analogii: co dzisiaj się dzieje z tym naszym autobusem? Zaakceptowano, że kierownicę od 2015 r. trzyma Jarosław Kaczyński?

Prawie połowa (opozycja) krzyczała, że się nie zgadza, próbowała zająć siłą kierownicę. Zgodnie z logiką demokracji przesadzono ich do tylnych rzędów. Muszą poczekać na kolejne wybory.

To może być jedna z bardziej ryzykownych decyzji władz Sejmu oraz całego obozu rządzącego. Mowa o budowie ogrodzenia, które okalać ma parlament



Jest zgoda na ogrodzenie Sejmu

Z informacji, do których dotarł tygodnik „Sieci", wynika, że Sejm wygrał z Hanną Gronkiewicz-Waltz batalię o budowę parkanu, a prezydent Warszawy wydała 27 lutego pozytywną zgodę na inwestycję, która budzi wiele wątpliwości i pytań. Czy jednak ogrodzenie pojawi się wokół Sejmu?

Jak się dowiadujemy, mimo pozytywnej decyzji urzędowej w PiS nie ma entuzjazmu dla inwestycji okalającej Sejm. Dlaczego? Ewentualna budowa ogrodzenia wypadałaby na okres wyborów samorządowych w listopadzie bieżącego roku. Ogrodzenie byłoby więc doskonałym narzędziem propagandowym dla opozycji. – Już widzę te konferencje Rafała Trzaskowskiego i przedstawicieli wierchuszki Platformy, którzy grzmią pod Sejmem, że władza odgradza się od społeczeństwa, i czołówki w tabloidach wyliczające, ile pieniędzy wydano dla wygody władzy – mówi nam jeden z posłów PiS.

Już pod koniec listopada 2017 r. w Prezydium Sejmu nie było w sprawie budowy ogrodzenia jednomyślności. Zadecydowano nawet o nierealizowaniu tej inwestycji. Dziś, gdy prezydent Warszawy wydała zgodę na budowę „płotu niezgody", temat powraca, ale wśród polityków PiS oraz władz Sejmu przeważać ma koncepcja, by tę sprawę odłożyć na półkę.

Trwa dyskusja, jak wyjść z tej sytuacji, by z jednej strony nie narazić się na krytykę opozycji i mediów, dla których temat ogrodzenia to łakomy kąsek, a z drugiej zapewnić bezpieczeństwo parlamentarzystom. Zwolennicy grodzenia Sejmu argumentują, że niedawne ataki na biura poselskie, pogróżki byłych funkcjonariuszy służb specjalnych PRL i rozgrzana do czerwoności debata polityczna w Polsce nie sprzyjają koncepcji „parlamentu otwartego". I podają statystyki. Statystyki są zatrważające. W 2017 i 2018 r. odnotowano kilkanaście incydentów związanych z wtargnięciem niemal 80 osób nieuprawnionych na teren kompleksu sejmowego.

W ubiegłym roku odnotowano z kolei 138 zgromadzeń i pikiet przed Sejmem. Agresywni przedstawiciele KOD i Obywateli RP zaczepiali posłów i doprowadzali do groźnych pyskówek, których ofiarą padła choćby poseł Krystyna Pawłowicz. W trakcie wakacyjnych ubiegłorocznych zamieszek na teren kompleksu sejmowego wtargnęło 30 demonstrantów. Część usunęła policja, część opuściła teren sama, ale nikt nie daje gwarancji, czy w grupie wbiegającej na teren parlamentu nie znajdzie się człowiek niebezpieczny. W pamięci pozostaje też sprawa Brunona K., chemika z Krakowa, który przygotowywał się do zamachu terrorystycznego w roku 2012. Cztery tony materiałów wybuchowych miały zostać zdetonowane przy budynkach sejmowych.

Przy okazji gorącej dyskusji o budowie ogrodzenia jak na dłoni widać też hipokryzję dzisiejszej opozycji. Przecież budowa ogrodzenia nie jest pomysłem PiS. Już przed wojną parlament otaczał spory parkan i nikomu to nie przeszkadzało. Powrót do pomysłu ogrodzenia Sejmu pojawiał się w wolnej Polsce cyklicznie: w 1995, 1997, 2000, 2001 oraz w 2006 r. W latach 2010, 2012 i 2014 parkanu domagali się marszałkowie Sejmu właśnie z PO. Konsekwentnie sprzeciwiał się temu stołeczny konserwator zabytków, który zablokował inwestycję w 2016 r. W październiku ubiegłego roku od decyzji stołecznego konserwatora zabytków Kancelaria Sejmu odwołała się do resortu kultury. 12 stycznia 2018 r. minister uchylił decyzję konserwatora i zezwolił na budowę ogrodzenia nawiązującego do tego, które okalało parlament przed 1939 r. Ostatecznie zgodę na tę inwestycję wydała Hanna Gronkiewicz-Waltz 27 lutego bieżącego roku.

Jak skończy się ta historia? Czy wokół Sejmu wyrośnie ogrodzenie? Z naszych informacji wynika, że do ostatecznego rozstrzygnięcia nie dojdzie zbyt szybko.

Wojciech Biedroń

Można wygrać i sto bitew...

Jeśli skrajnie antagonizuje się dotychczasowe elity, to trzeba próbować stworzyć nowe i utrwalić ich pozycję. Żeby zbudować trwałe podstawy dokonywanej zmiany i zawczasu uniemożliwić jej cofnięcie



PIOTR SKWIECIŃSKI



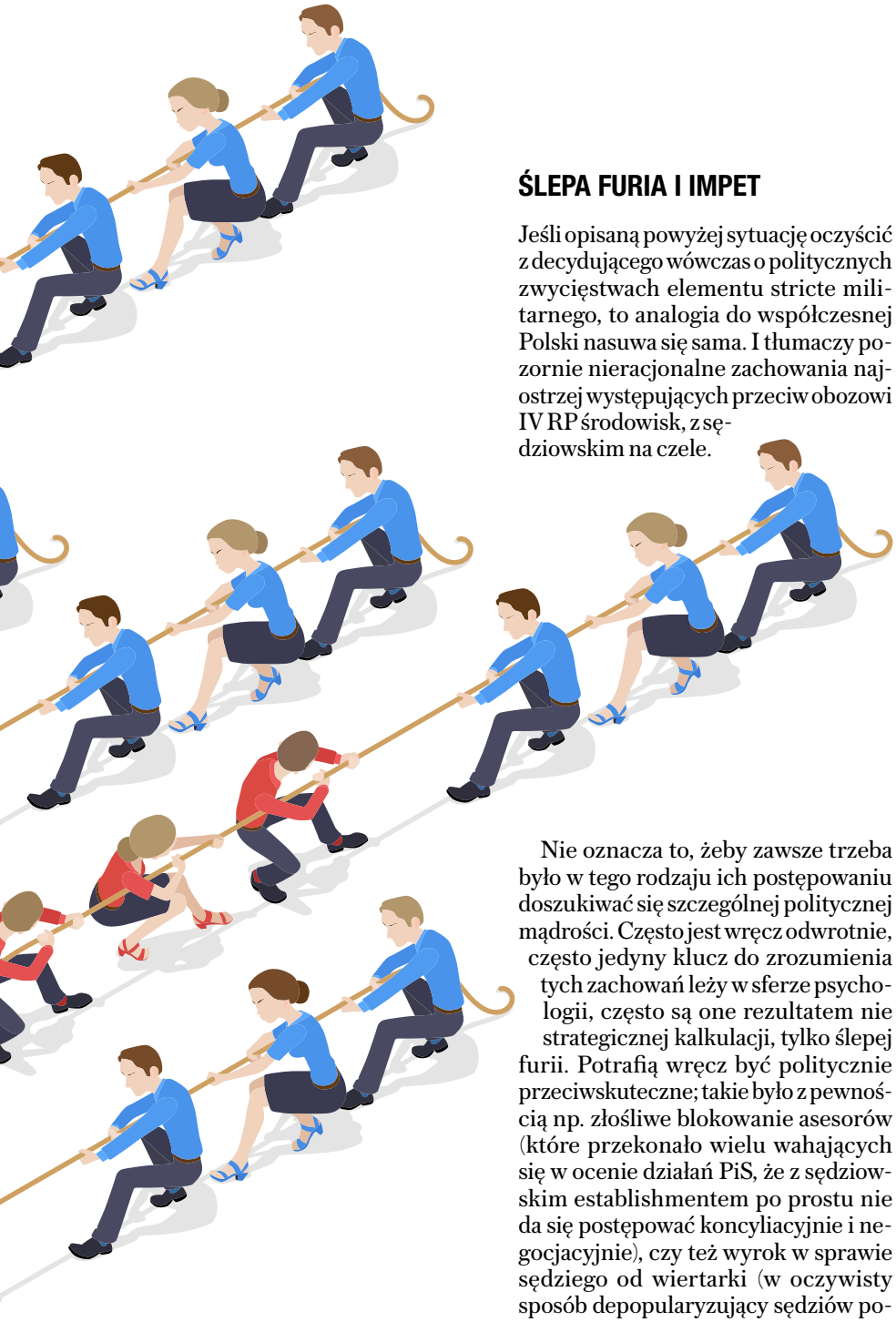
Gdy dowiadywałem się o kolejnych zachowaniach elity środowiska prawniczego, takich jak już jawnie niemerytoryczne i w sposób oczywisty polityczne blokowanie przez prezes Gersdorf zwołania pierwszego posiedzenia Krajowej Rady Sądownictwa czy wcześniejsze działania „starej KRS", typu odmowy zatwierdzenia pod jawnie formalnym pretekstem nominacji nowych sędziów asesorów, albo sławetny wyrok Sądu Najwyższego, który uchylił karę usunięcia z zawodu orzeczoną wobec sędziego – złodzieja od wiertarki, nieodmiennie przypominałem sobie dwa cytaty z Napoleona. Czy raczej jeden cytat z niego, a drugi – jego dotyczący.

Bonaparte, który bił się – i do czasu wygrywał – z koalicją całej arystokratycznej i legitymistycznej Europy, zwalał jej monarchów z tronów w zasadzie tak, jak chciał. A jednak powiedział komuś, z dozą bezsilności, że „waszych królów można przepędzić i dwudziestokrotnie, i dwadzieścia razy wrócą". Natomiast Talleyrand, kiedy u szczytu powodzenia Napoleona zaczął spiskować przeciw niemu, powiedział, że cesarz ryzykuje wszystko w każdej bitwie i że może wygrać ich sto z rzędu, ale kiedy zdarzy mu się przegrać jedną – to będzie jego koniec.

Jak te cytaty odnoszą się do zachowań środowiska sędziowskiego i – szerzej – do obecnej Polski? Odnoszą się bardzo wprost. I Napoleon, i Talleyrand dawali wyraz swemu – słusznemu – przekonaniu, że choć siła cesarstwa i rewolucji (będących wówczas czymś jednym) jest wielka, to potencjał starego świata, monarchicznego i postfeudalnego, rozumianego łącznie – jako kombinacja potęgi walczących z Francją państw i niezadowolonych z władzy Bonapartego sił na terenie kontrolowanej przez Paryż Europy, a także w samej Francji, jest większy.

Póki istnieje zjawisko rewolucyjnego impetu i póki Francja sterowana jest przez niezmordowanego geniusza, można z tą kombinacją wygrywać. Ale wystarczy poczekać,

Rys. Shutterstock



aż impet się wyczerpie, a geniusz zmęczy. Wtedy jedna przegrana unaoczni wszystkim, jaki jest rzeczywisty układ sił. Pokaże, że Napoleon jest pokonywalny. A to wszystko wpisze się w obecną w podświadomości bardzo wielu, nawet tych osobiście niezwiązanych ze starym porządkiem, intuicję, iż te gilotynowane i wypędzane dawne elity są jednak naturalnymi panami kontynentu. Na to nasunie się zmęczenie rewolucyjno-wojenną epopeją.

I wtedy nastąpi krach.

ŚLEPA FURIA I IMPET

Jeśli opisaną powyżej sytuację oczyścić z decydującego wówczas o politycznych zwycięstwach elementu stricte militarnego, to analogia do współczesnej Polski nasuwa się sama. I tłumaczy pozornie nieracjonalne zachowania najostrzej występujących przeciw obozowi IV RP środowisk, z sędziowskim na czele.

Nie oznacza to, żeby zawsze trzeba było w tego rodzaju ich postępowaniu doszukiwać się szczególnej politycznej mądrości. Często jest wręcz odwrotnie, często jedyny klucz do zrozumienia tych zachowań leży w sferze psychologii, często są one rezultatem nie strategicznej kalkulacji, tylko ślepej furii. Potrafią wręcz być politycznie przeciwskuteczne; takie było z pewnością np. złośliwe blokowanie asesorów (które przekonało wielu wahających się w ocenie działań PiS, że z sędziowskim establishmentem po prostu nie da się postępować koncyliacyjnie i negocjacyjnie), czy też wyrok w sprawie sędziego od wiertarki (w oczywisty sposób depopularyzujący sędziów poprzez swą zapierającą dech w piersiach kastowość).

Niemniej jednak przejawia się w nich również pewna intuicja, która sama w sobie nie musi być głupia, intuicja podobna do opisanych powyżej intuicji Napoleona i Talleyranda. Mówiąca, iż siła impetu polskiej prawicowej rewolucji jest duża, ale skończona, a wielu innych zasobów ta rewolucja nie ma. I jej potencjał może się szybko wyczerpać, w odróżnieniu od potencjału polskiego ancien régime'u. Intuicja mówiąca dalej, że poziom zakorzenienia elit III RP, naturalności ich establishmentowego statusu jest tak duży, iż wystarczy, aby przetrzymały one ten pierwszy impet, aby potem, gdy ten się wyczerpie, może i niełatwo, za to w sposób naturalny mogły odzyskać pozycję.

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY…

Czy jest to założenie realistyczne? Zważywszy na stopień zniechęcenia większości Polaków do owych elit, a także, w jakiejś części, ich własną niewiarę w siebie (widoczną w 2015 r., kiedy to bardzo wyraźnie sporo ich członków chciało szukać jakiejś formuły modus vivendi ze zmierzającym do zwycięstwa PiS; widoczną także w gromionej niestrudzenie przez „Politykę" obecnej skłonności ich części do rozpamiętywania własnych błędów w okresie sprzed utraty władzy) – niekoniecznie.

Ale też wykluczyć takiej możliwości się nie da. Choćby dlatego, że ilekolwiek by snuć dywagacji o ich częściowo nieprawym (peerelowskim) pochodzeniu, sam upływ czasu spowodował, że stały się one autentycznymi i naturalnymi polskimi elitami.

I dlatego również, że wszystkie polityczne zwycięstwa PiS, więcej – cała symboliczna przemoc, jaką PiS wobec elit III RP stosuje, nie przełożyły się dotąd na żadne (czy ostrożniej: na zbyt wiele) faktów, które składałyby się na obraz zmiany, utrwalonej na okres po ewentualnym oddaniu władzy. Utrwalonej między innymi na jedynym poziomie, który w systemie wolnorynkowym daje taką pewność – czyli właścicielskim. Także na poziomie tworzenia różnego rodzaju instytucji, które mogłyby przetrwać ewentualną zmianę warty w KPRM i dalej kształtować klimat w kraju, utrudniać w różny sposób próby cofnięcia dokonanych przez Zjednoczoną Prawicę zmian.

Być może jest to założenie świadome. Być może Centralny Ośrodek Dyspozycji Politycznej uważa, że tego rodzaju działania, dając części kadr nadzieję na utrwalenie własnej pozycji niezależnie od zwrotów wyborczej sytuacji, osłabiłyby ich determinację w codziennej politycznej wojnie. Niemniej jednak efekt jest oczywisty – cementowania zmian nie ma. I dlatego antypisowska szpica, intui-

cyjnie stosując zasadę „ani kroku wstecz", więcej – brońmy każdej pozycji zaciekle i lepiej nawet skojarzmy się ludziom źle (sprawa sędziego od wiertarki), niż byśmy mieli skojarzyć im się ze słabością i jakimkolwiek ustępstwem, zachowuje się na pewno ryzykancko, zapewne też w sensie doraźnym przeciwskutecznie. Ale zarazem nie można powiedzieć, by na pewno skończenie samobójczo.

Wielu już konstatowało, że najgorsze dla każdej władzy, a długofalowo najlepsze dla opozycji, są umiarkowane represje. Takie nie na tyle silne, żeby zastraszyć i skręcić kark, ale na tyle dotkliwe, żeby opozycję zahartować.

W obecnej Polsce nie ma oczywiście mowy o żadnych represjach, a użycie jakiegokolwiek słowa pochodzącego od rzeczownika „hart" wobec opozycji już nawet groteskowe by nie było. Niemniej jednak znajduję pewną paralelę. Władza nie czyni nic (czy raczej, mówmy precyzyjnie – robi bardzo niewiele), aby strategicznie utrwalić pozycje swojej formacji, a tym samym – w pewnym sensie nowy, bardziej prospołeczny system, który wprowadza. Zachowuje więc strategiczne pozycje elit III RP. A jednocześnie na wszelki możliwy sposób obraża je i antagonizuje – mimo że, jak już wspomniałem, na samym początku epoki dobrej zmiany można się było pokusić o próbę co najmniej trwałej neutralizacji ich części.

Oczywiście nie znaczy to, żeby obecna władza była skazana na porażkę. Ani nie jest skazana, ani jej rządy nie muszą zakończyć się na jednej tylko kadencji. Jej zaplecze społeczne, w porównaniu z czasami sprzed roku 2015, poszerzyło się (inna rzecz, że nie wiadomo, na ile trwale), opozycja jest w stanie kiepskim, konformiści widzą to i jeśli przez dotychczasową zbytnią jednoznaczność nie pozbawili się takiej opcji, to albo orientują się na władzę, albo przynajmniej nie chcą być kojarzeni z jej wrogami. Ale wszystko to razem nie zmienia sytuacji, w której po oczach bije brak strategicznego zabezpieczenia interesów i formacji, i reformy.

Co więcej, władza nie tylko tego zabezpieczenia nie tworzy, lecz zachowuje się tak, jakby sama chciała uniemożliwić jego powstanie. Taki jest efekt np. kolejnych huraganów zmian i w resortach, i – zwłaszcza – w spółkach skarbu państwa, w których ekipy Już Tym Razem na Pewno Najlepszej Zmiany wypierają ludzi Najlepszej Zmiany, którzy jeszcze niedawno wyparli Zmianę Jeszcze Lepszą, która wyrzuciła zwykłą Dobrą Zmianę, o której nikt już nie pamięta, bo przyszła w zamierzchłej przeszłości, w roku 2015.

Rozumiem, że władza ma prawo do personalnego kształtowania podległych sobie i instytucji, i przedsiębiorstw, pojmuję też, że bywają wypadki, w których można było żywić wątpliwości co do czy to efektywności, czy to rzetelności, czy to lojalności nominatów. Wiem też, że poczucie stuprocentowej gwarancji zatrudnienia rozleniwia i rozzuchwala. Niemniej jednak efekt kolejnych personalnych orkanów musi być taki, że już nikt nie potrafi myśleć o czymś i tak odległym w czasie, i w każdym tego słowa znaczeniu ryzykownym, jak mądre użycie podległych zasobów dla strategicznego zabezpieczenia bytu formacji i trwałości dokonywanej przez nią systemowej reformy.

> W hałasie codziennej politycznej bitwy łatwo nie zauważyć, że nie dzieje się nic, co zmierzałoby do strategicznego zabezpieczenia interesów i rządzącej obecnie formacji, i dokonywanej przez nią reformy

REWOLUCJA I RESTAURACJA

Istnieją dwa skrajnie różne modele losu starych elit po wszechogarniającej rewolucji. Jest model rewolucji bolszewickiej, która stare elity skutecznie eksterminowała, często dosłownie, a niemal stuprocentowo – społecznie. Był to proces tak radykalny, a system, któremu służył, trwał tak długo, że nowe radzieckie elity stały się jedynymi naturalnymi elitami Rosji i większości państw poradzieckich.

I jest też model rewolucji francuskiej. Też radykalnej. Ale którą stare elity, nie w całości oczywiście, niemniej jednak przeżyły. I były w stanie, kiedy karta się odwróciła, przeprowadzić restaurację dawnego systemu. Czy raczej – częściowo przeprowadzić, a częściowo stać się narzędziem użytecznym dla zewnętrznych przeciwników Francji.

Tylko że na tym historia się nie skończyła. Bo były we Francji już również elity nowe, porewolucyjno-napoleońskie. Będące emanacją społecznych zmian, które w okresie republiki i cesarstwa poszły już tak daleko, że nawet władze restauracyjne trochę nie potrafiły, a trochę bały się je totalnie cofnąć. Kilkanaście lat później te nowe elity wymusiły częściowy powrót do porewolucyjnej sytuacji społecznej, a za kolejne kilkanaście lat przesunęły ten wektor jeszcze dalej. Potem zresztą, gdy stare podziały stawały się coraz bardziej li tylko i jedynie historyczne, a przed elitami niezależnie od ich proweniencji stanęły nowe, wspólne zagrożenia, zaczęły się zlewać ze swymi dotychczasowymi przeciwnikami o feudalnej proweniencji, ale to już inna bajka. Model francuski jest zresztą, patrząc na historię Europy, znacznie częstszy niż bolszewicki, dlatego w jakimś sensie wstrzymanie rozmachu rewolucyjnego pisowskiego projektu, z którym mamy od kilku miesięcy do czynienia, jest jakoś naturalne.

I w Polsce również istnieją w jakimś zakresie alternatywne elity. Nazywam je elitami IV RP. Ich siła jest w porównaniu z elitami III RP niewielka, ale trudno zaprzeczyć, że istnieją.

Czy byłyby one w stanie, niezależnie od nieprzewidywalnych przecież obrotów wyborczego firmamentu, utrwalić pozycję swojej formacji? Zapewnić bodaj częściową nieodwoływalność, niecofalność, dokonywanej po 2015 r. pisowskiej reformy?

Nie wydaje mi się, żeby obecnie wśród rządzących ktokolwiek zaprzątał sobie głowę takimi pytaniami.

Gdańsk potrzebuje dobrej zmiany



Fot. Artur Ceyrowski

Gdańsk stoi przed gigantyczną szansą. Pytanie, czy z tym prezydentem miasta uda się ją wykorzystać – mówi ***Kacper Płażyński***, adwokat, gdański działacz społeczny, w rozmowie z Piotrem Filipczykiem

O Gdańsku znowu jest głośno w ogólnopolskich mediach. W swoim magazynie śledczym Anita Gargas poruszyła ostatnio bulwersującą sprawę budowy tzw. Forum Gdańsk i zabudowy historycznego Targu Siennego – miejsca, z którego rozciągała się jedna z najpiękniejszych panoram na tamtejsze zabytki. Rozciągała, bo teraz powstaje tam szpetne, wielkie centrum handlowe. Prezydent kolejny raz uległ deweloperom?

Kacper Płażyński: W tym wypadku nie nazwałbym tego uleganiem deweloperom. To autorski plan prezydenta Adamowicza, który sam rozpisał konkurs na zabudowę Targu Siennego w takiej formie, a swojego zastępcę Wiesława Bielawskiego powołał na przewodniczącego komisji konkursowej wyłaniającej ostateczny projekt. Prezydent miał więc decydujący głos w sprawie budowy tego molocha. Nie bacząc na sprzeciw ówczesnego wojewódzkiego konserwatora zabytków Krzysztofa Budnika, forsował zmianę planu zagospodarowania przestrzennego dla tego terenu. Co więcej, do czasu rozpisania konkursu

i wyłonienia zwycięzcy opinia publiczna nie miała pojęcia o prowadzonych przez władzę działaniach, a przecież rzecz dotyczy serca miasta. W tym wypadku deweloper pełnił funkcję wykonawcy wydanego osobiście przez Adamowicza wyroku. Inna sprawa, czy gdyby nie olbrzymi wpływ lobby deweloperskiego w Gdańsku, to Adamowicz odważyłby się podjąć taką decyzję. W mojej ocenie prezydent nie jest osobą samodzielną, jest zakładnikiem tego środowiska biznesowego.

To poważne zarzuty.

Osobiste zależności między gdańskimi władzami a deweloperami są oczywiste. Przykład pierwszy z brzegu. Były wiceprezydent, a dziś prezes jednej ze spółek miejskich, pan Bojanowski, jest bratem członka zarządu, a wcześniej prezesa Eurostylu, jednego z największych trójmiejskich deweloperów. Bojanowski osobiście zabiegał o zgodę na zmianę przeznaczenia terenów należących do najstarszego polskiego klubu w Gdańsku – Gedanii, kolebki polskości w Wolnym Mieście Gdańsku – na osiedle mieszkaniowe, które miał wybudować Eurostyl. Ponadto dysponuję protokołami, w których prezes Eurostylu przyznaje, że widział się z samym Adamowiczem w celu omówienia zmiany planu zagospodarowania dla tej działki. Co ciekawe, na moje pytania o tę sprawę rzecznik prezydenta odpowiedziała, że Adamowicz od lat nie spotykał się z żadnym z członków zarządu Eurostylu. Na mój formalny wniosek o udostępnienie informacji, z którymi deweloperami Adamowicz spotykał się celem omówienia sposobu zagospodarowania terenów po Gedanii, otrzymałem odpowiedź, że taka informacja nie może zostać mi przekazana, gdyż nie stanowi informacji publicznej. Szczęśliwie wydaje się, że długotrwałe protesty mieszkańców i wykazanie, że planowana inwestycja w obecnym stanie prawnym byłaby z nim niezgodna, skutecznie ją zablokowały. Jeżeli w Gdańsku dojdzie do zmiany władzy, to niezbędne wydaje się dokonanie szerokiego audytu wszystkich zawieranych przez miasto w ostatnich 10 latach umów sprzedaży nieruchomości deweloperom oraz poddanie gruntownej analizie działalności miejskich jednostek budżetowych odpowiedzialnych za politykę planistyczną.

Co mógłby wykazać taki audyt?

Przestrzenny rozwój Gdańska polega na wydzieraniu mieszkańcom co cenniejszych przestrzeni publicznych, służących do tej pory ogółowi gdańszczan, i realizacji na nich inwestycji mieszkaniowych, na których zakup stać później jedynie warszawiaków i cudzoziemców. W konsekwencji prowadzi to do wyludniania się centrum miasta i tworzenia całych dzielnic o charakterze „booking.com". Z drugiej strony powstające na obrzeżach miasta nowe dzielnice mieszkalne są pozbawione podstawowej infrastruktury niezbędnej do normalnego funkcjonowania, takiej jak przedszkola, szkoły. To nie jest wina deweloperów, to wina władzy, która umożliwia im taki sposób działania. Taka polityka Adamowicza z czegoś wynika. Żona prezydenta zeznała przed sądem, że źródłem ich majątku była przywieziona po II wojnie światowej przez jej dziadków walizka pełna pieniędzy zarobionych w czasie wykonywanych w Niemczech robót przymusowych. W mojej ocenie, mówiąc bardzo oględnie, to naciągana historia. Audyt powinien przede wszystkim prześledzić, czy nieruchomości były sprzedawane po cenie rynkowej i w których przypadkach dochodziło do późniejszych korzystnych dla deweloperów zmian w planach zagospodarowania przestrzennego obejmujących sprzedane im wcześniej nieruchomości. Jest on niezbędny, by poznać korupcyjne mechanizmy i przeciąć je raz na zawsze.

Mówiąc o budownictwie, trudno nie wspomnieć o nieruchomościach komunalnych.

W zasobach Gdańska jest ponad 18 tys. lokali tego typu. Zarządza nimi Gdański Zarząd Nieruchomości Komunalnych, który z powierzonym zadaniem zupełnie sobie nie radzi. GZNK to stajnia Augiasza. Znam wiele przypadków, w których lokalni biznesmeni przejmują atrakcyjne nieruchomości w centrum miasta z pominięciem procedury przetargowej. Paradoksalnie przekleństwem mieszkalnictwa komunalnego w Gdańsku jest to, że w 80 proc. składa się ono z unikatowej przedwojennej zabudowy, położonej w bardzo atrakcyjnych inwestycyjnie dzielnicach miasta. To powoduje, że władze, wbrew ciążącym na nich ustawowym obowiązku, nie remontują tych budynków, celowo doprowadzając je do stanu, w którym nie ma już dla nich ratunku, by następnie je wyburzyć, a działki sprzedać deweloperom. Jak inaczej wyjaśnić to, że w tegorocznym budżecie miasta na remonty budownictwa komunalnego przeznaczono 1,8 mln zł? Jednocześnie w kolejce po mieszkanie komunalne czeka ponad 2,5 tys. gdańskich rodzin, a ponad tysiąc niewyremontowanych lokali stoi pustych. Z drugiej strony co roku przeznacza się 20–25 mln zł na budowę tzw. TBS-ów i za tę kwotę powstaje co roku ok. 120 nowych mieszkań, przeznaczonych jednak dla zamożniejszych gdańszczan, bo czynsz w nich wynosi nawet ponad 2 tys. zł. Gdyby te środki przenieść na remonty mieszkalnictwa komunalnego, to w ciągu trzech lat kilkanaście tysięcy rodzin mogłoby wreszcie zacząć żyć w godnych warunkach, kolejnych 700 znalazłoby swój dom, a gdańskie kulturowe dziedzictwo byłoby zabezpieczone przed dalszą dewastacją i stanowiło wizytówkę miasta. Obawiam się, że te zabytkowe kamienice przetrwały Niemców, przetrwały Sowietów, ale nie przetrwają Adamowicza. Na ich miejscu powstaną kolejne architektoniczne koszmarki budowane na zasadzie „byle taniej". Nie zamieszkają w nich jednak gdańszczanie, bo ich na to nie stać.

Pana zdaniem troska o dziedzictwo kulturowe i polityka historyczna prezydenta miasta pozostawiają wiele do życzenia?

Z nieznanych mi przyczyn prezydent Adamowicz usilnie stara się budować tożsamość gdańszczan w oparciu o najgorszy dla zamieszkujących Gdańsk Polaków okres. Mam na myśli 20-lecie międzywojenne i tzw. Wolne Miasto. To był czas, w którym z każdym kolejnym rokiem, gdy NSDAP stawała się

coraz silniejsza, również w Gdańsku nasilały się represje wobec Polaków i Żydów, polegające na przeróżnych formach szykan, łącznie z fizyczną eliminacją. Nie wiedzieć czemu w mieście nagle zaczęły się pojawiać tramwaje w barwach Wolnego Miasta, a jedno ze skrzyżowań przyjęło nazwę ronda Granicznego Wolnego Miasta Gdańska – Rzeczypospolitej. Rozumiem, że prezydentowi odpowiada sięganie do tradycji rozbiorowych, z drugiej jednak strony jest to niespójne z deklarowaną przez niego walką z antysemityzmem. Upamiętnia bowiem ustrój, który w 1935 r. wprowadził w Gdańsku oficjalny rejestr osób pochodzenia żydowskiego. 300 lat najbogatszego w całej Rzeczypospolitej królewskiego miasta portowego, z przekazaną za pomoc w walce z Krzyżakami przez króla Kazimierza Jagiellończyka koroną w herbie. Wspaniała polska wspólnota żyjąca w trudnych realiach Wolnego Miasta oraz historia rodzącej się w Gdańsku „Solidarności". To są tradycje, z których gdańszczanie powinni i mają prawo być dumni, i to na nich powinniśmy budować naszą lokalną tożsamość.

Kiedyś Gdańsk był polskim oknem na świat, źródłem naszego bogactwa. Dziś zdecydowanie ustępuje innym portowym miastom.

Nie zgodzę się ze stwierdzeniem, że gdański port zdecydowanie ustępuje innym. Przeciwnie, to jeden z najlepiej rozwijających się portów na Bałtyku, który w zeszłym roku przekroczył granicę 40 mln ton przeładowanego towaru. Należy traktować to jako wielki sukces obecnego zarządu portu. Port działa na podstawie odrębnej ustawy i jest niezależny od miasta, co nie zmienia tego, że jeszcze kilka lat temu władze Gdańska nakładały na niego obowiązek zapłaty podatku od nieruchomości, zwanego potocznie „podatkiem Adamowicza". Jednak już w 2013 r. sąd ostatecznie uznał, że miasto nie miało do tego prawa. Można więc powiedzieć, że port rozwijał się mimo pojawiających się ze strony gdańskich władz przeszkód. Planowana przez premiera Morawieckiego realizacja tzw. portu centralnego otworzy mu drogę do osiągnięcia pozycji lidera pod względem przeładunku w całym basenie Morza Bałtyckiego. Biorąc pod uwagę również długoletni rządowy plan przywrócenia żeglowności na Wiśle i tym samym uruchomienie na niej transportu towarowego, wydaje się, że gdański port czeka świetlana przyszłość.

> Gdańsk to miasto portowe z wielowiekową tradycją i to na branżach związanych z gospodarką wodną powinien opierać swój rozwój

Dziś ci sami ludzie podnoszą argumenty, że to rząd rzuca kłody pod nogi pomorskiej gospodarce.

Najwidoczniej nie znają lub nie rozumieją gdańskiej historii, położenia geograficznego miasta ani założeń tzw. planu Morawieckiego. Plan ten zakłada ogromne inwestycje w rozwój pomorskiej gospodarki transportowej i energetycznej polegającej właśnie na budowie portu centralnego i użeglowieniu dolnego odcinka Wisły. A dokładnie przywrócenie możliwości prowadzenia transportu towarowego na tym wodnym szlaku, budowę siedmiu stopni na Wiśle z elektrownią wodną na każdym z nich. Wisła to naturalne źródło ogromnej ilości zielonej energii. Realizacja tych zadań już została rozpoczęta, a ma trwać co najmniej do 2030 r. Wymiar finansowy tych inwestycji wyniesie ok. 40 mld zł. W Polsce ponad połowa towarów eksportowych produkowana jest nad samą Wisłą lub nad jej dorzeczami. Gdańsk z uwagi na swoje położenie stanie się naturalnym centrum logistycznym dla całego kraju i jego eksportowym oknem na świat. Wraz z uregulowaniem Wisły znacznie wzrośnie bezpieczeństwo powodziowe regionu, powstaną możliwości szerokiego wykorzystania rzeki w branży turystycznej. Realizacja planu Morawieckiego to dla Gdańska, lecz i Pomorza, możliwość dokonania cywilizacyjnego skoku, ale żeby go wykonać, potrzebne są mądre władze samorządowe, świadome wielkich wyzwań, u progu których stoimy. Dzisiaj Gdańsk odwraca się do morza plecami, o Wiśle zapomniał kilkanaście lat temu, a rządowi wypowiedział de facto wojnę. Obawiam się, że z takim kapitanem trudno będzie Gdańskowi wypłynąć na szerokie wody. Władze stolicy Pomorza powinny szeroko wspierać rząd w realizacji jego planów, bo jest to w najlepszym interesie Gdańska.

Wyraźnie brakuje wizji.

Niestety, tak to widzę. Gdańskie władze jako swój największy sukces przedstawiają rozwój miasta jako centrum outsourcingowego dla międzynarodowych korporacji. To ważny aspekt miejskiej gospodarki, który zapewnia miejsca pracy dla rzeszy młodych ludzi kończących kierunki humanistyczne i napędza koniunkturę na usługi. Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że te same korporacje za kilka lat mogą dojść do wniosku, że na podobnym poziomie, a na pewno za mniejsze pieniądze, mogą prosperować na Ukrainie czy Białorusi. W biznesie nie zawsze jest koniunktura, w związku z czym powinniśmy stawiać na lokalne i polskie marki, które związane są z regionem nie tylko kilkunastoletnią umową najmu pomieszczeń biurowych. Gdańsk to przede wszystkim miasto portowe z wielowiekową tradycją i to na branżach związanych z gospodarką wodną powinien opierać swój rozwój. Jeśli mamy być przy tym konkurencyjni, to gdański biznes, szkoły wyższe i władze samorządowe muszą wejść w ścisłą współpracę w poszukiwaniu innowacji dla tego sektora. Inaczej zawsze będziemy krok z tyłu za skandynawskimi i niemieckimi firmami. Niezbędne wydaje się powołanie w Gdańsku Centrum Innowacji Morskich, szkolącego nasze kadry oraz tworzącego polską myśl morskich innowacji.

Fabryki fake newsów

Patron lotniska w Warszawie zostanie zmieniony na Lecha Kaczyńskiego, Bartłomiej Misiewicz otrzymał intratną posadę w jednej ze spółek PKP, a 10 kwietnia będzie świętem narodowym wolnym od pracy. To tylko kilka przykładów fałszywych informacji wykreowanych w ostatnich tygodniach. Skąd się bierze nawała tzw. fake newsów i jak się przed nią bronić?



MARCIN FIJOŁEK

Kiedy w lipcu ubiegłego roku na zaproszenie Andrzeja Dudy z wizytą w Polsce przebywał Donald Trump, jedną z ciekawych, choć mniej istotnych wspólnych inicjatyw była deklaracja prezydentów w zakresie walki z fake newsami. Trump szybko wywiązał się z danej obietnicy i już kilkadziesiąt godzin po wyjeździe z Warszawy opublikował listę zwycięzców długo zapowiadanych nagród dla mediów w kategorii fake news. Jedna z nich trafiła do polskiej edycji „Newsweeka" i dotyczyła wizyty Trumpa w Polsce. Tygodnik podał, że Agata Kornhauser-Duda nie uścisnęła dłoni prezydenta USA, a jedynie jego żony Melanii. Na potwierdzenie tej informacji można było zobaczyć zdjęcia, a nawet krótki film, na którym polska pierwsza dama ostentacyjnie mija Trumpa. W rzeczywistości Kornhauser-Duda najpierw uścisnęła dłoń pierwszej damy USA, a następnie przywódcy Stanów Zjednoczonych.

Tamta sytuacja była w gruncie rzeczy drobiazgiem, ale problem jest poważny. Nie bez przyczyny określenie „fake news" zostało w USA wybrane na słowo roku 2017, a polityczni oponenci w wielu krajach – w tym nad Wisłą – często przerzucają się oskarżeniami o promowanie sfabrykowanych, nieprawdziwych informacji na temat rywali w wyścigu o władzę, pieniądze i wpływy.

DEFINICJA I SIŁA RAŻENIA

Zacznijmy od początku: czym jest fake news? Słownikowa definicja mówi o fałszywej, często sensacyjnej wiadomości, rozpowszechnianej pod postacią przekazu informacyjnego. Jeszcze kilka lat temu nazwalibyśmy to po prostu kłamstwem, ale zmiana nośników informacji wytworzyła nową sytuację. Fake news swoją karierę zawdzięcza bowiem przede wszystkim mediom społecznościowym i internetowi, gdzie obieg informacji jest szybszy niż kiedykolwiek.

Na pierwszy rzut oka problem może się wydawać błahy. Takim jednak nie jest, bo jak wielu odbiorców ma czas i umiejętności, by odróżnić informację fałszywą od prawdziwej, względnie szybko zweryfikować niepewne doniesienia? A skala destrukcji, jaką wywołały fałszywe informacyjne wrzutki, jest naprawdę poważna. Przykład? Naukowe pismo „Science" opublikowało 9 marca br. wyniki badań pracowników amerykańskiej uczelni Massachusetts Institute of Technology (MIT), którzy wzięli pod lupę wpisy na Twitterze wysłane w ciągu 11 lat przez 3 mln osób. Badacze z MIT ustalili, że potrzeba sześć razy więcej czasu na dotarcie prawdziwej informacji do 1,5 tys. osób niż w przypadku informacji wprowadzającej w błąd. Co więcej, 20-krotnie dłużej trwa zdobycie 10 retweetów unikatowych użytkowników w przypadku prawdy niż fake newsów. Jest również o 70 proc. bardziej prawdopodobne, że nieprawdziwa informacja zostanie przekazana dalej. Wniosek? To fałszywe, a nie prawdziwe informacje – szczególne te, które dotyczyły polityki i polityków – zdobywały większe grono odbiorców, docierając do milionów internautów na całym świecie.

Podczas niedawnego wykładu w warszawskim muzeum Polin prof. William Grueskin z Columbia University (były zastępca redaktora naczelnego „The Wall Street Journal") przywołał inne badanie, z którego wynika, że w amerykańskiej kampanii wyborczej informacje wymyślone trafiały do szerszego audytorium niż te prawdziwe. Analizy serwisu BuzzFeed wskazują, że tylko 20 najgłośniejszych fake newsów z ostatniej kampanii wyborczej w USA wygenerowało ponad 8,7 mln udostępnień na Facebooku – i to zaledwie w ciągu kilku tygodni. Czasem jest to intencjonalne działanie przeciwników w kampanii (lub wręcz interwencja zewnętrzna, tutaj najczęściej wskazywane są źródła rosyjskie), ale czasem fake newsy produkuje się po prostu z chęci zysku i rozgłosu. Przywoływany wcześniej prof. Grueskin relacjonował zeznania jednego z przyłapanych przez policję na kreowaniu fałszywych informacji, który bronił się, że w ten sposób po prostu zarabia.

W polskich warunkach fake newsy przejawiają się – na razie – dość niewinnie, choć zasięgi nieprawdziwych informacji dają do myślenia. Nie było chyba użytkownika Facebooka, który nie miałby wśród znajomych rozprowadzających informację o zmianie patrona lotniska w Warszawie. Według tej informacji – podanej na stronie o dziwnej nazwie Superekspress.pl, sugerującej podobieństwo do prasowego tytułu – politycy PiS chcą zastąpić Fryderyka Chopina śp. Lechem Kaczyńskim. Jako „dowód" w tej sprawie przywoły-





wane były nawet słowa ministra Jacka Sasina. Nie było w tym cienia prawdy, ale ilu spośród oburzonych internautów dowiedziało się, że to bzdury wyssane z palca? Inne przykłady z ostatnich tygodni: Bartłomiej Misiewicz został członkiem zarządu PKP Cargo z pensją 27 tys. zł, a 10 kwietnia zostanie ogłoszony świętem narodowym. Tego typu doniesienia można mnożyć – niestety niewiele daje też zweryfikowanie danej strony jako niewiarygodnej, bo te szybko zmieniają swoje nazwy. Wspomniany wcześniej portal funkcjonuje dziś już jako Infoekspress.pl, a w chwili gdy oddamy ten artykuł do druku, może ewoluować w kolejne potworki.

PRAWDA NIE ZAWSZE SIĘ OBRONI

Jak to się dzieje, że ludzie dają się nabierać na fałszywe wiadomości? Psychologowie cytowani w międzynarodowych raportach wskazują, że problemem są emocje odbiorców. Im bardziej coś nas oburza albo potwierdza obraz świata, jaki odbieramy, tym łatwiej wygenerować reakcję na większą skalę. Któż z przeciwników przyjęcia imigrantów nie zdenerwuje się kolejną próbą zamachu w Europie Zachodniej, którą miał przygotować uchodźca? Kto z przeciwników rządzących w Polsce – po fali prawdziwych doniesień o nagrodach dla ministrów – nie przyswoi kolejnej informacji, tym razem o Misiewiczu?

Problemem jest to, że promowane fałszywe informacje sprawiają wrażenie prawdziwych, a często po prostu tak wyglądają. No właśnie – obraz. Wiele wskazuje na to, że najbliższa przyszłość może przynieść nam kolejne problemy w tej kwestii. W 2016 r. Gareth Edwards, reżyser filmu „Łotr 1. Gwiezdne wojny – historie", był w stanie stworzyć scenę z udziałem młodej księżniczki Lei, manipulując wizerunkami Carrie Fisher, by wyglądała jak w 1977 r.

Co technologia wykorzystywana w kinematografii ma do fake newsów? Wbrew pozorom całkiem sporo. Kiedy Edwards kręcił scenę na potrzeby filmu, Hollywood musiało wydać setki milionów dolarów, by osiągnąć pożądany efekt. Ale technika szybko idzie do przodu – dziś podobne oprogramowanie kosztuje dosłownie kilka dolarów. Jak wskazywał na wspomnianym wykładzie prof. Grueskin, w naprawdę niedalekiej przyszłości media społecznościowe może zalać fala filmów, w których politycy z pierwszych stron gazet będą zapewniać o rozpoczynającej się wojnie, a na mniejszą skalę np. o nieakceptowalnych przez społeczeństwo zmianach. Program o nazwie Face2Face, opracowany w Stanford, filmuje jedną osobę mówiącą, a następnie manipuluje obrazem tej osoby, aby przypominała kogoś innego. Naprawdę niewiele trzeba, by oczami wyobraźni zobaczyć na całkiem bliskim horyzoncie film, w którym Donald Tusk nawołuje do anarchii i buntu przeciw władzy w Polsce, a Mateusz Morawiecki zupełnie poważnie deklaruje chęć wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Będzie to nieprawdziwe, ale może uda się kogoś sprowokować do agresywnej, ostrej reakcji? Wywołać ferment w społeczeństwie? Rozkołysać polską łódką opinii publicznej? Nie trzeba czytać pogłębionych analiz Ośrodka Studiów Wschodnich ani służb specjalnych, by znaleźć osoby żywo zainteresowane takim obrotem spraw.

W reakcji na te narastające problemy jedni apelują o odpowiednie prawodawstwo, które zakazałoby fake newsów i ostro piętnowało ich kreatorów, inni postulują większą edukację medialną (także w szkołach), jeszcze inni bezradnie rozkładają ręce, przekonując, że jesteśmy bezbronni wobec tej fali. Trudno jednak o jednoznaczną odpowiedź, która nie rodziłaby dodatkowych komplikacji prawnych i ideologicznych. Naprawdę skuteczną reakcją wydaje się... zdrowy rozsądek; zwłaszcza wtedy, gdy czytając kolejne akapity artykułu, będziemy w stanie rozgorączkowania. Zanim podzielimy się swoją złością z innymi (zwłaszcza w mediach społecznościowych), zastanówmy się, czy nie wchodzimy właśnie do orkiestry, która gra pod zupełnie inne dyktando, niż myślimy. Wystarczy kilka kliknięć i próba weryfikacji doniesień, by się zorientować, kto stoi na czele i macha batutą.

Pinokio szuka newsa

Wielkanoc przypadającą w prima aprilis warto powitać nie tylko z radością, lecz i z humorem. A że część odbiorców mogłaby wziąć na poważnie fakty wyssane z palca? Taki już urok fake newsów...



KRZYSZTOF FEUSETTE

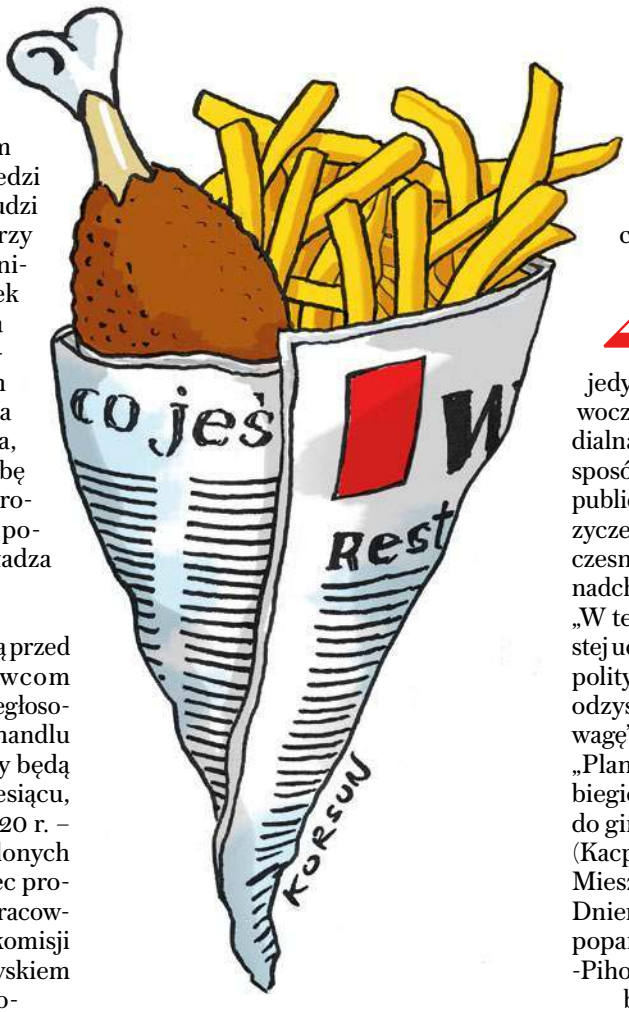
Moda na fake newsy zatacza coraz szersze kręgi. Ostatnia awantura o wyssane z palca „informacje" portalu Onet (konkretnie redaktorów Andrzejów: Gajcego i Stankiewicza), iż amerykańskie władze objęły polskie władze dyplomatycznymi „sankcjami", dowodzi, że dobry, czytaj: odpowiednio spreparowany fake news potrafi błyskawicznie pączkować. Bo przecież brednie podane przez portal natychmiast, bez cienia prób weryfikacji u źródła, ochoczo podchwycił niemal wszystkie media niechętnie obecnej władzy. A i sam Onet.pl piórem szefa tamtejszej publicystyki Bartosza Węglarczyka nie tylko nie potrafił za swoje absurdalne „interpretacje" tajnej notatki krążącej po MSZ przeprosić, lecz twierdził nawet – po dementi amerykańskiego Departamentu Stanu – że „o niczym takim", o czym wspomniała rzeczniczka Heather Nauert, „nie pisał". Manipulacja wywołała zatem kolejną: najpierw były „amerykańskie sankcje", potem jedynie słuszna linia obrony kłamstwa, polegająca na odwracaniu kota ogonem i twierdzeniach, iż w tekście Stankiewicza i Gajcego nie chodziło o „sankcje", ale... informację o istnieniu notatki. Redaktor Łukasz Warzecha z „Do Rzeczy", brnąc w obronę manipulacji, stwierdził nawet, iż słowo „sankcje" było w Onetowej publikacji jedynie „skrótem myślowym". Święta za pasem, ale żeby robić sobie jaja z własnych czytelników?



Biorąc pod uwagę wszystko, co powyżej, a także fakt, iż wiele mediów zaczyna używać fake newsów jako propagandowej amunicji, bo – jak pisał niedawno Wojciech Mucha w „Gazecie Polskiej" – „czasy, gdy tylko prawda była ciekawa, minęły", pozwoliłem sobie zabezpieczyć się na wypadek kolejnych „fejków" masowego rażenia. Nie będę jednak jak Tomasz Lis udawał, że podaję informacje prawdziwe, a potem biegł z przeprosinami. Notabene: Lis przeprosił publicznie do tej pory wyłącznie za jeden spośród rozsyłanych przez siebie fake newsów: ten o „internetowych wpisach Kingi Dudy". Wychodzę zatem od wiadomości prawdziwych, które po wielokropku zaczną żyć własnym życiem, zgodnie z obowiązującymi zasadami produkcji wiadomości fałszywych. Jeśli chociaż część z nich zabrzmi autentycznie, proszę pamiętać, że wszelkie podobieństwo do prawdziwych ludzi i zdarzeń jest tutaj nieprzypadkowe. Przypadkowe są jedynie moje świąteczno-primaaprilisowe „wolne interpretacje". A zatem:

1 Wielkanoc przypada w tym roku w prima aprilis... Z tego powodu, jak podaje nasz informator z biura informacji niejawnych, pisowska władza rozważa anulowanie świąt w ostatniej

chwili i zastąpienie ich Dniem Jaja Narodowego, który poprzedzi falę śmigusowych aresztowań ludzi bez jaj, konkretnie – tych, którzy chcieli spędzić święta poza granicami kraju. Na lany poniedziałek zaplanowano orędzie premiera Mateusza Morawieckiego z trampoliny na jednej z warszawskich pływalni, połączone z laniem na gołą pupę aktora Poniedziałka, którego dokona, na wyraźną prośbę artysty, sobowtór Roberta Biedronia. Nowy termin Wielkanocy pozostaje nieznany, być może władza wycofa się z jej organizacji.



2 Zgodnie z obietnicą daną przed wyborami związkowcom z „Solidarności" PiS przegłosowało w Sejmie ustawę o zakazie handlu w niedzielę. W tym roku sklepy będą czynne w dwie niedziele w miesiącu, w przyszłym – w jedną, a w 2020 r. – jedynie w siedem niedziel ustalonych odgórnie... To jednak nie koniec propozycji mających ułatwić życie pracownikom sektora handlowego. W komisji sejmowej do spraw walki z wyzyskiem trwają już prace nad kolejnym projektem obywatelskim. Zakłada on, że po wolnych niedzielach mają się także pojawić wolne soboty, a potem, o ile projekt zyska uznanie prezydenta, również wolne wtorki i czwartki. Od roku 2022 zakupy w środę będą mogły robić wyłącznie osoby heteroseksualne, a przedstawiciele pozostałych orientacji dostaną do dyspozycji piątki, a i to tylko do południa. Legitymacja partyjna PiS będzie uprawniać do 50-procentowej zniżki na odzież patriotyczną, o ile ta nie będzie pochodzić z Chin.

3 PO zapowiada, że po wyborach cofnie wszystko, co zrobiło PiS... Od członków Gabinetu Cieni Platformy płyną jednak sprzeczne informacje, czy pierwsza decyzja nowego rządu z Borysem Budką na czele będzie dotyczyć 500+, czy też otwarcia granic dla muzułmańskich uchodźców. W pierwszym przypadku obywatele mają otrzymać trzy miesiące na zwrot całości pobranych świadczeń wraz z odsetkami, w drugim – miasto Gdańsk zostanie pod wodzą Pawła Adamowicza przekształcone w arabską metropolię. Obecni gdańszczanie mają zostać wywiezieni do Gdyni, Sopotu oraz (mniej zamożni) do Suwałk. W ciągu pierwszego roku urzędowania premier Budka ma także oczyścić z lokatorów zabytkowe kamienice, w których miejsce powstaną nowe oddziały Europejskiego Banku Złota „Amber Gold 2.0". Spadek PKB planowany jest już po pół roku, wzrost bezrobocia – po ośmiu miesiącach, o co zadbać ma osobiście, według niepotwierdzonych jeszcze informacji, Jan Antony Vincent-Rostowski z Bydgoszczu (Tuskmenistan).

4 Ryszard Petru ma „Plan Petru"... Szczegóły „Planu" są owiane tajemnicą, wiadomo jedynie, że były przewodniczący Nowoczesnej chce wykorzystać swoją medialną rozpoznawalność w nowatorski sposób. Wszystko, co stanowiło w jego publicznych wystąpieniach tzw. przejęzyczenia lub pomyłki, były lider Nowoczesnej ma zamiar zrealizować podczas nadchodzącej kampanii samorządowej. „W ten sposób mógłby dokonać swoistej ucieczki do przodu, pokazać się jako polityk konsekwentny do bólu, a także odzyskać bezpowrotnie utraconą powagę" – mówią jego współpracownicy. „Plan" jest prosty: ciąża stanie się zabiegiem, chłopcy będą mogli chodzić do ginekologa, a święto Sześciu Króli (Kacper, Melchior, Baltazar, Belzebub, Mieszko I, Ryszard Ostatni) stanie się Dniem Nowoczesnej Edukacji. „Plan" poparła już podobno Kamila Gasiuk-Pihowicz, o ile w konstytucji zakazane będzie mruganie do kobiet w sytuacji, gdy są zdenerwowane.

5 Wydawca „Gazety Wyborczej" Grupa Agora chce w ciągu czterech lat otworzyć 45 lokali gastronomicznych... Według ekspertów rynku medialnego może to oznaczać całkowitą rezygnację koncernu z wydawania swojego sztandarowego produktu, czyli właśnie „Wyborczej". Czy zatem gwiazdy dziennika będą musiały bezskutecznie poszukiwać zatrudnienia w innych tytułach? Niekoniecznie. Z ostatnich przecieków wynika bowiem, że dziennikarze „GW" mają stanowić swoistą atrakcję marketingową sieci restauracji Okrągły Stoliczek. I tak w lokalu na Dworcu Centralnym obsługiwać klientów będzie najprawdopodobniej red. Wroński, a w podziemiach PKS w Koluszkach pierogi na żywo lepić ma red. Kublik. Szefostwo gazety w strojach wyzwolonych kelnerów zabawiać będzie VIP-ów w zajeździe Pod Czerwonym Prostakiem usytuowanym na przejściu

Z ostatnich przecieków wynika, że dziennikarze „GW" mają stanowić swoistą atrakcję marketingową sieci restauracji Okrągły Stoliczek

granicznym z Białorusią, gdzie na zmywaku odnajdzie swoją nową przystań red. Czuchnowski. Współpracująca z „Wyborczą" zootechnik Monika Olejnik nie przyjęła propozycji poprowadzenia kuchni w bufecie warszawskiego zoo, tłumacząc to zbyt dużym wzruszeniem. Jeśli nikt się nie znajdzie, do pracy w Agorze w charakterze dostawcy mięsa powrócić ma Lesław Maleszka.

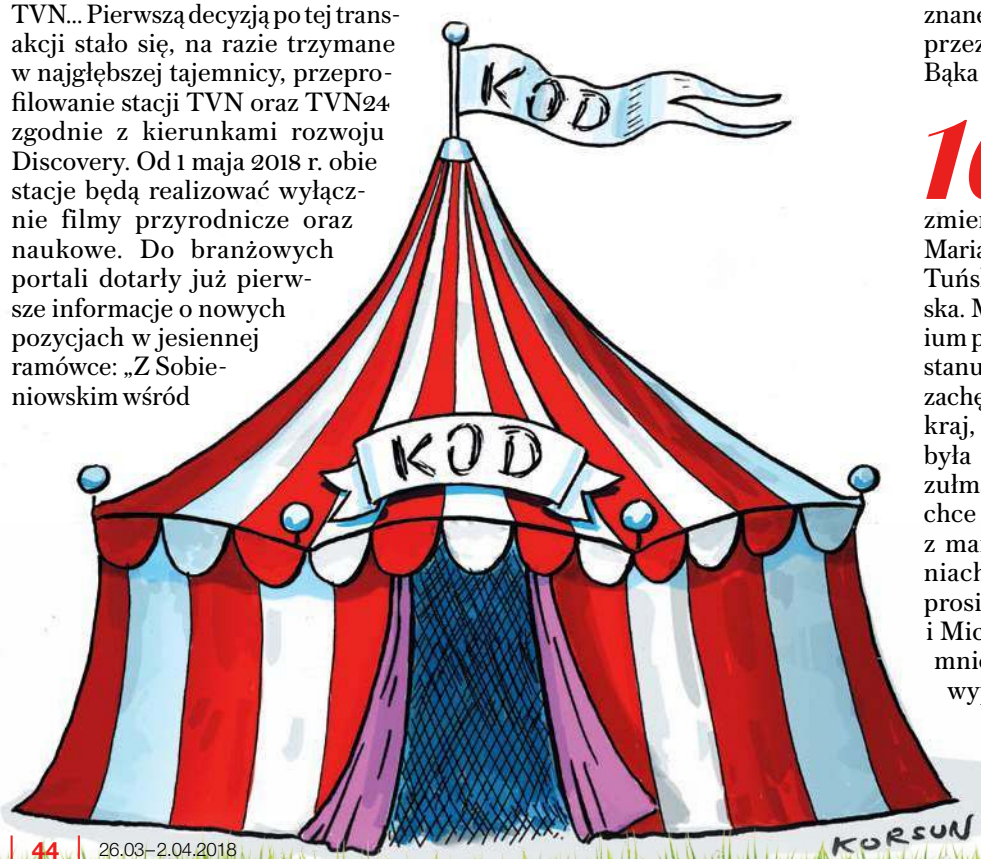
6 Mateusz Kijowski organizuje kolejną zbiórkę pieniędzy... Tym razem chodzi podobno o fundusze na pole namiotowe w warszawskich Łazienkach. Wcześniej wyznawcy KOD dysponowali jedynie małą przyczepą kampingową drugiej świeżości pod ogrodzeniem, teraz mają zająć zespół pałacowo-ogrodowy w całości. O bezpieczeństwo wczasowiczów zadbać mają jenerał Mazguła (przyznał sobie ten stopień własnoręcznie, ale czeka na potwierdzenie od Kijowskiego) oraz kapral Farmazon, wypuszczony warunkowo.

7 Amerykańska firma medialna Discovery Communications stała się właścicielem grupy TVN... Pierwszą decyzją po tej transakcji stało się, na razie trzymane w najgłębszej tajemnicy, przeprofilowanie stacji TVN oraz TVN24 zgodnie z kierunkami rozwoju Discovery. Od 1 maja 2018 r. obie stacje będą realizować wyłącznie filmy przyrodnicze oraz naukowe. Do branżowych portali dotarły już pierwsze informacje o nowych pozycjach w jesiennej ramówce: „Z Sobieniowskim wśród zwierząt" czy „Knapik w kosmosie". W paśmie prime time oba kanały mają transmitować na żywo wywiady Justyny Pochanke z mieszkańcami akwariów, a w niedzielę elitarną „Lonżę prasową" – z udziałem koni wyrzuconych z Janowa Podlaskiego (moderacja: Roman Giertych).

8 Sekretarz Stanu USA Rex Tillerson został zwolniony... Anonimowa osoba z otoczenia prezydenta Donalda Trumpa twierdzi, że za tą nagłą decyzją stoi jeden z polskich portali internetowych. Chodzi najprawdopodobniej o Onet pl. Podobno autorzy fake newsa o „amerykańskich sankcjach" byli tak oburzeni dementi Departamentu Stanu, że osobiście (choć z telefonu red. Węglarczyka) skontaktowali się z Białym Domem, przedstawiając amerykańskiej administracji „brutalne", jak się wyrazili, „ultimatum". Zagrozili, że albo prezydent Trump z małżonką potwierdzą „sankcje", albo oni wypuszczą kolejne fake newsy o jego romansie w Warszawie, do którego miało dojść na terenie Muzeum Polin. Twierdzili, iż mają twarde dowody, że Trump był tam w przebraniu swojej córki, i to przez całe popołudnie. Na dowód Gajcy i Stankiewicz przesłali niewyraźne zdjęcia Piotra Misiły na jednej z wystaw. Warto przypomnieć, że Onet.pl to portal całkowicie apolityczny, dbający o polską rację stanu i kształcenie młodzieży w duchu patriotycznym. Najlepszym przykładem niech będzie tu niedawny (autentyczny, nie „fejkowy") tytuł artykułu o odbiorze przez Polaków kampanii reklamowych viagry oraz środków przeciw wzdęciom. Autorce skojarzyły się one z... Polską Walczącą.

9 Komisja Europejska chce uruchomić artykuł 7 traktatu o UE, oznaczający możliwość objęcia Polski pewnymi sankcjami... I już za chwilę to nastąpi. Głosy Węgier, Litwy, Łotwy, Estonii, Włoch, Malty i kilku innych państw mają być uznane za nieważne z powodów proceduralnych. Z kuluarowych informacji wynika, że wiceprzewodniczący Frans Timmermans planuje także start w wyborach prezydenckich w Polsce, choć w ostatniej chwili wycofa się z wyścigu o Belweder, przekazując swoje poparcie znanej blogerce Kasi Tusk, zgłoszonej przez Europejską Partię Przyjaciół Bąka Józefa.

10 Róża Thun ma dosyć kpin z jej nazwiska... I zamierza jeszcze przed wakacjami zmienić je na typowo polskie: Róża Maria Barbara Grafinowska Wonowicz Tuńska Undanowicz Hohensztajnowska. Ma jej to pomóc zdjąć z siebie odium polityka godzącego w polską rację stanu i sprawić, że ludzie zapomną, iż zachęcała Unię do nacisków na własny kraj, gdy większość społeczeństwa była przeciwna przyjmowaniu muzułmańskich imigrantów. Pani Róża chce również oficjalnie zrezygnować z marzeń o niemieckich odznaczeniach państwowych, a także przeprosić za Janusza Lewandowskiego i Michała Boniego. „To oni namówili mnie do zdrady" – powie, ale oni się wyprą, konkretnie – Lewandowski. Bo Boni, jak to on, kiedyś w końcu się przyzna.



12/0218/F

TAURON

czysta oferta Twoje 300

Prąd i gaz w **obniżonych cenach**

Naprawa urządzeń na prąd oraz gaz

i **300 zł** zwrotu za prąd!*

Zgłoś się po Twoje 300 zł

tauron.pl/twoje300

555 444 555

Opłata jak za zwykłe połączenie telefoniczne,
zgodnie z taryfą operatora.

* Naprawa urządzeń przez 2 lata do 6000 zł. Szczegóły w Regulaminach na tauron.pl/twoje300. Bonus wypłacany na konto rozliczeniowe za energię elektryczną w TAURONIE po dokonaniu rejestracji na tauron.pl/zwrotzaprad

tauron.pl

eprasa.pl e7b333557f



Paweł K., ps. Młody Klapa, wraz ze swoim ojcem po 20 latach usłyszał zarzut zamordowania 17-letniej Iwony Cygan spod Tarnowa

Fot. Wojciech Matusik/Polska Presse

Archiwum X Zbigniewa Ziobry

W Prokuraturze Krajowej krystalizuje się projekt powołania Archiwum X, a więc specjalnej sekcji, która skupi się na ściganiu sprawców niewyjaśnionych zbrodni sprzed lat. Pomysł zrodził się, gdy po dwóch dekadach udało się wyjaśnić cztery głośne morderstwa z przeszłości



WOJCIECH BIEDROŃ

Oto przegląd spraw, które już rozpracowało Archiwum X ministra sprawiedliwości.

SPRAWA JAROSZEWICZÓW – MISTERNA GRA ŚLEDCZYCH

Poniedziałek, 12 marca 2018 r. Marcin B., rzucony przez policję na chodnik i zakuty w kajdanki, jest kompletnie zaskoczony. O gangstera z tzw. grupy karateków sprawiedliwość upomina się po prawie 26 latach. Tyle minęło, odkąd – z dwójką kolegów z sekcji karate AZS przy Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu, Dariuszem S. i Robertem S. – miał zamordować w warszawskim Aninie byłego premiera PRL Piotra Jaroszewicza. Jego żonę, jak wynika z zebranych dowodów, osobiście pozbawił życia strzałem ze sztucera w tył głowy.

Dwa dni po zatrzymaniu Marcina B. minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro ogłasza na konferencji prasowej informację o przełomie w śledztwie. Ale nie byłoby sukcesu w sprawie Jaroszewiczów, gdyby nie sprytna taktyka przesłuchań przy-

eprasa.pl e7b333557f

jęta przez śledczych i błyskawiczne weryfikowanie dowodów. Było tak: jeden kryminalista obciąża drugiego. Drugi pod naporem dowodów przyznaje się do winy. Razem obciążają jeszcze jednego wspólnika – Marcina B. Ale zeznania składane przez Dariusza S., który na początku lutego „pękł" pierwszy, nie są jeszcze wystarczające.

Prokuratorzy są nieufni, mimo że przestępca wykazuje się zaskakującą znajomością szczegółów zbrodni na małżeństwie Jaroszewiczów. – To była wiedza, którą mogli dysponować wyłącznie śledczy albo... mordercy – mówi nam osoba znająca szczegóły sprawy.

Zaczyna się sprawdzanie, z kim gangster z „grupy karateków" siedział w przeszłości za kratami, czego mógł się dowiedzieć od współwięźniów, skąd zna np. detale dotyczące domu Jaroszewiczów. – Sygnałem, że coś jest jednak na rzeczy, był eksperyment z udziałem Dariusza S. w willi byłego premiera. Kryminalista poruszał się po niej, jakby dobrze znał układ domu i jego pomieszczenia – opowiada nasz informator.

Prokuratorzy zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z profesjonalistą. Dariusz S. był zamieszany w porwania dla okupu. On i jego wspólnicy posługiwali się kilkuset telefonami. W torbach przekazywanych rodzinom na okup montowali podsłuchy. Ofiary więzili w gęstym lesie w skrzyni. Mieli na sumieniu biznesmena, który zmarł prawdopodobnie na serce, zanim dostali okup. Wpadli w styczniu bieżącego roku po uprowadzeniu w Krakowie 10-letniego chłopca.

Dlaczego bandzior zatrzymany w innej sprawie zdecydował się mówić o swoim udziale w mordzie na małżeństwie Jaroszewiczów i wydać wspólników? – Jak większość liczył na łagodniejsze potraktowanie. Spodziewał się niższej kary w sprawie o porwania, a w zbrodni sprzed 26 lat umniejszał swój udział – opowiada nam osoba wtajemniczona w sprawę.

Bandzior nie brał pod uwagę innych dowodów. Skrupulatnie poukładane, podparte ekspertyzami biegłych, pozwoliły odtworzyć dramatyczne wydarzenia, do których doszło w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1992 r. w willi w Aninie. Dzięki temu zarzut zabójstwa Jaroszewiczów usłyszeli nie tylko jego kompani, lecz i on sam.

HANNIBAL LECTER Z KRAKOWA

Przykładem tego, jakie możliwości daje współczesna nauka, jest zatrzymanie podejrzanego o okrutny mord na 23-letniej krakowskiej studentce, którą zabójca torturował i obdarł ze skóry. Ale do tego potrzebna jest także determinacja śledczych. A tej nie zabrakło, gdy w kwietniu 2016 r. – a więc krótko po reformie prokuratury – sprawę mordu przejmował Małopolski Wydział Prokuratury Krajowej do spraw Przestępczości Zorganizowanej.

Sprawa jeszcze wtedy wydawała się beznadziejna. Ponad rok później 52-letni korpulentny mężczyzna leżał skuty na ziemi. Robert J., syn krakowskiego poety, usłyszał zarzuty – dokonania zbrodni, która w styczniu 1999 r. wstrząsnęła całą Polską i zyskała rozgłos na całym świecie.

Mord wyszedł na jaw, gdy fragmenty skóry studentki religioznawstwa wkręciły się w śrubę statku pływającego po Wiśle w Krakowie. Po tygodniu znaleziono w rzece nogę zamordowanej. Nie było wątpliwości, że sprawcą jest psychopata, która musiał się wzorować na bohaterze popularnego w latach 90. filmu „Milczenie owiec" o seryjnym sadyście-mordercy Hannibalu Lecterze.

Tropiący sprawcę śledczy musieli się zmierzyć z zadaniem bez precedensu w polskiej i światowej kryminalistyce. Zaangażowali dziesiątki biegłych z Polski i zagranicy. Pomogły im najnowocześniejsze techniki śledcze i zdobycze nauki. Eksperci z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu po raz pierwszy na świecie sporządzili trójwymiarowy obraz zbrodni tylko na podstawie śladów pozostawionych przez sprawcę na tkankach ofiary.

– Badanie samych tylko skrawków skóry pozwoliło ustalić, że morderca zadawał dziewczynie profesjonalne ciosy karate – mówi nam osoba zaangażowana w śledztwo. To był jeden z tropów, który pasował do poczynionych przez prokuraturę ustaleń. Do tego doszły jeszcze inne poszlaki – praca Roberta J. w prosektorium przy preparowaniu zwłok i w instytucie zoologii, z którego został zwolniony, gdy bestialsko wymordował doświadczalne króliki. Dlatego już 19 lat temu był typowany na sprawcę.

> Sygnałem, że coś jest jednak na rzeczy, był eksperyment z udziałem Dariusza S. w willi Jaroszewiczów. Kryminalista poruszał się po niej, jakby dobrze znał układ domu

IWONA CYGAN, CZYLI MORD SYNDYKATU I WPŁYWOWA CIOTKA

Pewni swego są też śledczy, którzy doprowadzili do postawienia przed sąd oskarżonych o zabicie 17-letniej Iwony Cygan spod Tarnowa. Potrzeba było jednak 20 lat i zmiany rządu, by rozbić lokalny układ, który chronił sprawców morderstwa. A podejrzenia o ich ochronę sięgają wysoko...

Iwona umierała powoli. W męczarniach. I upokorzona przez oprawców. Dotkliwie pobita, została uduszona zadzierzgniętym na jej szyi drutem. Sprawcy obnażyli ciało dziewczyny, żeby upozorować seksualny motyw zbrodni. Tragedia, do której doszło w nocy z 13 na 14 sierpnia 1998 r. w Łęce Szczucińskiej koło Tarnowa, pociągnęła kolejne. Niecały rok później w tajemniczych okolicznościach utonął naoczny świadek tej zbrodni, dwaj kolejni zginęli w 2014 r. i 2016 r. W tych sprawach toczą się jeszcze śledztwa.

Dopiero wiosną 2016 r. – zaraz po tym, gdy pieczę nad prokuraturą przejął Zbigniew Ziobro – utworzono specjalną grupę śledczą. Prokuratorzy przełamali zmowę milczenia wśród mieszkańców, którzy wiedzieli, kto jest sprawcą zbrodni. Zebrali też przytłaczające dowody.

eprasa.pl e7b333557f



Fot. Paweł Relikowski/Polska Press

Tomasz Komenda, dziś 42-letni, spędził 18 lat w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił

Gdy kilka miesięcy później śledczy urządzili wizję lokalną, wiedzieli już, kogo i czego szukać. Ściągnęli media. Zebrał się tłum gapiów. – To był sprytny wybieg. Równie ważne, jak odtworzenie przebiegu mordu, było obserwowanie i filmowanie ludzi, którzy przyglądali się wizji lokalnej. Ich reakcje i uwagi były jeszcze jedną wskazówką dla prokuratorów – opowiada nam osoba zaangażowana w wyjaśnianie mordu sprzed lat.

Już w grudniu 2016 r. prokuratura była gotowa z zarzutami. O zabójstwo nastolatki oskarżyła dwóch mężczyzn – Pawła K., ps. Młody Klapa, i jego ojca Józefa K., ps. Stary Klapa. Przed sądem ma również stanąć aż 14 miejscowych policjantów, oskarżonych m.in. o utrudnianie za łapówki śledztwa, a także koleżanka Iwony Cygan, której prokuratura zarzuca składanie fałszywych zeznań.

Stało się jasne, że winnych mordu chronił miejscowy układ – policjantów i gangsterów, żyjących prawdopodobnie z handlu kobietami. O sprawie pisała nawet austriacka prasa, ponieważ główny podejrzany Paweł K. mieszkał od lat w Wiedniu i tam został zatrzymany. Największy austriacki dziennik „Kurier" relacjonował, że „Młody Klapa" – gdy w styczniu 2017 r. zatrzymywała go w Wiedniu policja – oświadczył, że liczył się z ujęciem, ponieważ „jego ciotka nie może już użyć swoich wpływów". Gazeta wymieniała nazwisko wysoko postawionej polityk z poprzedniej ekipy rządowej. Ona sama zdecydowanie zaprzecza, by miała cokolwiek wspólnego ze sprawą.

TOMASZ KOMENDA: 25 LAT WIĘZIENIA ZA NIEWINNOŚĆ

– „Dziś zrobiłbym to samo" – mówił jeszcze tydzień temu Wirtualnej Polsce były prokurator Stanisław Ozimina, który aresztując niewinnego człowieka, zniszczył mu pół życia. Tomasz Komenda, dziś 42-letni, spędził 18 lat w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił.

15-letnia Małgosia K. zostaje zgwałcona w noc sylwestrową na przełomie 1996 i 1997 r. w Miłoszycach na Dolnym Śląsku. Skonała, gdy sprawcy zostawili ją nagą na mrozie. Była tylko w skarpetkach. Już po czterech dniach prokuratura przesłuchuje Ireneusza M. – Zdradził szczegół, który powinien natychmiast zwrócić uwagę śledczych. Opisał dokładnie skarpetki dziewczyny: kolor i widniejący na nich wzorek. Nie mógł ich zobaczyć, gdy razem z nią brał tego dnia udział w zabawie sylwestrowej. Skarpetki były zasłonięte getrami. Widział je tylko gwałciciel – opowiada nam osoba znająca kulisy śledztwa.

Mimo to trzy lata później prokurator Ozimina występuje do sądu o aresztowanie 23-letniego Tomasza Komendy. Opiera się na ekspertyzie biegłego, który stwierdził, że włosy ze znalezionej na miejscu zbrodni czapki należą właśnie do Komendy. Parę dni temu powiedział „Gazecie Wrocławskiej", że nawet nie czytał akt. Później się z tych słów wycofał. Ale nie tylko Ozimina ma na sumieniu Tomasza Komendę. To sądy trzech instancji przesądziły o winie młodego mężczyzny, mimo że kilkunastu świadków dawało mu alibi. Wyrok był surowy: 25 lat więzienia. „Jestem niewinny!" – krzyczał na sali sądowej Komenda.

Rodzice Małgosi nie zaznali spokoju. Mimo wyroku skazującego Komendę i mimo upływu lat. Byli przekonani o jego winie, ale uważali, że w zbrodni na ich córce brał udział ktoś jeszcze. W zeszłym roku napisali list do Zbigniewa Ziobry.

To był przełom. Prokurator generalny kazał śledczym raz jeszcze wyjaśnić okoliczności przestępstwa. Powstała specjalna grupa z udziałem policjantów. Wystarczyło jej kilka miesięcy na dotarcie do prawdy. Zatrzymano Ireneusza M. – tego samego, którego przesłuchiwano już kilka dni po morderstwie. Jak się okazało, mężczyzna, już po śmierci Małgosi był kilkukrotnie skazywany za inne gwałty. – Dowody przeciwko niemu są niepodważalne – zapewnia nas osoba znająca kulisy śledztwa.

Stało się jasne, że Tomasz Komenda nie ma nic wspólnego ze śmiercią Małgosi. „Jestem najszczęśliwszą matką na świecie"– mówiła rozpromieniona Teresa Komenda, gdy jej syn przeszło tydzień temu opuszczał po 18 latach więzienie. Płakali oboje. Dzień później Zbigniew Ziobro zlecił śledztwo, które ma ustalić, kto odpowiada za niesłuszne skazanie mężczyzny. „To podwójna tragedia. Dla rodziny Małgosi i Tomasza" – mówił.

eprasa.pl e7b333557f



FOT. WITOLD RADOCKI/REPORTER

Alfabet antypisu

To zabawne – choć przerażające zarazem – że system pojęć, którym posługują się środowiska antypisowskie, ich ideologia, pomysł na Polskę, w praktyce ogranicza się do garstki haseł, które można uporządkować alfabetycznie. Poniższy przegląd jest oczywiście niepełny, ale daje pewne wyobrażenie o obecnej kondycji wielu środowisk opozycyjnych



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Antysemityzm – fundament polskiej tożsamości, oś, wokół której kręci się życie każdego z nas. Jest podstawowym kryterium dokonywania wszelkich wyborów, w tym również politycznych. Występuje tak powszechnie, że większość z nas nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia (podobnie jak nie zdajemy sobie sprawy z tego, że oddychamy). Obecnie przyjmuje postać wtórną, która objawia się ekscytacją własną historią, wypieraniem ciemnych kart z przeszłości oraz agresją na Twitterze. Jego owocem jest zwycięstwo prawicy w ostatnich wyborach, która zręcznie posługuje się nim, aby utrzymać wysokie notowania.

Bretania – odległa kraina w dalekiej Francji, w której zwyczajowo zajadają ostrygi ludzie cywilizowani i kulturalni. Miejsce, w którym nabiera się ogłady i – wraz z owocami morza – pochłania najnowsze prądy intelektualne świata. Z tego powodu stanowi niedostępny parnas dla ekipy sprawującej obecnie władzę w Polsce oraz jej funkcjonariuszy i popleczników.

Cipka – w dawnych wiekach była organem służącym prokreacji. Dziś stanowi istotę kobiecości, fundament niezależności i symbol walki o własne ciało. Daje prawo decydowania o życiu i śmierci. W jej kierunku nieustannie wyciąga ręce kler oraz wspomagający go funkcjonariusze reżimu, którzy dążą do ponownego zniewolenia kobiety oraz zmuszenia jej do uwarunkowanych kulturowo zachowań, takich jak rodzenie dzieci.

Demokracja – ustrój szeroko rozpowszechniony w Europie poza Polską i Węgrami. Polega na eliminacji w wyborach stronnictw populistycznych oraz faszystowskich. Jego głównym celem jest edukacja większości, aby ta dokonywała w przyszłości właściwych wyborów. Zanim to nastąpi, odpowiedzialność za państwo musi spoczywać na barkach oświeconej mniejszości.

Emigracja – marzenie każdego kulturalnego człowieka. Wielokrotnie deklarowana publicznie jako naturalna reakcja na panujące w Polsce zniewolenie. Pomimo tych deklaracji praktykowana niezwykle rzadko. Jedną z przyczyn



Fot. Screen TVN/Superwizjer

jest zapewne wstyd za własny kraj, jaki odczuwają za granicą emigranci przybywający z Polski.

Frasyniuk – bohater ruchu oporu i przedsiębiorca. Mógłby być uznany za twórcę siedzącego protestu, gdyby nie to, że siedzący protest wymyślono już pół wieku temu w Ameryce. Znany z zawadiackiego stylu, a przy tym niezwykle odważny. Prześladowany za siedzenie na chodniku i za brak dokumentów (przyznają państwo, że wyjątkowo błahe przewinienia). Już dwukrotnie miał być aresztowany, o czym donosiły niezależne media z „Gazetą Wyborczą" na czele, a w ślad za nimi światowe agencje. Jednak do aresztowania przez reżim nigdy nie doszło, zapewne ze strachu przed światową opinią publiczną.

Guru – przewodnik duchowy niezbędny w walce o wolność. Kiedyś guru był jeden i występował na łamach „Gazety Wyborczej". Dziś po cięciach finansowych pojawili się inni. Miejscem nauczania jest zwykle Twitter, za którego pośrednictwem guru nie tylko podtrzymuje wyznawców na duchu, lecz także zachęca ich do walki i poświęceń, nadając tej walce intelektualny wymiar. Bardziej teoretyczne dzieła – skierowane do wymagających odbiorców – publikuje na łamach prasy. Zazwyczaj jego misję wspiera też Radio Tok FM, na którego antenie wyjaśnia słuchaczom zawiłości otaczającego ich świata.

Hipster – kiedyś słuchający jazzu „biały Murzyn", dziś słuchający Tok FM konsument wegańskich potraw. Uważa się za kontestatora i człowieka otwartego. Na szczęście obraca się w środowisku ludzi kulturalnych (p. Bretania), dzięki którym dowiaduje się, co w tym sezonie należy nosić, czego trzeba słuchać i kogo czytać. Ta wiedza pozwala mu uniknąć niewłaściwych wyborów. Jest nadzieją na lepszą przyszłość tego kraju.

Islam – religia pokoju. Przez stulecia prześladowana przez chrześcijan. Z tego powodu jej wyznawcom należy się zrozumienie, współczucie i prawo do zachowania własnych obyczajów. Uznawanie tej religii za agresywną to objaw zacofania i niewiedzy wynikającej z pielęgnowanego przez setki lat europejskiego poczucia wyższości. Nie ma wątpliwości, że wyznawcy islamu zdołają docenić naszą otwartość i odwdzięczą się w zamian tłumną imigracją.

Joga – ćwiczenia uprawiane przez ludzi kulturalnych na bałtyckiej plaży. Ich przeciwieństwem jest bezmyślne wylegiwanie się na piasku, odgradzanie parawanem od ludzi, pokazywanie spasionych brzuchów i jedzenie kręconych lodów. Te patologie nabrały katastrofalnych rozmiarów od czasu wprowadzenia programu 500+. Z tego powodu coraz więcej ludzi kulturalnych rozważa emigrację (p. emigracja) albo – przynajmniej – krótki wypad do Bretanii (p. Bretania).

Kolonie – terytoria zależne i brutalnie eksploatowane. Do tej pory żyliśmy w błędnym przeświadczeniu, że kolonialnymi grzechami obciążone są wyłącznie państwa Europy Zachodniej. Najnowsze osiągnięcia nauki dowiodły jednak, że nie jesteśmy od nich ani trochę lepsi (a kto wie, czy nie gorsi). Wielkopańska Polska przez wieki wyzyskiwała Ukrainę i Białoruś, co zakończyło się dopiero 17 września 1939 r. Heroizacja naszej historii pozbawiła nas – naturalnego w tej sytuacji – poczucia winy za własną przeszłość, co utrudnia nam dziś kontakty z całym światem.

Luz – uczucie charakteryzujące człowieka wolnego. Przejawia się w języku, stroju i otwartym stosunku do świata. Oznacza niezgodę na ograniczanie wolności (p. wolność) w imię tyranii większości. Niekiedy zmusza do podjęcia walki o wolność i do eliminacji z życia publicznego osób, które jej zagrażają.

Marsz – może być Niepodległości lub Czarny. Ten pierwszy jest przejawem faszyzacji życia w dzisiejszej Polsce, promocji Ku Klux Klanu i przemocy wobec inaczej myślących. Rocznica niepodległości jest tu pretekstem do afirmacji nacjonalizmu i rasizmu. Ten drugi stanowi reakcję na zniewolenie i odwołuje się do chlubnych, emancypacyjnych tradycji Martina Luthera Kinga i jego Marszu na Waszyngton. Żałobna barwa jest symbolem represji, jakim poddawane są współczesne polskie kobiety.

No pasarán – odpowiedź wolnych ludzi na faszyzm. Faszyzm to ideologia przeciwna postępowi, prowadząca do jednomyślności, zniewolenia, a w rezultacie do obozów koncentracyjnych i wojny. Rządy prawicy w Polsce są początkiem tej drogi. Każdy, kto sprzeciwia się obozom i wojnie, powinien więc dołączyć do walki z PiS. Zbyt mało osób ma jednak świadomość tej oczywistej zależności. Dlatego walka z faszyzmem musi być głośna i konsekwentna.

Ordery – zwracane w proteście przeciwko tyranii nieprawomocnej władzy. Praktyka zwracania orderów została zapoczątkowana przez redaktorów „Gazety Wyborczej" prowokacyjnie odznaczonych przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Kontynuowana w trakcie kadencji Andrzeja Dudy. Jej celem jest sprzeciw wobec władzy, która opiera swoje rządy na podstawie mandatu podstępnie wyłudzonego od otumanionych wyborców, a zatem sprawowanego wbrew rzeczywistej woli społeczeństwa. Kolejnym etapem protestu będzie przerzucanie orderów przez płot Pałacu Namiestnikowskiego i rzucanie nimi w rządowe limuzyny.

Pasta do butów – substancja niezbędna podczas tropienia rasizmu. Należy posmarować cienką warstwą twarz i dłonie, dobrze wetrzeć w skórę,

42/0218/F

po czym wmieszać się w tłum nacjonalistów i oczekiwać w towarzystwie fotoreportera „Gazety Wyborczej" na atak. Gdy atak nie nastąpi, można zorganizować inną prowokację, np. wygolić sobie na głowie czerwone serduszko, wejść do kościoła, nakrzyczeć przed kamerami na księdza, po czym wyjść i nakrzyczeć na Andrzeja Morozowskiego w TVN.

Równouprawnienie – awans postępowej mniejszości w celu edukacji zacofanej większości. Kiedyś równouprawnienie polegało na wyrównywaniu szans, zwłaszcza w sferze ekonomicznej. Dziś gdy okazało się, że wykluczona ekonomicznie większość jest niezdolna do pokonania swoich mentalnych ograniczeń i nie chce zasilić obozu postępu, zdecydowano, że należy poczekać z jej równouprawnieniem do czasu, gdy zostanie wyedukowana. Na awans zasługują bowiem wyłącznie ci, którzy osiągnęli już polityczną dojrzałość.

Sikanie – ulubiona czynność fizjologiczna wyborców PiS. Odbywa się zazwyczaj w bramie lub na ulicy. Drugą jest plucie. Tak wynika z naukowych ustaleń prof. Ludwika Turki opublikowanych w „Gazecie Wyborczej". Poza tym wyborcy PiS przez całą dobę zieją nienawiścią.

Ten kraj – miejsce, w którym nie da się żyć. Zamieszkane w większości przez sikających w bramach antysemitów oraz rasistów zaludniających latem nadbałtyckie plaże (p. joga). Jedyną ucieczką jest emigracja lub krótki wypad do Bretanii. Tylko nieliczni (p. Frasyniuk) decydują się na opór.

Uchodźcy – wybawienie dla Polski, prawdziwy powiew (żeby nie powiedzieć: huragan) wielkiego świata. Świeża krew, która tchnie życie w zgnuśniałą, przeżartą uprzedzeniami i nienawiścią nadwiślańską codzienność i zmieni ją nieodwracalnie na wzór metropolii w całej Europie. Uchodźcy przywożą ze swoich stron ojczystych nie tylko rodziny, lecz także swój największy skarb – własną kulturę, z którą – jak pokazują przykłady europejskich miast – chcą się z nami szczodrze dzielić, nie oczekując przy tym od nas żadnej wzajemności.

Wolność – możliwość robienia zakupów w niedzielę. W węższym znaczeniu: powrót do życia w harmonii odebranej ludziom kulturalnym przez obskuranckich tubylców. Walka o przywrócenie tej harmonii jest podstawowym celem każdego wolnego człowieka.

Zarośla – miejsce sabatu faszystów. Zwykle zbiera się ich pięciu, aby w środku nocy uczcić kolejną rocznicę urodzin Hitlera i na jego cześć ułożyć swastykę z wafelków. Powszechny w Polsce rodzinny sposób spędzania wolnego czasu na świeżym powietrzu.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

Ubezpieczenia komunikacyjne

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: mieszkaniowe, podróżne, NNW oraz na życie.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl



eprasa.pl e7b333557f

Odrzućmy utopię. Spory nie znikną całkowicie, nigdy nie będzie zupełnie sielankowo. Ale stulecie odzyskania niepodległości, rok 2018, to dobry czas przynajmniej na zawieszenie broni



Z Tadeuszem Cymańskim, posłem Solidarnej Polski, rozmawia Dorota Łosiewicz

Zacznijmy się przepraszać!

Przyjaźń w polityce jest możliwa?

Tadeusz Cymański: Nie nadużywajmy słów drogich i ważnych. Takie słowa to „Chleb", „Matka", „Ojczyzna", a także „Przyjaciel". A pamiętajmy: kto przestaje być przyjacielem, nigdy nim nie był. Ludzie czasem zmieniają żony, ale przyjaciel jest jeden na całe życie. Przyjaźń jest rzadka i dlatego tak cenna. Jako politycy nie jesteśmy w tej mierze żadnym wyjątkiem.

Porozmawiajmy więc o dobrym koleżeństwie. Czy ono jest możliwe między politykami z różnych opcji?

Ostatnio to jest zdecydowanie utrudnione, bo mamy w Polsce bardzo ostry konflikt polityczny. Jednak z perspektywy ponad 20 lat spędzonych w Sejmie mogę powiedzieć, że dobre koleżeńskie relacje między politykami różnych opcji są możliwe. Często z rozmysłem używam zwrotu: „Koleżanki i koledzy z Platformy" czy z „opozycji". Niektórzy podejrzewają mnie o zabieg erystyczny – tak nie jest, ale nawet gdyby ktoś użył tych słów na wyrost, to ma to głęboki sens i niewątpliwie obniża temperaturę sporu.

A ta jest w ostatnim czasie bardzo wysoka.

Niestety nie mam pozytywnej refleksji na temat jakości obecnej debaty publicznej. Doprowadziliśmy do znaczącego zbrutalizowania języka. Nie bez znaczenia jest wpływ internetu na tę debatę. Hejt stał się modny i jest na porządku dziennym, stał się nawet narzędziem uprawiania polityki. Z tęsknotą wspominam czasy, gdy otrzymywałem krytyczne, nieraz bardzo kąśliwe listy od wyborców. Były one jednak podpisane nazwiskiem nadawcy. Dzisiaj dostaję dużo anonimowych maili, które strach zacytować. To, co dzieje się na forach internetowych, przyprawia o ból głowy. Przykład idzie z góry, a więc my, jako politycy, powinniśmy świecić przykładem, pokazywać ścieżkę zachowań godną naśladowania.



Fot. Andrzej Wiktor

wania. Powinniśmy umieć nad sobą zapanować, przecież „szlachectwo zobowiązuje". A jest jednak zupełnie inaczej. Kiedyś śp. Andrzej Lepper powiedział w Sejmie: „Tu Wersalu nie będzie". Nawet sobie nie zdawał sprawy, jak prorocze były jego słowa.

Ostatnio padają słowa mocne, tak mocne, że trudno sobie wyobrazić, że można się posunąć dalej. Można?

Bardzo lubię szachy – kiedyś zapytano mistrza świata Borisa Spasskiego, czy ludzkie możliwości są ograniczone. Odpowiedział, że tak, tylko ludzka głupota nie ma granic. Tak więc możliwości dalszej destrukcji jeszcze istnieją. Do samego dna trochę nam jeszcze brakuje. Choć nieraz wydaje mi się, że ten nasz „norwidowski fortepian" dosięgnął już bruku.

Można się jeszcze podnieść?

Można i trzeba. Tu jest duże pole do działania dla liderów. Problem w tym, że nikt nie chce ustąpić. Smutne jest również to, że zarówno w elektoracie opozycji, jak i naszym jest wielu ludzi, którym ta temperatura sporu odpowiada. Ba, niektórzy chcieliby jeszcze zaostrzenia konfliktu. To również duża szansa dla dziennikarzy, którzy tolerują, a czasami, mam wrażenie, że nawet akceptują taką formę debaty. No a przede wszystkim, i to najważniejsze, musimy zacząć od siebie.

Tylko jak to zrobić?

Każdy odpowiada za siebie. Ja też nie jestem niewiniątkiem. Bywam pyskaty i kłótliwy. Jednak staram się rozróżniać ironię od szyderstwa, sąd surowy od okrutnego – dlatego staram się atakować bez agresji, a gdy już się zagalopuję – przepraszam. Staram się innych nie ranić, nie poniżać. Na koniec dnia warto dokonać bilansu swoich zachowań.

A przepraszał pan kiedyś politycznego przeciwnika za słowa, które padły w studiu telewizyjnym?

Kilkakrotnie. Zdarzyło mi się powiedzieć: „Słuchaj, zagalopowałem się, przepraszam, czy nie masz mi tego za złe?". Reakcja z reguły była pozytywna. Tak było np. z Jarosławem Kalinowskim z PSL po jednej z audycji radiowych. Nie miałem nigdy problemu z używaniem słowa „przepraszam". Lepiej nawet przeprosić na wszelki wypadek, gdyby ktoś mógł się obrazić, niż kogoś dotknąć na serio. Przyznam pani, że kilkakrotnie w obecnym czasie proponowałem dziennikarzom różnych stacji, żeby zrobili programy na temat dramatycznej nieobecności słowa „przepraszam" w życiu publicznym i politycznym. Mamy świadomość, że miliony polskich dzieci uczą sie w szkołach trzech magicznych słów: „proszę", „dziękuję" i „przepraszam". Znamy także zasadę: słowa uczą, a przykłady pociągają. Pytanie, jaki przykład dają dorośli młodemu pokoleniu i jaki mamy w tym udział my, politycy. Czy jest tak, jak być powinno. Moja skłonność i, myślę, relatywna łatwość przepraszania jest efektem wychowania. Mama ciągle mówiła: „poproś go", „przeproś ją", „idź, podziękuj" itd. Ta cierpliwość i konsekwencja matki zostawiła u mnie trwały ślad. Z tymi słowami było mi lepiej w dorosłym życiu: na studiach, w wojsku, gdy pracowałem w banku i samorządzie. A także w Sejmie. Te słowa ułatwiają kontakt z ludźmi, a ten, jak wiemy, jest kluczowy, zwłaszcza w życiu publicznym. Do naszej rozmowy świetnie pasują jakże aktualne słowa niedawno



Fot. Andrzej Wiktor

zmarłego Stephena Hawkinga: „Największe osiągnięcia ludzkości tworzone są w rozmowie, a jej największe niepowodzenia są skutkiem braku rozmowy. Nie musi tak być. Nasze największe marzenia mogą stać się rzeczywistością. Z technologią, którą dysponujemy, możliwości są nieograniczone. Wszystko, co musimy zrobić, to upewnić się, że wciąż rozmawiamy".

Z kim więc pan rozmawia z politycznych przeciwników. Kiedyś chodziły słuchy o pana zażyłości z Ryszardem Kaliszem.

A wie pani, że to jest ciekawy przypadek, ponieważ my nigdy nie mieliśmy żadnej relacji w życiu prywatnym, np. nie odwiedzaliśmy się, nie chodziliśmy na piwo etc. Jednak przez nasze rozmowy w programie „Kawa na ławę", często ostre, ale zawsze z dużą dozą życzliwości, zostaliśmy uznani przez telewidzów za ludzi, którzy muszą się prywatnie znać i przyjaźnić. Myślę, że to nie tylko ciekawe, lecz i znamienne. Sposób zwracania się, nie tylko treść, lecz i forma wypowiedzi, staje się dla ludzi podstawą do ocen. To ważny sygnał, którego nie można lekceważyć. Byliśmy z Ryszardem Kaliszem w partiach antagonistycznych, a jednak zdarzało się i mnie, i jemu na spotkaniach z własnym elektoratem przyjmować pozdrowienia dla oponenta. Jest w Polakach takie przekonanie, że polityka to teatr, a politycy, którzy skaczą sobie do gardeł, idą potem razem na wódkę. Nie mam osobistych doświadczeń tego typu. Różnimy się naprawdę. A w studiach telewizyjnych i radiowych nie udajemy. Przy odrobinie wysiłku można jednak ocalić pozytywne, koleżeńskie relacje z większością polityków w Sejmie. Jedyną osobą, która szczególnie zapadła mi w pamięć i której nie potrafiłem pewnego zachowania wybaczyć, był Janusz Palikot. Będąc kandydatem na prezydenta, negował konieczność stawiania się na ćwiczenia wojskowe przez młodych Polaków. Na punkcie obrony ojczyzny, w szczególności obowiązku służby wojskowej, jestem wyczulony. Dla mnie to świętość absolutna. A miałem przekonanie, że Janusz Palikot robił to z cynicznym wyrachowaniem.

Cynizm w polityce nie jest chyba wielkim zaskoczeniem.

Partie tworzą różni ludzie, rozmaite partie już były w Sejmie. Tak jak nie ma złych i dobrych narodów, nie ma dobrych i złych partii jako takich. Są dobre i złe programy, tak jak są dobrzy i źli ludzie. Nikt nie ma monopolu na nazywanie się Polakiem. Pamiętamy szczególnie teraz, w czasie wielkanocnym, przypowieść o synu marnotrawnym. Mówi nam ona o bardzo trudnej do przyjęcia prawdzie, że nawet najbardziej wyrodny syn czy córka nie przestaje być dzieckiem swoich rodziców. W każdej społeczności i narodzie mamy tego przykłady. Musimy się za takich ludzi wstydzić, czasami przepraszać. Oprócz sądów ludzkich jest na szczęście także Sąd Ostateczny, gdzie będą znane nie tylko czyny, lecz również intencje. Braćmi w rozumieniu konfesyjnym stajemy się przez chrzest, czasami z tą prawdą trudno się pogodzić i z nią żyć, a w codziennej zapalczywości zupełnie o tym zapominamy. Zapominamy, że miłosierdzie kroczy przed sprawiedliwością. A reguły chrześcijańskie są bardzo piękne, ale bardzo trudne w praktyce.

Z takim miłosierdziem patrzy pan np. na Stefana Niesiołowskiego?

Może nie z miłosierdziem i bez akceptacji dla niektórych jego wypowiedzi i zachowań, ale staram się i myślę, że udaje mi się ocalić te pozytywne relacje z dawnych lat, jeszcze z czasów AWS. Jest mi bardzo smutno, że jego ocena w moim obozie politycznym jest tak fatalna. Życzę mu, żeby ta

43/0218/F

sytuacja się zmieniła. Staram się też zrozumieć zachowania i przyczyny pewnych zdarzeń, ponieważ nie ma dymu bez ognia. Mogę się tylko domyślać, jakie mogą być kulisy tej sytuacji, ale to bardzo osobista refleksja. Zrozumienie jest przedsionkiem akceptacji, zrozumienie innych może nas uchować od ich potępienia. Potępiać należy czyny, nie ludzi. W myśl dewizy św. Augustyna „grzechem się brzydź, grzesznika miłuj".

Myśli pan, że gdyby znalazł się w ekstremalnej sytuacji, na froncie czy na K2, to wielu posłów opozycji, w tym poseł Niesiołowski, wyciągnęłoby do pana pomocną dłoń?

Jestem pewny, że tak. Zrobiłbym zresztą to samo. Ludzie są sobie bliżsi, niż im się wydaje. Gdyby z sobą zetknąć najbardziej skrajne postaci, nawet zostawić w odosobnieniu na jakiś czas, to może pod presją okoliczności przekonałyby się, jak dużo je łączy. Polaków bardzo dużo łączy. Myślę o narodowości, języku, kulturze. Mamy jedno państwo i ponadtysiącletnią historię. Często w tych naszych kłótniach, nienawiści, ambarasie, grzeszymy i tak naprawdę obrażamy ojczyznę. Na stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości możemy się pokusić o taką refleksję! Co by powiedzieli np. ci, którzy ginęli za niepodległą, widząc nasze dzisiejsze spory i to, jak się wzajemnie traktujemy? Ktoś mnie niedawno zapytał, przy alkoholu zbiera się na szczerość: „Tadek, a co by było, gdyby ci wszyscy oficerowie zamordowani w Katyniu stanęli przed nami, jak u Wajdy? 20 tys. żołnierzy w mundurach. I gdyby na nas spojrzeli i nic by, Tadek, nie mówili, tylko by patrzyli... I nie byłoby ci, Tadek, wstyd?".

Byłoby?

Myślę, że niestety tak. Ludzi zawsze wiele różniło. Ale w chwilach szczególnych, w czasie powstań i wojen, różnice zawsze znikały. Teraz nie mamy wojny. Mamy za to wykreowaną polityczną wojnę polsko-polską. W czasach AWS były ostre spory, ale nie było tak ostrej konfrontacji jak dziś. Pewną smutną ilustracją tego, o czym mówimy, jest sposób odbywania i przeżywania corocznych spotkań opłatkowych w Sejmie. Nie będę tego na smutno analizował, ale kamera nie kłamie, a poza tym „widać po twarzy, co się w głowie warzy" i pewien regres jest widoczny gołym okiem. Kryzys na górze niestety idzie w dół, przenosi się na rodziny, które przestają z sobą rozmawiać. To powinno niepokoić.

Jak ten spór zakończyć?

Odrzućmy utopię. Spory nie znikną całkowicie, nigdy nie będzie zupełnie sielankowo. Ale stulecie odzyskania niepodległości, rok 2018, to dobry czas przynajmniej na zawieszenie broni. Jesienią okaże się, czy stać nas na wzbicie się ponad podziałami tak, by uroczystości nie były zgorszeniem dla młodych. Deklaracje i zapewnienia na ustach już są. Czy jednak uda się je wcielić w życie? Czas pokaże. Wspomnienie 1918 r. powinno być święte dla wszystkich.

REKLAMA

FUNDACJA WSPIERANIA
UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Związki wzajemności członkowskiej

W ciągu ostatniego roku zaczęto przykładać większą wagę do wzajemności ubezpieczeniowej, a szczególnie związków wzajemności członkowskiej. Umożliwiają one skuteczne zarządzanie ryzykiem oraz optymalizację kosztów, stąd coraz większe zainteresowanie nimi ze strony np. grup zawodowych, cechów rzemieślniczych, rolników, ale także samorządów terytorialnych. Taki związek ma nawet miasto Łódź.

Samorządy terytorialne w związkach wzajemności członkowskiej widzą przede wszystkim atrakcyjną możliwość decydowania o warunkach ubezpieczenia, m.in. ustalania wysokości składek czy decydowania o sposobie wykorzystania nadwyżki finansowej, np. na cel związany z funkcjonowaniem samorządu.

– Nie bez znaczenia jest to, że przy zakładaniu własnego związku wzajemności członkowskiej nie ma żadnych wymogów kapitałowych, bo funkcję parasola ochronnego i wymóg posiadania kapitału gwarancyjnego spełnia TUW, w ramach którego powstaje taki związek – wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych. – Dlatego wiele gmin zauważyło w ZWCz duży potencjał i przede wszystkim możliwość oszczędności. Na uwagę zasługuje tutaj Łódź, największe miasto, które ubezpiecza swój majątek w ramach związku wzajemności członkowskiej.

Przykład Łodzi pokazuje, że posiadanie własnego ZWCz może dawać ochronę nie tylko majątku, lecz także w każdej innej dziedzinie działalności miasta obarczonej ryzykiem, m.in. odpowiedzialności cywilnej, pojazdów, następstw nieszczęśliwych wypadków członków Ochotniczych Straży Pożarnych i Młodzieżowych Drużyn Pożarniczych, następstw nieszczęśliwych wypadków wolontariuszy.

Jak zauważa Jarosław Bierecki, samorządy terytorialne działają na wielu obszarach i ponoszą np. odpowiedzialność w przypadku zdarzeń spowodowanych przez ich pracowników czy w przypadku następstw nieszczęśliwych wypadków, którym ci pracownicy ulegli. A więc nie tylko szkód powstałych z powodu kataklizmu – gradobicia czy powodzi – lecz także np. działań straży pożarnej podczas akcji ratunkowej. – Trzeba też pamiętać, że dzięki ZWCz samorządy mają realny wpływ na warunki ubezpieczenia i ich dostosowanie do określonych potrzeb np. gminy czy miasta. ZWCz zapewniają także uczestnictwo w podziale nadwyżki bilansowej w postaci zwrotu części składki lub jej obniżki w przyszłych okresach. Należy również pamiętać o możliwości wystąpienia strat, które członkowie związku muszą również wziąć na siebie. Jednak nie przypominam sobie, by takie sytuacje miały miejsce – wyjaśnia prezes FWUW.



Jarosław Bierecki, prezes FWUW

eprasa.pl e7b333557f

Uciszyć dzwony



JAN ROKITA

Trudno w to uwierzyć, ale w Polsce od 2015 r. obowiązuje ministerialna instrukcja, która wprost nakazuje władzom, m.in. burmistrzom, prezydentom i komendantom policji, występowanie do sądów z żądaniem ukarania proboszczów jako sprawców nadmiernego hałasu, który robią kościelne dzwony

Legenda opowiada taki oto epizod z życia św. Paulina, świetnego poety łacińskiego oraz rzymskiego dygnitarza i konsula z przełomu IV/V w., który w końcu wybrał żywot mnicha i został biskupem Noli w południowowłoskiej Kampanii. „Pewnego razu biskup szedł wieczorem obok łąki nad lasem w głębokim zadumaniu. Już słońce schodziło ogniste, rzucając swoje złote promienie na liście, a wokół panowała tak błoga cisza, że biskup zachwycony tym widokiem ręce złożył do modlitwy i zawołał: »Bądź pochwalony i wywyższony Stwórco Świata i daj mi jaki znak widzialny, że jesteś teraz przy mnie«. Wtem usłyszał dzwonienie i spostrzegł, że to kwitnące dzwonki na wietrze kołysały swoje główki. Więc na pamiątkę tej chwili dał potem biskup dla swej katedry ulać duży dzwon na podobę owych dzwonków. I to był

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e7b3335571

pierwszy dzwon kościelny nawołujący wiernych do modlitwy" (cyt. za tekstem R. Frydrychowicza z 1925 r.).

NOWAK, ZYGMUNT, JAN

Dzwony nie są wymysłem chrześcijańskiej Europy. Jak wiele innych cennych fenomenów zachodniej kultury przybyły do nas ze Wschodu, gdzie były znane co najmniej tysiąc lat wcześniej. Ale w Europie na dobre przyjęły się już około roku 800, najpierw we Włoszech, gdzie zaczęto budować słynne „campanille", a niedługo potem przybyły także na Północ – do Anglii, Niemiec, a stąd także do Polski. Z przełomu XIII i XIV w. pochodzą najstarsze zachowane do dziś polskie dzwony – wawelski Nowak i sandomierski dzwon mniejszy z wieży św. Jakuba. Rzecz jasna, dla mnie – krakusa z krwi i kości – symbolem wszystkich dzwonów świata jest XVI-wieczny Zygmunt, którego niski głos zawsze budzi we mnie pewien rodzaj wzruszenia. A takie chwile, jak jego nieustanne bicie wieczorem 16 października 1978 r., pozostają w pamięci na całe życie. Z kolei w Toruniu szczycą się tym, że niemal tak samo potężna Tuba Dei z wieży św. Jakuba jest około 20 lat starsza od Zygmunta. Od czasu, gdy w X w. papież Jan XIII nadał imię Jan wielkiemu dzwonowi rzymskiej Bazyliki Laterańskiej, dzwonom często nadaje się męskie imiona. Co ważne, towarzyszy temu święty obrzęd, który zaczyna się od śpiewu litanii i psalmów prowadzących do obmycia dzwonu wodą święconą, namaszczenia świętymi olejami i okadzenia. Skąd te święte ceremonie towarzyszące uruchomieniu (jakkolwiek było) swoistego instrumentu muzycznego? Stara „Podręczna encyklopedia kościelna" z 1906 r. nie pozostawia tu wątpliwości. Dla chrześcijanina „dzwon to tajemny łącznik teraźniejszości z wiecznością, echo tamtego świata". Od niemal tysiąca lat bicie dzwonów było i jest po prostu znakiem przypominającym ludziom o tym, że Bóg jest wśród nich stale obecny.

Dzwony obwieszczają wielkie święta, przywołują na mszę, towarzyszą procesjom i pogrzebom, a w polskiej tradycji – wzywają każdego dnia rano, w południe i wieczorem do wspólnego odmawiania modlitwy „Anioł Pański". Tę tradycję odnowił i upowszechnił Jan Paweł II, który z owej maryjnej modlitwy uczynił jeden z charakterystycznych znaków swego pontyfikatu. Jeszcze niedawno to codzienne trzykrotne wezwanie na „Anioł Pański" wyznaczało ludziom rytm dnia, dzieląc go na części przeznaczone do innych zajęć. Nasz dzisiejszy tryb życia sprawia, że bicie dzwonu nie jest już miarą naszego porządku dnia. Ale najważniejsza rzecz nie zmieniła się przez wieki: dzwon nadal bije po to, aby przypominać nam o modlitwie i nawoływać do nawrócenia. Jego dźwięk ma nas odrywać na chwilę od zwykłego, świeckiego życia. Dlatego powinien być nie tylko piękny, lecz również głośny i słyszalny.

I właśnie ta głośność i słyszalność dzwonów kościelnych jest coraz trudniej akceptowalna nie tylko dla walczących ateistów, lecz także dla coraz liczniejszych „komfortowych katolików". Takie głośne i publiczne wezwanie do modlitwy traktują oni jako irytujące nadużycie, które na dodatek jest nieekologiczne (bo wytwarza hałas) i przeszkadza w spaniu przy otwartych oknach, zwłaszcza w niedzielne i świąteczne poranki.

KOŚCIÓŁ JAK FABRYKA

Ateiści żyli pośród nas zawsze. Ale nigdy dotąd, przynajmniej w Polsce, otaczająca nas kultura nie dawała im motywacji do podjęcia zorganizowanej walki ze starodawnymi tradycjami wspólnoty chrześcijańskiej. Jak ze smutkiem mówi ksiądz Leonard Makiola, proboszcz opolskiej parafii MB Fatimskiej: „Nawet w stanie wojennym nie zabraniali nam dzwonić". Teraz lokalne władze, policja i sądy zmusiły proboszcza do... zabicia deskami okien dzwonnicy kościelnej i wyciszenia dzwonów. Proboszcz musiał także wynająć adwokata, bo od wielu miesięcy toczą się przeciw niemu postępowania administracyjne i karne. Jakiś czas temu władze zarządziły pomiary głośności dzwonów MB Fatimskiej, ale (jak pisały lokalne gazety) ponoć w Opolu nie ma odpowiedniego sprzętu, więc musiano czekać na specjalny sprzęt z Krakowa.

A wszystko zaczęło się już dobrych parę lat temu (niestety) w Warszawie, na Bemowie. Medialną sławę zdobyło tam małżeństwo Hanny i Zbigniewa Sztranców, którzy jeszcze w 2005 r. rozpoczęli walkę z dzwonnicą kościoła św. Łukasza, domagając się od wszystkich możliwych instytucji (spółdzielni mieszkaniowej, inspekcji ochrony środowiska, prezydenta Warszawy) nie tylko zakazu dzwonienia, lecz generalnie – uciszenia odgłosów odbywających się tam nabożeństw. Za sprawą solidaryzującej się z tymi żądaniami „Gazety Wyborczej" Sztrancowie stali się bohaterami środowisk ateistycznych i antyreligijnych, które odkryły nowy sposób na walkę z przejawami kultury chrześcijańskiej. Akcja z Bemowa, w której wyniku zmuszono proboszcza od św. Łukasza do skrócenia czasu i częstotliwości dzwonienia, wkrótce znalazła w Polsce licznych naśladowców. Dla rozszerzania i koordynacji akcji przeciwnicy dzwonienia stworzyli specjalny portal internetowy poświęcony (jak piszą twórcy): „terroryzowaniu obywateli przez hałas kościelnych dzwonów". Proboszcza od NMP Matki Kościoła przy ul. Domaniewskiej w Warszawie skłoniono do wyłączenia dzwonów bijących dotąd przed porannymi nabożeństwami. Na toruńskich Koniuchach opierającego się długo proboszcza od Miłosierdzia Bożego i św. Faustyny zmuszono w końcu do zmniejszenia głośności dzwonów, co z triumfem obwieszczała tamtejsza „Gazeta Pomorska" („Mieszkańcy w końcu mogą się wysypiać" – numer z 16 grudnia 2016 r.). W tym przypadku nieskuteczna okazała się nawet posłanka Anna Sobecka, domagająca się interwencji ówczesnego ministra Jana Szyszki, odpowiedzialnego za zwalczanie hałasu. W Słupsku proboszcz od Najświętszego Serca Jezusowego wykazał daleko idącą uległość i (jak tłumaczył „Głosowi Pomorskiemu") kazał nie tylko dzwonić krócej i dzwony wygłuszyć, lecz nawet „na »Anioł Pański« nie dzwonić każdego dnia".

Za to w Tczewie dzwon u św. Józefa ocalił (jak się zdaje) tamtejszy starosta, który ściągnął co prawda inspekcję mierzącą hałas, ale uznał sprawę za załatwioną, gdy okazało się, że dzwon nie

przekracza urzędowych norm wyznaczonych dla obiektów przemysłowych. W Głubczycach zaś wyjątkową dawkę zdrowego rozsądku wykazał Krzysztof Andrusiak – oficer policji odpowiadający za prewencję i ruch drogowy. Kiedy i tam próbowano uruchomić sprawę karną przeciw proboszczowi od Narodzenia NMP, o czym zawiadomiono także lokalny dodatek „Gazety Wyborczej", ów oficer wysłał organizatorom akcji pismo informujące, iż: „Dzwony stanowią nieodłączną część każdej świątyni i jest to tzw. prawo zwyczajowe, niepochodzące od żadnej instytucji, lecz wykształcone przez społeczeństwo w toku historii". Parę lat wcześniej, jeszcze jako starszy sierżant, Andrusiak wygrał konkurs na najlepszego policjanta ruchu drogowego na Opolszczyźnie. Ale jak pokazują realia, trudno oczekiwać na tyle otwartej głowy od policjantów w całym kraju. W Rybniku tamtejsza policja i straż miejska prowadzą przewlekłą wojnę sądową z proboszczem od Królowej Apostołów, który i tak kazał już skrócić dzwonienie z dotychczasowych trzech minut do jednej. Tamtejszy proboszcz – werbista, ksiądz Jan Pilak – został przez sąd skazany na grzywnę za „wybryk zakłócający spokój" na podstawie art. 51 par. 1 Kodeksu wykroczeń. W tę sprawę po raz pierwszy wyraźnie zainterweniował Zbigniew Ziobro, który zażądał kasacji tego niezwykłego wyroku.

Trudno nie postawić pytania o rolę państwa w tym konflikcie, tym bardziej że jest ona dość niejasna. To, co szczególnie zdumiewające, to specyficzna (raczej nielegalna, bo niemieszcząca się w konstytucyjnych źródłach prawa) instrukcja, jaką 16 listopada 2015 r. wydało w tej materii Ministerstwo Środowiska. Dotyczy ona represji za wytwarzanie nadmiernego hałasu i nakazuje traktować kościoły jako „zakłady", dzwonnice zaś i dzwony kościelne jako „instalacje", czyli „stacjonarne urządzenia techniczne". Rzecz o kluczowym znaczeniu, gdyż w ten sposób głos dzwonu wzywającego wspólnotę na modlitwę jest traktowany przez państwo jako groźny hałas przemysłowy, wytwarzany przez maszyny, który nie może w związku z tym przekraczać dopuszczalnych norm. Co więcej, owa instrukcja wprost nakazuje wszystkim władzom (wymienia je nawet po imieniu: wójtom, burmistrzom, prezydentom, starostom, marszałkom, wojewodom i komendantom policji) występowanie do sądów z żądaniem ukarania proboszczów jako sprawców nadmiernego hałasu.

Na pierwszy rzut oka widać, że tę instrukcję stworzył ktoś, kto chciał wywołać falę procesów sądowych przeciw proboszczom z powodu dzwonów. I tu właśnie tkwi największa tajemnica owej instrukcji. Wydana ona bowiem została 16 listopada 2015 r., czyli dokładnie w dniu, w którym następowała zmiana rządu, a premierem zostawała Beata Szydło. Tego samego dnia Jan Szyszko obejmował szefostwo resortu środowiska. Niestety, przygotowując ten tekst, nie byłem w stanie dojść do tego, kto podpisał się pod ową ministerialną instrukcją. Jej treść została bowiem wykasowana na stronach ministerstwa (pojawia się tam informacja: „błąd 404"), a tekst jest dostępny (niestety bez metryczki i podpisu) wyłącznie na specjalistycznych portalach. Nie zmienia to faktu, że wiele urzędów państwowych działa nadal zgodnie z ową instrukcją, a niektóre sądy w tym samym duchu wydają wyroki (np. Sąd Administracyjny we Wrocławiu).

> „Nawet w stanie wojennym nie zabraniali nam dzwonić" – mówi ze smutkiem ksiądz Leonard Makiola, proboszcz opolskiej parafii MB Fatimskiej

OPRESYJNA MASZYNA

Dwa wieki temu Chateaubriand, bodaj największy spośród intelektualistów francuskich, zachwycał się wynalazkiem dzwonu, który wedle niego jest „rzeczą prawie cudowną". Bowiem „za jednym uderzeniem metalu potrafi budzić wspólne uczucie w tysiącznych sercach oraz zmusić wiatry i chmury, by roznosiły ludzkie myśli i uczucia". Dla dzisiejszych burzycieli religijnej tradycji głos dzwonu nie niesie już żadnych myśli ani uczuć. Jest tylko opresyjną maszynerią, która pozbawia ludzi prawa do spokoju i wypoczynku. Jednak takie maksymalnie pragmatyczne wyjaśnienie powodów rozszerzającej się akcji przeciw dzwonom byłoby sporym uproszczeniem. Tym bowiem, co naprawdę ożywia i dodaje energii aktywistom walczącym z dzwonami, jest pragnienie przyczynienia się do ostatecznej rozprawy z chrześcijaństwem i stworzoną przez nie polską i europejską kulturą. Zresztą, aby nie być posądzonym o stronniczość, wolę tu oddać głos jednemu z aktywistów tej kampanii, wyjaśniającemu jej cele na blogu Radia Tok FM. „Dla mnie te dzwony to symbol pokazujący miejsce Kościoła w naszym pięknym kraju. Niczym obcy okupant codziennie puszcza on w przestrzeń swój hymn i wciąga flagę, pokazując podbitemu narodowi, kto tu rządzi".

W tegoroczny poranek Zmartwychwstania będę mógł jeszcze usłyszeć charakterystyczny niski głos Zygmunta, który ma to do siebie, że jest często lepiej słyszalny w oddalonych od Wawelu dzielnicach Krakowa. Nie znam jakichkolwiek pomiarów (pewnie żaden urzędnik się na nie dotąd nie odważył), ale jestem niemal pewien, że dźwięk owego „stacjonarnego urządzenia technicznego", umieszczonego za sprawą króla Zygmunta w „zakładzie", za jaki uważać należy Wawel, ma głośność przekraczającą dopuszczalne normy „hałasu". Czekam więc na takiego śmiałka ateistę, który z pomocą antyreligijnych gazet zażąda w końcu uciszenia Zygmunta, argumentując, że małe dzieci nie mogą spokojnie spać nawet w budynkach położonych daleko od Wawelu i z tego powodu dostają jedynki w szkole. Może dopiero nakaz uciszenia Zygmunta, wydany przez sąd rejonowy oraz skazanie proboszcza Katedry Wawelskiej, skłoniłyby państwo do podjęcia działania w obronie polskich dzwonów?

Odc. 3/12



Fot. NAC

Władysław Prażmowski-Belina

Bolesław Wieniawa-Długoszowski

Hej, hej, ułani!

Cykl dodatków o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza Niepodległość

MECENAS DODATKU

PZU

PARTNERZY DODATKU

ALIOR BANK

Bank Pekao

LOTOS

eprasa.pl e7b333557f

Pierwsi ułani. Malowane dzieci

Tomasz Łysiak

Stanisław Skotnicki-Grzmot, Gustaw Orlicz-Dreszer, Władysław Zygmunt Prażmowski-Belina



Fot. NAC

eprasa.pl/e/b3335571

W dniach 4–6 sierpnia 1923 r., w kolejną rocznicę wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej z Oleandrów, odbył się we Lwowie zjazd legionistów. Pojawił się na nim także Komendant. Józef Piłsudski wygłosił wtedy słynny wykład, który został potem wydany w broszurze pod tytułem „O wartości żołnierza Legionów". W niesamowitej, wzruszającej przemowie Piłsudski opisywał różne, istotne elementy fenomenu – powstającego na nowo, po dziesiątkach lat niebytu – żołnierza polskiego

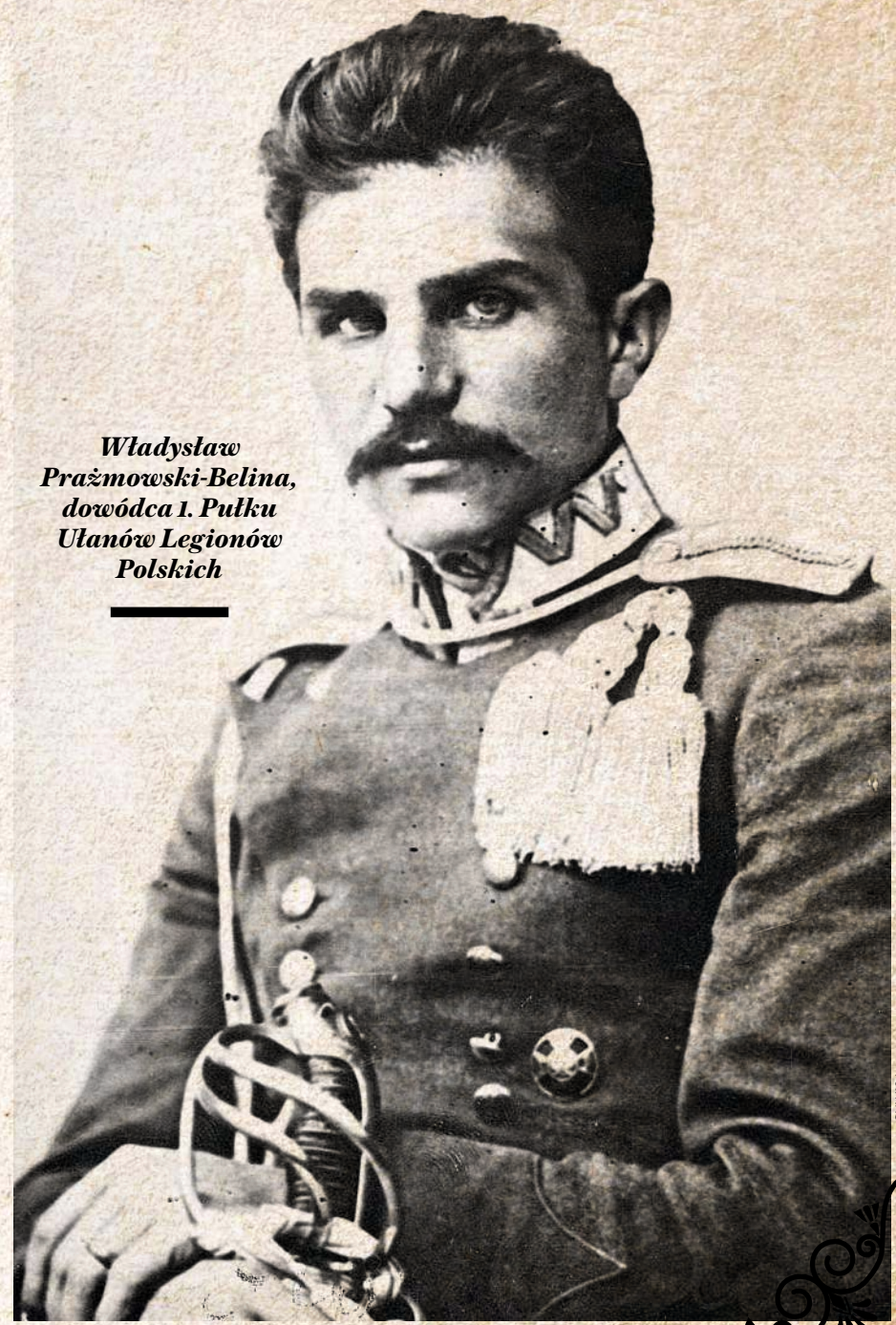
Mówił o odwadze, o wartościach, o pieśniach legionowych. I, jakżeby inaczej, o legionowych ułanach. Przypomniał chwilę, kiedy w opustoszałych po działaniach wojennych przestrzeniach Polesia Wołyńskiego napotkał kawalerzystów...

„Pamiętam, jaką radość i życie wnosiły do tego pustkowia najbujniejsze charaktery, najweselsze bractwo, kochankowie wszystkich kobiet, drapieżni na cnotę niewieścią, młodzi chłopcy ułańscy. Pamiętam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów, tzw. beliniaków. Zdumiony byłem tym, co się tu dzieje. Jest tu życie! Nawet kury chodzą, co było zjawiskiem zupełnie niesłychanym. Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzącym tu, jak na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano tańce, tu grała muzyka, tu było wesele, tu było życie – w ponurym obrazie wojny. To ułani polscy zachowali wieś od zniszczenia, to ułani polscy w smutki wojny wnosili radość".

Nie da się ukryć, że w tym obrazie przekazanym przez Komendanta rysuje się ten niezwykły, wyjątkowy rys ułański – fantazja, czar, romantyczna natura polskiego ułana. Ułana, który w ogniu walki sięga szczytów bohaterstwa, a w spokojniejszych okolicznościach jest uśmiechnięty, a wzrok jego biegnie zawsze ku płci pięknej. Pada w tym opisie też słowo klucz – beliniacy, chłopcy od Beliny. To o nim właśnie – „potomku Kozietulskich i Poniatowskich", Władysławie Prażmowskim-Belinie, pierwszym ułanie Rzeczypospolitej – będzie ta kawaleryjska opowiastka...

Belina, Pierwszy Ułan

Dlaczego pierwszy? Bo pierwszy chronologicznie. Od niego się zaczęło. A także Pierwszy, bo świecący przykła-



Władysław Prażmowski-Belina, dowódca 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich

Fot. NAC

eprasa.pl e7b333557f

dem, bo ten, który zorganizował legionową kawalerię, który zbudował ją od zera, z niczego, zdobywając pierwsze konie, formując pierwsze szwadrony, a swym pierwszym kawalerzystom każąc wiązać karabiny sznurkiem, by trzymały się na plecach. Pierwszy, bo właśnie taki, jak wyobrażamy sobie ułana – pełen odwagi i fantazji, pełen miłości do ojczyzny i szlachetny. Kochający konie. Wierny swemu wodzowi. Taki jak ułani spod Somosierry, których wyobrażamy sobie, zamykając oczy, widząc galopujące konie, czaka z charakterystycznym otokiem i kokardą. My, Polacy, mamy w sobie po trosze ułańską duszę. Patrzymy na twarz Beliny na zdjęciach – jest w niej jeszcze jakiś sienkiewiczowski rys, jakiś zadzior, jakiś duch Dzikich Pól. Dlatego go pokochałem. Jak i jego pierwszą siódemkę. Ten fantastyczny, pierwszy oddział polskiej kawalerii, który samotnie rusza na wojnę, zanim jeszcze giganci zewrą się w śmiertelnym uścisku, zanim Austria wypowie wojnę Rosji.

Niebezpieczny patrol

Przed tym, jak z Oleandrów ruszyła Pierwsza Kadrowa, Piłsudski postanowił wysłać przez granicę niewielki patrol. Siedmiu ułanów bez koni pod dowództwem Prażmowskiego miało się przedostać na drugą stronę granicy i dokonać rozpoznania terenu. Niczym w dobrym westernie mieli spenetrować obszar, na którym, gdyby ich złapano, na pewno groziłaby im śmierć. Belina, pochodzący z dobrej, szlacheckiej rodziny o patriotycznych tradycjach, był wychowany na najlepszych wzorcach, a przede wszystkim na legendzie powstania styczniowego. Jego ojciec Hipolit był żołnierzem Czachowskiego i tłukł się z Moskalami w 1863 r. Gdy Władysław Prażmowski (ur. 3 maja 1888 r.) skończył oficerską szkołę Związku Walki Czynnej, to sam Piłsudski przypiął mu słynny znaczek „Parasol" do piersi. Kiedy poszedł rozkaz mobilizacyjny i do krakowskich Oleandrów ze wszystkich stron zjeżdżali chłopcy ze Strzelca, Związku Strzeleckiego czy Drużyn Strzeleckich, Władysław Prażmowski został szefem kompanii szkolnej (był komendantem krakowskiego „Strzelca" i obozów szkoleniowych). Ale chwilę potem, 2 sierpnia, dostał rozkaz sformowania zwiadowczego oddziału, który miał zebrać informacje w okolicach Jędrzejowa, a także, o ile to możliwe, zasiać trochę niepokoju wśród kacapów. Piłsudski nie pozostawiał złudzeń co do ryzyka podejmowanego przez chłopców, którzy mieli iść na drugą stronę: „Patrol ten jest bardzo niebezpieczny i jest 90 proc. pewności, że wszystkich ich powieszą".

„Przemówiłem parę słów do swoich żołnierzy, podkreślając szczęście i zaszczyt, jaki ich spotkał, że są pierwszymi żołnierzami zmartwychwstającej Polski, którzy otwarcie z bronią w ręku łamią kordony dzielące ojczyznę".

Władysław Prażmowski-Belina

Siódemka Beliny

W „siódemce" tylko dwóch poszło „z rozkazu" – Belina oraz znający okolicę drużyniak Bończa-Karwacki. Wspominał sam Prażmowski, jak podeszło do sprawy pięciu pozostałych uczestników eskapady: „Nie zapomnę nigdy tych krótkich rozmów z nimi, gdy po kilku moich wyjaśnieniach ogólnych o celu wyprawy – prosto, po żołniersku, w dwóch słowach – decydowali się stawiać wraz ze mną swoje młode życie na jedną kartę".

Poza dowódcą w skład „siódemki" weszli: Janusz Gołuchowski „Janusz" (ur. 6 sierpnia 1888 r.), Antoni Jabłoński „Zdzisław" (ur. 13 czerwca 1896 r.), Zygmunt Karwacki „Bończa" (ur. 2 października 1893 r.), Stefan Krak „Dudzieniec" (ur. 25 maja 1885 r.), Stefan Kulesza „Hanka" (ur. 30 sierpnia 1892 r.), Stanisław Skotnicki „Grzmot" (ur. 13 stycznia 1894 r.)oraz Ludwik Skrzyński „Kmicic" (ur. 26 sierpnia 1893 r.). Pseudonim tego ostatniego pasował niezmiernie i do klimatu owego pierwszego ułańskiego patrolu, i do fascynacji samego Beliny, który uwielbiał

Paweł Wójcikowski „Koriat"

Piosnka o Belinie

Hej, tam od Krakowa
Modra Wisła płynie.
Szemrzą fale, fale szemrzą
Piosnki o Belinie.

Piosnki o Belinie
I o jego sławie
Wyjm, Belino, swą szabelkę
Prowadź ku Warszawie,
prowadź ku Warszawie.

Brak naszym ułanom
Lanc i chorągiewek,
Ale za to mają szczęście
Do sarmackich dziewek,
do sarmackich dziewek.

Kiedy wrogi ujrzą
Ułańskie rabaty
Uciekają strachem zdjęte
Tchórzliwe psubraty, tchórzliwe psubraty.

Hej, tam pod Warszawą,
Kędy Wisła płynie,
Szemrzą fale, fale szemrzą
Piosnki o Belinie,
piosnki o Belinie.

Piosnki o Belinie
I jego ułanach
Brzmij, piosenko ty ułańska,
Siej postrach w tyranach,
siej postrach w tyranach.

Trylogię Sienkiewicza. I rzeczywiście „wycieczka" miała sienkiewiczowski przebieg. Chłopcy aż palili się do akcji, więc gdy Komendant dał im – wobec podejmowanego ogromnego ryzyka – jeszcze cztery godziny do namysłu, Gołuchowski wypalił z miejsca: „Komendancie, my już raz zdecydowaliśmy się i już nie chcemy się namyślać, bo przez cztery godziny my-

eprasa.pl/e/b333557f

42/2018/F



STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl e7b333557f

ślenia moglibyśmy tylko osiwieć, decyzji nie zmienimy". Kazimierz Sosnkowski, który osobiście zajmował się wyprawieniem oddziału, tylko pokraśniał z zadowolenia i wyściskał przyszłych ułanów. A zanim ruszyli w bój... No cóż, trzeba było naoliwić gardła i strzelić sobie po kielichu U Hawełki. Na kieliszeczek wiśniaku udali się notabene w szerszym, oficerskim gronie.

Ułani bez koni

W nocy z 2 na 3 sierpnia ruszyli w stronę granicy. Z fantazją! Po ułańsku! Czyli... bez koni! Owszem mieli mundury strzeleckie, karabiny, ale nie mieli tego podstawowego, niezbędnego elementu, który zazwyczaj odróżnia piechura od kawalerzysty. Za to mieli podobno dwie dorożki, którymi dojechali do granicy. Jak to bywa z legendami, tak i ta obrosła w różne opowieści, nikt nie wie, na ile są one prawdziwe. Jedna z nich mówi, że nieśli siodła na plecach, licząc na to, że konie zdobędą za granicą. Nie wydaje się to zbyt bliskie prawdy, byłoby to zresztą nie tylko niewygodne, lecz i niebezpieczne. Ale gdyby popuścić wodze sienkiewiczowskiej fantazji, to ów krotochwilny widok ułanów bez koni, ułanów, którzy osiodłali samych siebie, by iść na Moskala, byłby, a jakże, godzien niejednej gawędy imć Onufrego Zagłoby przy jakimś dobrym antałku w zapomnianej gospodzie pod Kamieńcem. Zostawmy jednak owe siodła i wróćmy do realiów. Naszej siódemce bez przeszkód udało się przekroczyć granicę w okolicach Kocmyrzowa, w przysiółku Baran. Z bagnetami założonymi na broń, ubrani w siwy strzelecki strój weszli na teren Królestwa Kongresowego, jeszcze zanim oficjalnie wybuchła wojna między Austrią i Rosją. Belina tak to wspominał: „Przemówiłem parę słów do swoich żołnierzy, podkreślając szczęście i zaszczyt, jaki ich spotkał, że są pierwszymi żołnierzami zmartwychwstającej Polski, którzy otwarcie z bronią w ręku łamią kordony dzielące ojczyznę".

Polski dwór

Opowieść o „Siódemce Beliny" to także pobyt w polskim dworze w Goszycach i spotkanie z Zofią Zawiszanką (ur. 8 lutego 1889 r.), członkiem Drużyn Strzeleckich, zwiadowcą i kurierem, jedną z tych kobiet, które zaangażowały się w walkę strzelców Piłsudskiego o Polskę. Nie przez przypadek ułani pojawili się w jej domu

Piłsudski nie pozostawiał złudzeń co do ryzyka podejmowanego przez chłopców, którzy mieli iść na drugą stronę: „Patrol ten jest bardzo niebezpieczny i jest 90 proc. pewności, że wszystkich ich powieszą".

– znał ją dobrze jeden z siedmiu, Zygmunt Karwacki „Bończa". Zawiszanka w swoich wspomnieniach opisała spotkanie z patrolem strzeleckim i wielkie emocje, jakie temu towarzyszyły. Ułani dostali w majątku goszyckim wsparcie – prowiant i furmanki. Tam też, we dworze Zawiszanki, wykonano słynne zdjęcie, na którym widać owych strzeleckich „siedmiu wspaniałych". Ich patrol obfitował w wiele zdarzeń zabawnych – np. kiedy myśleli raz, że z lasu wychodzi wróg, a okazało się, że to krowy pędzone na łąkę przez pastuszka. Ale i były też chwile prawdziwego napięcia – w końcu cały czas operowali na terenie wroga. Pewnego razu leżeli w zbożu, dosłownie o kilka kroków od idącego drogą dużego oddziału rosyjskiego. Mieli m.in. dokonywać drobnej dywersji, przeszkadzać w akcji werbunkowej do rosyjskiej armii itd. Za pomocą bomb chcieli nawet wywołać popłoch w Jędrzejowie, który był głównym celem ich działań.

O patrolu Beliny tak pisał szef sztabu Piłsudskiego Kazimierz Sosnkowski:

„Było ich niewielu – zaledwie siedmiu zapaleńców o romantycznych głowach i gorących sercach, siedmiu młodych chłopaków, wychowanych na tradycjach powstania 63 roku oraz na lekturze owego czarodzieja, twórcy Trylogii w trzynastu tomach, w której młodzież mego pokolenia zaczytywała się bez końca, zdolna recytować z pamięci całe ustępy tej narodowej sagi. [...] Patrol wykonał znakomicie powierzone mu zadanie: spenetrował Słomniki, Miechów i Jędrzejów, ukazując się tu i ówdzie w mundurach i w pełnym uzbrojeniu. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść o inwazji »wielkich sił Sokoła«. Drobne oddziały straży granicznej i policji uchodziły pośpiesznie na północ. Jeszcze w tydzień później, podczas marszu na Kielce, mogłem na własne oczy oglądać w Jędrzejowie ślady popłochu, a więc akty mobilizacyjne, walające się po podłodze w urzędzie powiatowym, zaś w mieszkaniu »isprawnika« (naczelnika powiatu) rozrzucone ubrania i suknie, na stołach niedojedzony posiłek".

Początki kawalerii

Powrót z patrolu do Oleandrów był dla wracających ułanów (z pięcioma zdobytymi końmi) powodem do chwały. Dał świetny zastrzyk energii i nadziei chłopcom, którzy za moment mieli ruszyć walczyć z Moskalami. Opowieść o tym, jak przed siedmiu zaledwie ułanami w mundurze strzeleckim zwiewały całe garnizony rosyjskie, robiła wrażenie. Nikt nie wnikał w szczegóły – w końcu nieważne było to, iż Rosjanie brali ich za zwiad, za którym idą zapewne większe siły. Liczyło się to, że uciekali z podkulonym ogonem.

Siódemka beliniaków ruszyła razem z Pierwszą Kadrową na Kielecczyznę. Ułani, ubrani w zwykłe strzeleckie mundury, jechali przodem jako czujka, sprawdzali teren i wytyczali drogę dla pozostałych oddziałów idących w stronę Kielc. W Kielcach nastąpił ich chrzest bojowy, gdy nagle musieli stoczyć bój z wycofującymi się oddziałami konnymi dywizji Nowikowa. A Belina... Belina zbierał swój pierwszy oddział. Najpierw szwadron, który z czasem miał się przekształcić w dywizjon. A w końcu, w 1916 r., powstał z niego 1. Pułk Ułanów. Prażmowski awansował: we wrześniu 1914 r. został porucznikiem, w marcu 1915 r. rotmistrzem, a w styczniu 1917 r. – majorem. Bił się pod Kielcami, Czarkowami, Winiarami, Korczynem, Limanową, Nowym Sączem, pod sławetnym Łowczówkiem. Toczył ciężkie walki w 1915 r. nad Stochodem i Styrem, a w końcu w 1916 r. walczył mężnie pod Kostiuchnówką. Awansowany do stopnia podpułkownika nadal organizował kawalerię, ale też uczestniczył

eprasa.pl/e/b333557f



Fot. Z kolekcji pocztówek legionowych Tomasza Łysiaka

eprasa.pl/e703335571

w działaniach konspiracyjnej POW. Po kryzysie przysięgowym został zwolniony z Legionów, ale potem zapisał kolejne, piękne, bohaterskie karty swego ułańskiego życiorysu w wojnie polsko-bolszewickiej. Zmarł na udar serca tuż przed wybuchem II wojny światowej, 13 października 1938 r.

Cyrk Bellini

Tak pisał o nim Andrzej Strug: „Wariacki Belina i jego wariaccy i całe to jego końskie wojsko wariackie, jakże wymyślnie przezywane przez bataliony piechoty; przezywane czikosami, cyrkiem Bellini, a on sam przezywany wymyślnym mianem wodza szczepów indiańskich Beli-na-Himpa-Dimpa! Cóż z tego, że przezywany ciągle! Lecz kiedy w ciasnej izbie chałupy, w której zatrzymał się Piłsudski podczas bitwy nad Wisłą, na Podhalu, pod Limanową czy Nowym Sączem, otworzą się drzwi nagle i wjedzie rotmistrz Belina o twarzy smagłej, oliwkowej, osmaganej wichrem, rozjaśnionej błyskiem wielkich stalowych oczu, ten Belina osobliwie postawny, niby skromny, a właściwie wyzywający, dziki i radosny, bohaterski, a bezczelny, taki Belina, że miłość swoją do Komendanta okazujący dziecinną i piekielną zarazem krwiożerczością, jak gdyby zawsze czekający szalonego rozkazu ze strony Komendanta, rozkazu, żeby tym półtora szwadronem rozbić korpus rosyjski, zdobyć warowną twierdzę, ten Belina stukający odstrzelonym palcem twardo po mapie, niby młotkiem, ten Belina w każdej nowej miejscowości we wszystkich nazwach, drogach, wzgórzach, dolinach, kierunkach orientujący się od razu, jakimś niezawodnym zmysłem, lepszym niż psi czy koński, ten Belina ze źdźbłami słomy na portkach i w czuprynie, zionący koniem i czarką wódki wypitej na śniadanie”.



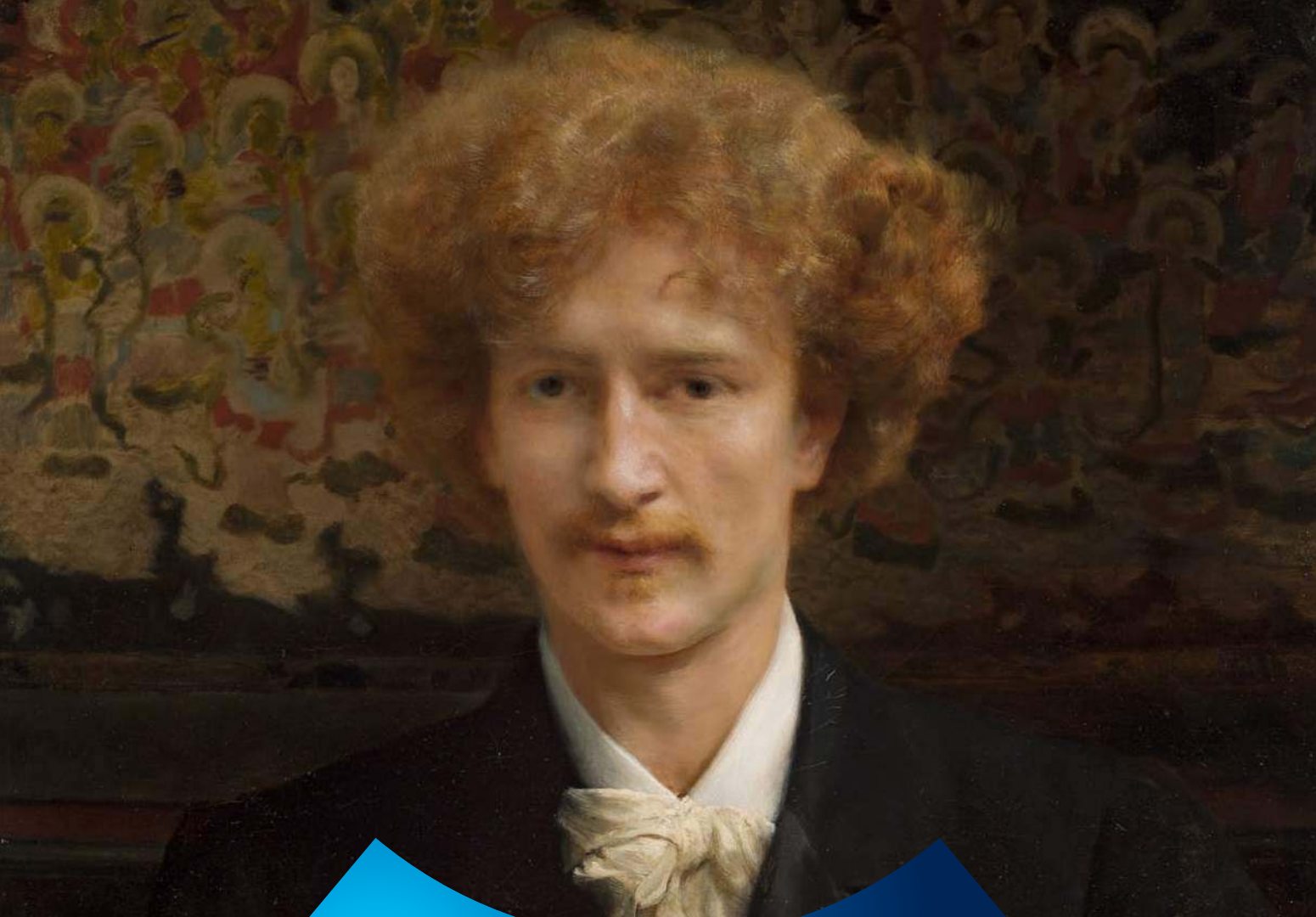
Fot. Z kolekcji pocztówek legionowych Tomasza Łysiaka

Miał Belina w trakcie wojny swoje trzy ulubione konie: jasnogniadego Pioruna, Białkę i arabkę Śnieżkę. Wszystkie trzy stracił. A kończył walki na wiśnio-gniadym Irmaku. Ułan to także historia miłości do wierzchowców... Tak więc trudno inaczej wyobrażać sobie Belinę niż na koniu. W szlachetnej postawie. W czapce beliniaków, która kształtem nawiązywała, jak pisał Kaden-Bandrowski, do czak z czasów napoleońskich. Był pierwszym ułanem Prażmowski-Belina. A za nim byli inni, pierwsi, piękni ułani.

Jeden spośród nich, niezwykle przystojny, o doskonałym poczuciu humoru, miał się stać adiutantem samego Komendanta. To on wjechał w sierpniu 1914 r. na koniu do Kielc, a gdy zatrzymał się pośrodku rynku, zawadiacko oparł karabin kolbą na udzie i zerknął, czy damy stojące w oddali widzą, jaki z niego chwat. To był Wieniawa...

58/0118/F

eprasa.pl/e/b3335571



MATERIAŁ
MARKETINGOWY

PZU mecenasem wystawy „Paderewski” w Muzeum Narodowym w Warszawie

Z dumą zapraszamy na wystawę poświęconą Ignacemu Janowi Paderewskiemu, który na kartach naszej historii zapisał się jako wybitny pianista, kompozytor i jeden z najważniejszych polskich działaczy niepodległościowych.

Wystawę można oglądać do 20 maja 2018 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie.

pzu.pl

eprasa.pl e7b333557f



Bolesław Wieniawa-Długoszowski

Boże, zbaw Polskę!

Opowieść o dziesiątym pierwszym ułanie

W tym mężczyźnie, który rankiem 1 lipca 1942 r. wyszedł w piżamie na balkon swojego nowojorskiego apartamentu przy Riverside Drive 3, nikt pewnie by nie rozpoznał legendy polskiego wojska, Pierwszego Ułana II Rzeczypospolitej, dżentelmena, bawidamka i poety, przystojnego oficera, za którym szalały tabuny kobiet. Nie miał na sobie przecież munduru, a potworny los, jaki spotykał jego ojczyznę od kilku lat, odcisnął na twarzy tego człowieka silne piętno. Mężczyzna przyklęknął. Być może się modlił. Potem wstał i rzucił się w dół, ku śmierci. W kieszeni piżamy znaleziono kartkę, na której było napisane jedno zdanie: „Boże, zbaw Polskę!”. I krótki podpis – „B.”. Był to Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Tomasz Łysiak

Fot. Z kolekcji pocztówek legionowych Tomasza Łysiaka

eprasa.pl/e/b3335571



Józef Piłsudski i por. Bolesław Wieniawa-Długoszowski w bramie hotelu Brühlowskiego

Fot. NAC

Artur Oppman „Or-Ot”

Trzech ułanów

Pójdź za mną, synku, w pole, hen,
na ten pagórek świeży:
złożono tam na wieczny sen
zabitych trzech żołnierzy.
Jeden z nich pruski mundur miał,
ale nie pruskie serce.
Na chaty wasze ogień słał –
taki już los w żołnierce.
A drugi polski przywdział strój,
choć przyszedł do nas z wrogiem.
Z wzniesionym czołem poszedł w bój.
Dziś stoi już przed Bogiem.
Trzeci, ojczysty broniąc kraj,
w pierś tamtych celnie mierzył.
I on jak tamci bracia dwaj
w wskrzeszenie Polski wierzył.
Słońce już zaszło, wschodzi nów
nad ciszą polskich łanów.
Schyl głowę, synku, pacierz zmów
za wszystkich trzech ułanów.

Wieniawa do dzisiaj cieszy się zasłużoną sławą. Nawet ci, którzy niezbyt interesują się historią, strzygą uchem na dźwięk tego nazwiska. Czasem kojarzą, że „to ten, co stojąc przed schodami w Adrii, powiedział: „Skończyły się żarty, a zaczęły schody”. Anegdoty o nim są faktycznie istotną częścią tej legendy, a Wieniawa wraz z tymi wszystkimi opowieściami stał się symbolem i właściwie ucieleśnieniem pojęcia „ułan”.

To były piękne czasy

Był więc tym Pierwszym Ułanem II RP nie bez kozery – bo za nim stały i bohaterski czyn, i udział w walkach, i miłość do koni, i uwielbienie dla Marszałka, którego był adiutantem, i niezwykłe poczucie humoru, i czar, i odwaga, i romantyczna natura, i nawet talent poetycki (wiele piosenek legionowych i ułańskich wyszło spod pióra Długoszowskiego). Wszystkie anegdotki, które o nim krążyły, zapewne były ubarwiane – albo przez niego samego, albo przez „opowiadaczy” – jednak musiało być w nich ziarno prawdy, a do wielu z tych zdarzeń doszło rzeczywiście.

W 1934 r. Wieniawa-Długoszowski miał się pojawić na pogrzebie króla Jugosławii jako reprezentant Polski. Niestety nie wiadomo dlaczego – spóźnił się. Gdy wrócił do kraju, został wezwany przed oblicze rozeźlonego Marszałka. Pojechał do Piłsudskiego w smokingu. Ten strój jeszcze mocniej rozsierdził Wodza, który zamierzał go zbeształ i ukarać. Ale Wieniawa wypalił znienacka: „Komendancie, melduję posłusznie, iż wiem, że ciężko przewinił i powinienem dostać po pysku. A ponieważ bardzo szanuję mój mundur, przybyłem jako cywil. Polski generał nie może dostać po mordzie w mundurze!”. Reakcja była do przewidzenia. Rozbawiony Piłsudski puścił mu wszystko płazem... Takich anegdot krążyło w II Rzeczypospolitej dziesiątki. A to jakaś dama miała mu wymieniać elementy składowe idealnego mężczyzny, podając jednocześnie pokaźną długość przyrodzenia w centymetrach, na co Wieniawa miał parsknąć: „Madame, na wszystko się zgadzam, ale 10 cm obciąć sobie nie pozwolę!”. A to znowuż w trakcie wizyty w Pompejach, gdy ktoś mu rzekł, że „całe miasteczko było ongiś zalane”, miał westchnąć z rozrzewnieniem: „To były piękne czasy...”. Ten zawadiacki, fantazyjny wymiar postaci Wieniawy to tylko część wizerunku. Na pierwszym miejscu zawsze był on żołnierzem! Ułanem! Chociaż zaczynał w piechocie...

Grzeszne ułańskie niebo

Wieniawa-Długoszowski przyszedł na świat 22 lipca 1881 r. w majątku Maksymówka w województwie lwowskim. Wychowywany był w rodzinnych tradycjach powstańczych. Studiował w Paryżu, wstąpił do Związku Strzeleckiego. I to właśnie z Paryża, w którym pisywał wiersze i sztuki teatralne, przyjechał do krakowskich Oleandrów – właśnie wtedy, gdy zbliżały się wybuch I wojny światowej i polska walka o niepodległość. Tak wspominał sam pierwsze wojenne chwile: „Do samej śmierci, a może nawet i dłużej, będę równie dumny z faktu, że karierę moją

eprasa.pl e7b3335571



Gustaw Konstanty Orlicz-Dreszer

Fot. Z kolekcji pocztówek legionowych Tomasza Łysiaka

Gustaw Orlicz-Dreszer

Pierwszy szwoleżer

Generał Orlicz-Dreszer był zwany „pierwszym szwoleżerem". Walczył w I Brygadzie, przechodząc z nią cały szlak bojowy. Po kryzysie przysięgowym został internowany w Szczypiornie. Kiedy Polska odzyskała niepodległość, stworzył 1. pułk szwoleżerów i wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Od 1924 r. był dowódcą 2. dywizji kawalerii. W listopadzie 1925 r. w trakcie obchodów święta niepodległości wygłosił w Sulejówku przed Piłsudskim słynną mowę, w której powiedział m.in.: „Gdy dzisiaj zwracamy się do Ciebie, mamy także bóle i trwogi, do domu wraz z nędzą zaglądające. Chcemy, byś wierzył, że gorące chęci nasze, byś nie zechciał być w tym kryzysie nieobecny, osierocając nie tylko nas, wiernych Twoich żołnierzy, lecz i Polskę, nie są tylko zwykłymi uroczystościowymi komplementami, lecz że niesiemy Ci prócz wdzięcznych serc i pewne, w zwycięstwach zaprawione szable!". Rok później w trakcie przewrotu majowego stanął po stronie Marszałka. Od grudnia 1930 r. był inspektorem armii, a od 9 lipca 1936 r. – inspektorem obrony powietrznej. Ducha kawalerzysty zachował w ciągu całej swojej służby, od chwili gdy w lecie 1914 r. zdezerterował z armii rosyjskiej, by dołączyć do oddziałów Piłsudskiego, aż do czasu gdy miast ułańskim wierzchowcem kierował sterami samolotu. Niestety, właśnie w katastrofie lotniczej poniósł śmierć, kiedy 16 lipca 1936 r. leciał na spotkanie żony wracającej do kraju.

wojskową i wojenną rozpocząłem w szeregach królowej wszystkich broni, w piechocie, jak szczęśliwy z tego powodu, że Bóg litościwy po krótkich i zaszczytnych, lecz ciężkich cierpieniach, powołał mnie ustami Beliny do grzesznego ułańskiego nieba". Wyruszył bowiem Długoszowski z Oleandrów wraz z Pierwszą Kompanią Kadrową, w czwartym plutonie Herwina-Piątka. Belina miał już wówczas dziewięciu ułanów, którzy szli w awangardzie. Wieniawa marzył o ułańskiej wojaczce, więc gdy tylko nadarzyła się okazja, zdobył gdzieś konia, i to razem z siodłem (ponoć sporo zapłacił). Dopadł do Prażmowskiego i jego ludzi. Gdy ten zobaczył Długoszowskiego na koniu, nie posiadał się ze zdumienia. Wcześniej przez jakiś czas miał go nawet pod swoją komendą (jako sekcyjnego), ale nie znał kawaleryjskich umiejętności podkomendnego. „Wieniawa – powiedział – dlaczego nie powiedzieliście mi, że jeździcie konno?". „Nie pytaliście mnie!" – brzmiała odpowiedź. „Od dzisiaj należycie do mojego patrolu!" – skwitował twórca ułanów. I tak się zaczęła kariera ułańska Wieniawy, który uzyskawszy w Jędrzejowie zgodę od Herwina na przenosiny, nie posiadał się z radości. Został dziesiątym ułanem Beliny.

Byle do wolnej Polski

Gdy 12 sierpnia strzelcy wkraczali do Kielc, na czele jechali beliniacy. Wśród nich Wieniawa. Kapitalne zdjęcie, które zachowało się z tamtego dnia, pokazuje Długoszowskiego siedzącego w dumnej postawie na koniu. Prawda o konnej jeździe w tamtym czasie była jednak bardziej bolesna, co zresztą Wieniawa sam opisał w swoich pamiętnikach. Siodło, które posiadał, nie było zbyt wygodne. Po kilku dniach jazdy ułan, który błyskał okiem w stronę dam, musiał się niestety, jak niepyszny, udać do lekarza, doktora Rouperta, i pokazać, co się dzieje z jego zadkiem. A ten wyglądał „jak pole bitwy". Lekarz był tak zaniepokojony stanem zdrowia Długoszowskiego, że chciał go nawet odsyłać na tyły. Jednak Wieniawa kazał wszystko zajodynować i zabandażować. Dalsza jazda odbywała się więc pomimo opatrunków i zaciśniętych z bólu zębów. Dolegliwości minęły. Zaczynał się piękny, bojowy szlak, w którym były i najważniejsze bitwy

62/2018/F
eprasa.pl/e/b3335571

TWOJA POŻYCZKA PRZEKORZYSTNA



RRSO
15,08%

Bank Pekao

Docenisz różnicę

Reklama dotyczy Pożyczki Ekspresowej. Warunki specjalne, tj. oprocentowanie zmienne – 5,99% w stosunku rocznym oraz prowizja za udzielenie pożyczki – 5,99% od kwoty pożyczki, dotyczą pożyczek wnioskowanych w okresie od 1 marca do 30 kwietnia 2018 r., w kwocie do 15 000 zł, udzielonych na okres do 24 miesięcy. Udzielenie pożyczki zależy od wyniku oceny zdolności kredytowej. Niniejsza informacja nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.
Rzeczywista roczna stopa oprocentowania dla przykładu reprezentatywnego wynosi 15,08%. Dla pożyczki w kwocie 2500 zł, zaciągniętej na 18 miesięcy, całkowita kwota do zapłaty to 2787,18 zł. Oprocentowanie zmienne – 5,99% w stosunku rocznym, całkowity koszt kredytu – 287,18 zł, w tym prowizja – 159,29 zł i odsetki – 127,89 zł. Kalkulacja podana wg stanu na dzień 1 marca 2018 r. Kredytodawcą jest Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna.

epapsa.pl e7b333557f

I Brygady, i przebywanie bardzo blisko Piłsudskiego.

Zanim jednak został adiutantem Komendanta, doświadczył spotkania z innym gigantem ducha, fenomenem polskości i wielką postacią. Oto w trakcie sierpniowych walk na Kielecczyźnie patrol beliniaków z Wieniawą w składzie został wysłany w okolice Oblęgorka, słynnego dworku podarowanego przez naród twórcy Trylogii. Ułani stwierdzili, że muszą odwiedzić Sienkiewicza i złożyć mu hołd. Wokół tego spotkania narosły legendy, a w literaturze i w publicystyce pojawia się wiele wersji tego wydarzenia. Najbardziej znana jest ta, wedle której Sienkiewicz miał przyjąć strzelców bardzo chłodno i wyrażać swoje wątpliwości co do idei walki u boku Austriaków. Mistrz pióra uważał żywioł niemiecki za najniebezpieczniejszy dla polskości i prób odzyskania naszej podmiotowości. Na to Belina (lub Długoszowski) miał odpowiedzieć: „Choćby z diabłem, byle do wolnej Polski!”.

Dzięki niemu nie utonąłem w szarzyźnie

Wieniawa nieco odmiennie przedstawił to w swoich wspomnieniach. Oto gdy zajechali przed ganek, otworzyły się drzwi werandy. Wyszedł z nich Sienkiewicz w towarzystwie córki i syna. „Patrzyłem na twarz jego bladą – zapisał Wieniawa – o rysach jakby zmęczeniem czy chorobą wyciągniętych, subtelnych i niezmiernie wykwintnych, na przysłonięte szkłami mądre, przenikliwe, zatroskane przy tym oczy i ze wzruszeniem, nad którym i nie mogłem, i nawet nie chciałem zapanować, myślałem: To on – to jest ten człowiek, który mej młodości dał wrażenie najgłębsze, najwyższe, niezapomniane. On, z którego książkami nie rozstawałem się przez lata – kochałem wskrzeszonych przez niego w moje życie żołnierzyków i junaków osławionych – zazdrościłem im na jawie, a towarzyszyłem w snach, w nieskończenie długim cyklu przygód, wyjawiałem Kmicicowi w porę zdradę Janusza Radziwiłła, odbijałem dlań Bogusławowi Oleńkę, jeździłem z panem Zagłobą za Jahorlik po Helenę Kurcewiczównę, ratowałem od męczeńskiej śmierci Longina Podbipiętę. Przez niego brałem w gimnazjum dwóje z niemieckiego i z greki, przez niego przesiedziałem tyle razy w niedzielę w karcerze za czytanie tych rycerskich opowieści podczas nauki, ale dzięki niemu – przede wszystkim dzięki niemu – nie utonąłem w szarzyźnie i miałkości uczuciowej, nie uwierzyłem, że najpiękniejszym czynem patriotycznym jest podwojenie dochodów, a jedynie mądrymi radami są wskazania w tak popularnych u nas przysłowiach jak te, które uczą, że »pokorne cielę dwie krowy ssie« (a ćpały nas wtedy trzy świnie), że »czasem i diabłu trzeba zapalić świeczkę« – i w to rozstrzygając wszystkie podłości i wszystkie słabości »trudno, mój kochany, cóż robić – życie to jest życie«”. Właściwie w tym opisie jest cały Wieniawa. I szerzej jeszcze – jest duch programowy Legionów.

Długoszowski nie zapisał słów Beliny, lecz je tylko opisał. Podobnie jak odpowiedź mistrza: „Zobaczyłem, jak Sienkiewicz dłoń mu podał, usłyszałem uprzejme słowa podziękowania, życzenia szczęścia w naszych zamierzeniach, brzmiące dla mnie jak błogosławieństwo...”.

U boku Komendanta

Wojując w beliniakach, Wieniawa przechodził przez kolejne stopnie podoficerskie, w grudniu 1914 r. został awansowany na podporucznika i mianowany dowódcą plutonu I szwadronu. Walczył wraz ze swym szwadronem w całej kampanii, potem na jakiś czas trafił do 4. pułku piechoty, przy którym był tworzony ułański szwadron. Objął jego dowództwo, a następnie wrócił do Beliny. Wreszcie w 1915 r. został przydzielony do sztabu I Brygady, gdzie objął funkcję adiutanta brygadiera Piłsudskiego. I tu się zaczął kolejny rozdział jego życia – służba u boku Komendanta. Zanim to się stało, Piłsudski miał poznać Wieniawę w niejednej okoliczności. Ot, choćby wiosną 1915 r., gdy Długoszowski (i jego pluton) wraz z Grzmotem-Skotnickim oraz dowódcą całego szwadronu Gustawem Orlicz-Dreszerem wracał do kawalerii przez wieś Grudzyny. Tam stacjonował sztab I Brygady. Wszyscy trzej zostali wezwani przed oblicze Piłsudskiego, który ich zbeształ i nawymyślał im od „zepsutych paniczyków, rozpuszczonych kundli, nicponiów i moczymordów”. Byli zdruzgotani, słysząc takie gromy od Komendanta. Nie byli w stanie nawet się usprawiedliwiać, bo nie za bardzo wiedzieli, w czym zawinili. Wreszcie Sosnkowski ich spytał, skąd wracają. Dreszer zameldował, że z okopów. W tym momencie Piłsudski wraz z Sosnkowskim wybuchli śmiechem. Okazało się, że Komendant objechał... nie tych ułanów, co trzeba. Bura miała spotkać kolegów z 2. szwadronu, którzy niesieni fantazją zaatakowali so-

Bolesław Fostowicz-Zahorski „Lubicz”

Ułani

Nasz lot jest wichrowy. Do Sławy nasz lot.
Krzyk rwie się, wyrywa się z krtani...
W czyn wola zakrzepła i spada jak grot...
...Ułani! Beliny ułani!

Przez krew do Ojczyzny wskrzeszonej jest szlak,
Więc oto giniemy dziś dla Niej
Krwi krople zakwitną na polu jak mak...
...Ułani! Beliny ułani!

Nie w strojnych mundurach, lecz bez krzyków, bez kit,
Śród smutków jesiennych wiośniani,
Bitw dawnych zamierzchły wskrzeszamy już mit!
...Ułani! Beliny ułani!

Szubienic potworny za nami legł cień
Ojczyźnie składamy to w dani...
Krwią zorzę poimy, aż zrodzi się dzień!
...Ułani! Beliny ułani!

Nie laurów, lecz zemsty ogarnie nas woń!
O trupach serdecznych myśl rani...
Do broni! Ułani, chwytajcie za broń!
...Ułani! Beliny ułani!

eprasa.pl/e/b3335571



Bolesław Wieniawa-Długoszowski, wymarsz Pierwszej Kompanii Kadrowej do Kongresówki

Fot. NAC

juszniczą, austriacką orkiestrę, napędzając jej strachu, choć nie robiąc krzywdy. Za nich oberwali Wieniawa-Długoszowski, Orlicz-Dreszer i Grzmot-Skotnicki...

Z Orliczem-Dreszerem, dowódcą szwadronu, łączyła Wieniawę prawdziwa nić sympatii i przyjaźń do końca. To o nim Długoszowski mówił, że jest Pierwszym Ułanem Rzeczypospolitej. Dreszer zginął tragicznie w 1936 r. w katastrofie samolotowej. Wieniawa odebrał sobie życie kilka lat później, gdy Polska była na samym dnie piekieł. Zostały po nim nie tylko anegdoty i zabawne wspomnienia, lecz także kapitalne piosenki i poezja. W wierszu „Ułańska jesień" napisał:

A potem mnie wysoko złożą na lawecie.
Za trumną stanie biedny sierota – mój koń.
I wy mnie, szwoleżery, do grobu zaniesiecie,
A piechota w paradzie sprezentuje broń.

eprasa.pl e7b3335571

ALIOR BANK

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

TANKUJ TANIEJ Z RACHUNKIEM PARTNER



Wybierając bezpłatny Rachunek Partner z kartą debetową, zyskujesz **niską cenę paliwa na wszystkich stacjach w Polsce**.

paliwo.aliorbank.pl

Aby nie płacić za prowadzenie rachunku, wystarczy opłacać z Rachunku Partner lub Rachunku Pomocniczego zobowiązania wobec ZUS lub US (min. jedno w miesiącu) oraz spełnić JEDEN z poniższych warunków: a) otrzymywać wpływy od kontrahentów lub wpłacać utarg na Rachunek Partner lub Rachunki Pomocnicze w kwocie nie mniejszej niż 2500 zł/mies. (nie wliczając przelewów z rachunków własnych, także prowadzonych w innych bankach, oraz z powiązanego rachunku indywidualnego LUB b) skorzystać z dowolnego kredytu dla firm. Niespełnienie warunków wiąże się z pobraniem opłaty za prowadzenie Rachunku Partner w wysokości 25 zł/mies. Promocją „Cashback dla Przedsiębiorców" objęte są płatności bezgotówkowe realizowane kartą Mastercard® Debit Commercial na stacjach paliw w Polsce; zwrot do 100 zł/mies. następuje po spełnieniu warunków regulaminu. W okresie promocji Bank nie pobiera opłat miesięcznych za kartę oraz opłaty za korzystanie z usługi cashback dla Przedsiębiorców. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku. Szczegóły oferty i regulamin dostępne są w placówkach i na www.aliorbank.pl

eprasa.pl e7b333557f



Zdeklarowany milczek gra gawędziarza. I to jak. Pan Jowialski ***Adama Ferencego****, podobnie jak sam aktor, potrafi zaskoczyć*

Pasja grania

Fot. Julita Szewczyk



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Zabawny gawędziarz starej daty? Nic z tych rzeczy. W spektaklu wyreżyserowanym dla Teatru TV przez Artura Żmijewskiego tytułowy pan Jowialski doskonale wyczuwa współczesne trendy, chociaż za nimi nie podąża. Dociekliwy obserwator sypie nadzwyczaj aktualnymi dykteryjkami. I nawet gdy ponadczasowe refleksje są ukryte pod klasycznymi strofkami, od lat funkcjonującymi niezależnie (takimi m.in. jak „Paweł i Gaweł", „Małpa w kąpieli" czy „Osiołkowi w żłoby dano"), podkręca je po swojemu, nadając im nowe barwy.

TROCHĘ TO NIE JA

Z podgolonym czubem aktor wymyka się przypisanemu mu przez ekran, charakterystycznemu wizerunkowi: – Chcieliśmy Jowialskiego nieco zmienić i myślę, że to się udało. Trochę to nie jestem ja – docenia sceniczną metamorfozę Adam Ferency.

O postaci za wiele, jak to on, nie mówi: – Widziałem na scenie kilku Jowialskich. Zawsze, prawdę powiedziawszy, irytowała mnie ta postać. Nieco głupkowata, zwłaszcza te jego opowieści. Trochę się tego lękałem, ale z Arturem Żmijewskim, myślę, znaleźliśmy rozwiązanie.

Przyznaje: – Ta postać jest w jakimś sensie mną. To Jowialski-Ferency: ma moją sylwetkę, mój sposób chodzenia, ale w odruchach może pojawi się coś nowego.

Pytany o budowanie fredrowskiej roli ucieka do szerszych porównań: – Od pewnego czasu nie zajmuję się postaciami w sensie konsekwencji. Nie kalkuluję: jest jakaś, w związku z tym działa tak i tak. Świat jest zupełnie niekonsekwentny i ludzie są niekonsekwentni, ale – przewrotnie – ci najbardziej niekonsekwentni są najciekawsi. Zaskakują nas właśnie dlatego, że są niekonsekwentni.

Przy okazji klasycznej sztuki (w kostiumie i z dzisiaj niespotykanym bogactwem słowa) przełożonej na współczesność przywołuje film, który opowiadał o realiach lat przełomu. Tłumaczy: – Gdy pracuję w teatrze, wiem, a przed kamerą nie wiem, co ostatecznie wyniknie z pracy. Kiedyś się mówiło, że rola powstaje na stole montażowym. Zdarzyło mi się nawet dostać nagrodę za główną rolę, która wcale nie była główna, tylko na stole montażowym taka się zrobiła [„Kanalia", 1990, w reżyserii Tomasza Wiszniewskiego, nagroda przyznana na festiwalu w Gdyni w 1991 r. – przyp. red.].

ABSOLUTNIE NIE CIEŃ

Reżyserowi Arturowi Żmijewskiemu, który doskonale wie, czym jest granie, udało się zebrać wyśmienitą obsadę. O Ferencym mówi: – Jako pan Jowialski jest wspaniały, wesoły i mądry jednocześnie. To człowiek, który nie tylko opowiada dowcipy, lecz również widzi, rozumie, potrafi komentować. Mało tego, potrafi na odpowiednie tory, poprzez ten komentarz, naprowadzić słuchaczy.

Głównemu bohaterowi jako sceniczna żona towarzyszy Anna Dymna. Wbrew temu, co złośliwie o pani Jowialskiej mówi Szambelanowa (brawurowa Danuta Stenka), że jest tylko cieniem swojego męża, w tym przedstawieniu za cień uznana być absolutnie nie może. Wciąż zakochana w mężu, uważna i odrobinę zalotna. Tworzą związek niemal idealny.

– Będąc z sobą od ponad pół wieku, swoje przeżyli. Mają dystans do siebie i umieją się cieszyć każdą chwilą. Czerpią z siebie radość – komentuje Anna Dymna, by za chwilę wcielić się w bohaterkę i z iskrą w oku stwierdzić, patrząc na scenicznego Jowialskiego: – Kocham go i będę kochać do śmierci. Cieszy mnie każde słowo, które pada z jego ust. „Figle, figle, Józiecku" – uśmiecha się zalotnie –Jeszcze się podszczypujemy. Żadnej innej Małgośki nie podszczypuje, tylko mnie. Myślę, że jesteśmy spełnieniem marzeń wszystkich par z wieloletnim stażem. Żeby byli tacy, jak my tu jesteśmy.

Przezabawnego Szambelana tworzy przed kamerą Tomasz Kot. W nieco młodszym gronie znaleźli się: Mateusz Rusin, Krzysztof Szczepaniak, Joanna Kuberska i Fabian Kocięcki. A wyjątkowe miejsce zajmuje w obsadzie Krzysztof Globisz.

Klasyczny tekst podany przez aktorską plejadę dopełniają: scenograficznie Arkadiusz Kośmider, oświetleniowo i operatorsko Piotr Wojtowicz oraz kostiumowo Dorota Roqueplo. Premiera spektaklu odbędzie się w poniedziałek 26 marca, w przeddzień Międzynarodowego Dnia Teatru.

SETKI LOSÓW

Data emisji z pewnością ucieszy Adama Ferencego, któremu scena pozwoliła grać o wiele więcej i o wiele szerzej niż ekran. Od ukończenia warszawskiej PWST w 1976 r. aktor stołecznych teatrów: Na Woli (do 1988), Współczesnego (1981–1994) i od roku 1994 Dramatycznego – tam, jak podkreślają krytycy, powstały jego najbardziej dojrzałe role, np. te beckettowskie w przedstawieniach Antoniego Libery.

„Jednego dnia gram pięknego poetę i wyrafinowanego myśliciela, a drugiego kanalię i mordercę. W różne dni różne nasze myślowe peregrynacje są migotliwe i różnorodne..." – mówił w jednym z radiowych wywiadów.

Kameralna atmosfera studia jest jedną z sytuacji, w których aktor daje się namówić na dłuższe wypowiedzi, wchodzi w dialog. Wydaje się, że mikrofon przynosi mu swobodę działania (chętnie przyjmuje także propozycje dubbingu), a radio go otwiera.

Od początku kariery był związany z teatrem tego medium (w 2000 r. odebrał Wielkiego Splendora przyznawanego wybitnym radiowo-aktorskim osobowościom). Podobnie jak z wielką sceną małego ekranu. W ostatnich latach nagrody płynęły do niego z Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji Polskiej „Dwa Teatry" w Sopocie. Otrzymał je za „Golgotę wrocławską" (2009), „Skutki uboczne" (2014) i „Walizkę" (2015).

„Scena to setki losów, historii, minikosmosów, różnorodnych emocji. Pasjonuję się kolejnymi tymi światami, one są moim hobby i narkotykiem. To jest wściekła pasja, która mnie



trzyma od wczesnej młodości" – mówił w wydanej w ubiegłym roku książce „Nie i tak. Adam Ferency w rozmowie z Mają Jaszewską".

Nam przy okazji „Pana Jowialskiego" powiedział, tłumacząc zdawkowość konwersacji: – Cenię sobie lapidarność i o to niektórzy reżyserzy mają do mnie pretensję, inni się tego obawiają. Pamiętam, jak Leszek Dawid, z którym się nie znałem wcześniej, był przerażony: zaproponował mi rolę (wspomniany spektakl „Skutki uboczne"), spotkaliśmy się w kawiarni i po piętnastu minutach rozmowy powiedziałem, że już wszystko wiem. Tymczasem on był po spotkaniu z Krzysiem Stroińskim, rozmawiali półtorej godziny i mieli poczucie, że nie dotknęli podstawowych sensów.

BOHATER NIEJEDNOZNACZNY

Przez lata kamera widziała w nim wszelkiej maści kanalie. Wcielał się w ubeków (m.in. w głośnym „Przesłuchaniu", 1982), aparatczyków, milicjantów. „Jak ktoś jest niski, łysy i kwadratowy, nie może być pozytywnym bohaterem" – podkreślał w jednym z wywiadów.

Jednocześnie był mistrzem w budowaniu bohaterów niejednoznacznych. Ludzi ze skazą czy z wątkiem z przeszłości, które w znaczący sposób dopełniały ich współczesność.

W nowe tysiąclecie do świadomości masowej widowni wszedł rolą dobrego policjanta, przetransformowanego w detektywa w wieloodcinkowych „Złotopolskich". Potem był patologiem w „Kryminalnych" i szarą eminencją w komediowej „Niani", czyli kamerdynerem Konradem, do którego odrobinę nawiązał w niedawnym serialu „Miasto skarbów".

Na dużym ekranie w nowym tysiącleciu dał się zapamiętać m.in. z ról w „Jasminum" (2006) Jana Jakuba Kolskiego, gdzie grał przeora klasztoru, „1920. Bitwie warszawskiej" (2011) Jerzego Hoffmana (wcielił się w czekistę Bykowskiego) i w „Excentrykach, czyli po słonecznej stronie ulicy" (2015) Janusza Majewskiego.

Zapraszając na telewizyjną premierę najczęściej wystawianej sztuki Aleksandra Fredry, mówi: – Chciałbym, żeby mój Jowialski był trochę zaskakujący i żeby widzowie, obserwując go, mieli z tego zabawę.



Fot. Julita Szewczyk (×2)



Putin nie wybacza

Obecny prezydent Rosji przebił nawet Stalina i Chruszczowa. W czym? – zapytają państwo. Do niego należy palma pierwszeństwa w skrytobójczych atakach na zdrajców i wrogów ojczyzny



STANISŁAW JANECKI

Zdrajcy wyciągną kopyta, możecie mi wierzyć. Wbili nóż w plecy kolegom i towarzyszom broni, więc nie mogą liczyć na litość. Udławią się trzydziestoma srebrnikami, które dostali za zdradę" – mówił w 2010 r. w telewizyjnym wystąpieniu ówczesny premier Rosji Władimir Putin. Te jego słowa przypomniały media brytyjskie po tym, jak 4 marca 2018 r. śmiercionośnym nowiczokiem otruto byłego pułkownika rosyjskiego wywiadu wojskowego i współpracownika brytyjskiego wywiadu Siergieja Skripala.

Użycie nowiczoku, możliwego do wyprodukowania tylko w specjalistycznych laboratoriach wojskowych Rosji, to jak podpis pod zbrodnią. Putin oświadcza w ten sposób Brytyjczykom i całemu zachodniemu światu, że nie mogą mu nic zrobić. I nawet nie musi się powoływać na przyjętą w 2006 r. przez Dumę ustawę antyterrorystyczną, która pozwala likwidować wrogów Rosji poza granicami kraju. Za osobistą zgodą prezydenta państwa.

Tak bezczelny nie był nawet Józef Stalin uważający, podobnie jak Nikita Chruszczow, skrytobójstwa za najlepszą metodę utrzymania odpowiedniego poziomu strachu i lojalności wśród funkcjonariuszy reżimu. Za metodę wdrukowywania obywatelom Rosji i innych państw, że nikt nie ucieknie przed zemstą, oraz przekonania, iż Rosja może sobie pozwolić na to wszystko, czego reszta świata się boi. Kreml nic nie musi. W ten sposób utrwalał się obraz państwa nieprzewidywalnego, groźnego, niemożliwego do kontrolowania z zewnątrz i nic sobie nierobią-



Fot. East News/AFP PHOTO/Ben STANSALL

nigdy

cego z oskarżeń, nawet największego kalibru.

STEMPEL NOWICZOK

Władimir Putin uważa, że rosyjskie służby mogą zlikwidować każdego zdrajcę i nikomu nic do tego. Oczywiście oficjalnie wszystkiemu zaprzecza, ale taki już jego urok. Jak 17 marca 2018 r. w „The Spectator" napisał Owen Matthews, Putin nie przejmuje się żadnymi oskarżeniami, gdyż uważa, że to problem oskarżających, a nie jego. Mogą mówić, co chcą, a on po prostu tego nie przyjmuje do wiadomości. Jest bowiem przekonany, że kontroluje prawdę, że ma moc kreowania rzeczywistości. Kiedy chce, jego zabójcy zostawiają wyraźny ślad – jak w wypadku zastosowania nowiczoku, kiedy nie chce – używają np. izotopu polonu, jak w wypadku otrucia byłego pułkownika rosyjskiego kontrwywiadu Aleksandra Litwinienki. Nowiczok dawał oczywiste objawy, więc wykryto go szybko, w wypadku polonu przez trzy tygodnie, czyli aż do śmierci ofiary, nie było wiadomo, co niszczy Litwinienkę.

Raz Putin zaleca stosowanie bezśladowych metod zabijania, żeby w śledztwach nie było żadnego punktu zaczepienia poza samą śmiercią wyglądającą na naturalny zgon bądź wypadek, innym razem nakazuje celowe zostawienie wyraźnego śladu albo pozorowanie amatorskiej roboty, zupełnie niepasującej do jego „zawodowców".

Zamach na Siergieja Skripala przeprowadzono cztery dni po wystąpieniu (orędziu) Władimira Putina (1 marca 2018 r.), w którym prezydent Rosji groził Zachodowi nowymi rodzajami broni jądrowej i przekonywał, że Rosja nie jest związana żadnymi ograniczeniami. Niedługo po orędziu odbyła się narada szefów tajnych służb z udziałem prezydenta, podczas której funkcjonariuszy z jednej strony mobilizował, a z drugiej straszył konsekwencjami, gdyby ktoś zdradził bądź zdrajcom pomagał. Za kilkanaście dni (18 marca) miały się odbyć w Rosji wybory prezydenckie. Wszystko układa się więc w precyzyjnie zaplanowany ciąg działań mających zastraszyć społeczeństwa Zachodu oraz ich elity, w tym polityczne i wojskowe. Chodziło też o przekonanie rosyjskiego społeczeństwa, że Putin jest niezastępowalny i tylko on gwarantuje, iż Rosja będzie traktowana jak prawdziwe mocarstwo, przed którym Zachód drży i którego się boi, choćby to imperium było słabe gospodarczo.

Z kolei przedstawicieli rosyjskich elit władzy i pieniądza Putin postraszył swoją bezwzględnością i determinacją. Nie unikną kary, gdziekolwiek by się ukryli, gdyby dopuścili się zdrady. Przy czym to on decyduje, co uznać za zdradę, czyli może zaliczyć do grona zdrajców także tych, którzy ujawniają przestępstwa finansowe jego ludzi czy też ich wspólne interesy z mafią, jak było w wypadku zabójstwa finansisty Aleksandra Pierieplicznego czy prawnika Siergieja Magnickiego (będzie o tym jeszcze mowa). A dla zdrajców z tajnych służb nie może być litości z definicji. Choćby zemsta miała nastąpić po latach.

Zamach na Skripala miał to wszystko potwierdzić, dlatego nosił wyraźny podpis tajnych służb Rosji. I był obliczony na odpowiedni efekt wyborczy: nieustraszony Putin, mogący wyeliminować każdego wroga i zdrajcę, mający Zachód w garści i nieprzejmujący się konsekwencjami żadnych oskarżeń, był jedynym kandydatem gwarantującym Rosji pozycję pierwszego „państwowego bandyty świata" i mogącego odzyskać to wszystko, co Rosja straciła za „miękkich" rządów Michaiła Gorbaczowa oraz Borysa Jelcyna.

Nowiczok, którym otruto Siergieja Skripala, najprawdopodobniej podrzucono do bagażu jego córki, lecącej z Rosji do Wielkiej Brytanii na spotkanie z ojcem. Trującą substancją albo nasączono jakiś element ubrania Julii, dodano do kosmetyku bądź potraktowano nim prezent, który córka przywiozła ojcu i zapewne uczestniczyła w jego odpakowaniu w domu w Salisbury. „Daily Telegraph" sugeruje, że córkę Skripala świadomie wybrano i jako kuriera, i jako dodatkowy cel ataku. Żeby wszystkim faktycznym i potencjalnym zdrajcom uświadomić, iż zemsta może dotknąć także ich najbliższych.

Siergiej Skripal został ukarany z kilkuletnim opóźnieniem, ale to tylko wzmacniało przekaz Putina, że zdrajca nigdy nie zazna spokoju. Skripal współpracował z brytyjskim wywiadem przez około dekadę (od lat 90.) i był uznawany za agenta bardzo cennego. W 2006 r. został w Rosji skazany na 13 lat więzienia, odsiedział cztery lata. W 2010 r. został wymieniony na amerykańskiego szpiega pracującego dla Rosjan.

TROCKI, BANDERA, PIEŃKOWSKI

Zamach na Siergieja Skripala był tylko kolejną z serii głośnych akcji agentów służb ZSRS i Rosji. Pierwszą ważną ofiarą był współtwórca rewolucji bolszewickiej i twórca Armii Czerwonej Lew Trocki. Stalin uznał go za osobistego wroga, gdyż ten był drugim po Leninie najbardziej rozpoznawalnym i znanym na świecie przywódcą bolszewików. Nie Stalin, lecz Trocki. Dlatego polecił Trockiego śledzić, mimo że ten przebywał na emigracji: kolejno w Turcji, we Francji, w Norwegii i Meksyku

(przez jakiś czas mieszkał tam w willi malarki Fridy Kahlo) i w niczym dyktatorowi nie zagrażał. Agenci NKWD podążali za Trockim, przenikali w kręgi jego znajomych i przyjaciół, wywoływali różne incydenty, dlatego w Meksyku był pilnowany przez policję, mimo że miał własną ochronę.

Rozkaz zabicia Trockiego Stalin wydał w 1939 r. Za jego przeprowadzenie odpowiadał szef wydziału zagranicznego NKWD Paweł Sudopłatow. Wiosną 1940 r. dwóch agentów NKWD umieszczono w strzeżonym domu Trockiego. Zamachu dokonał szkolony w Rosji Hiszpan Ramon Mercader, a operacją kierował agent sowieckiego wywiadu Nachum Eitington. Mercader dostał się do otoczenia Trockiego poprzez małżeństwo (zaaranżowane przez NKWD) z jego przyjaciółką, Amerykanką Sylvią Ageloff. Po zdobyciu zaufania Mercader (występujący jako Belg Jacques Mornard) dostał się do gabinetu Trockiego bez żadnych osób towarzyszących (20 sierpnia 1940 r.), wbrew zaleceniom ochrony, i zaatakował legendę rewolucji młotkiem do rozbijania lodu, wcześniej ukrytym w kieszeni marynarki. Trocki przeżył i był nawet w niezłym stanie przed operacją trepanacji czaszki. Po operacji jednak nie udało się go wybudzić i zmarł. Dopiero 13 lat po zamachu (gdy odbywał karę 20 lat więzienia) ustalono prawdziwą tożsamość Mercadera.

Spektakularne i długo przygotowywane było zabójstwo Stepana Bandery, przywódcy ukraińskich nacjonalistów, w 1936 r. skazanego w Warszawie na karę śmierci (zamienioną na dożywocie) za udział w zamachu na szefa MSW Bronisława Pierackiego. Najpierw przez kilka lat otaczano Banderę agentami sowieckiego wywiadu, którzy wmówili przywódcy OUN, że na Ukrainie istnieje silne podziemie, a oni są jego łącznikami, dzięki czemu NKWD kontrolował wszelkie jego działania. Kiedy ta gra z Banderą straciła sens, w 1957 r. Nikita Chruszczow zaakceptował plany zabójstwa liderów emigracyjnego OUN, czyli Stepana Bandery i Lwa Rebeta. Jako wykonawcę wybrano agenta KGB Bohdana Staszyńskiego, zwerbowanego w wieku 19 lat, na początku studiów we Lwowie. 12 października 1957 r. Staszyński wystrzelił (z pistoletu) w twarz Rebeta ładunkiem kwasu pruskiego. Lekarze potraktowali to jako zawał serca, bo kwas pruski wywołuje podobne efekty.

Zamach na Banderę przeprowadzono dwa lata później, dzień po jego spotkaniu w Monachium z funkcjonariuszami niemieckiego wywiadu BND. 15 października 1959 r. Staszyński wystrzelił w twarz Bandery ładunek kwasu pruskiego ze specjalnej rurki. Wprost w nozdrza, co spowodowało szybki zgon, nie pozostawiając śladów. Ciało Bandery znaleziono na klatce schodowej. Za wykonanie zadania Staszyński otrzymał później od szefa KGB Aleksandra Szelepina Order Czerwonego Sztandaru. Niemiecka policja przez dwa lata nie była w stanie ustalić ani zabójcy, ani przyczyny śmierci. Tajemnicę odsłonił sam Staszyński, który w sierpniu 1961 r. zgłosił się do amerykańskiej placówki w Berlinie Zachodnim. W efekcie ze stanowiska szefa KGB zwolniono Aleksandra Szelepina, a zabójcy działający na Zachodzie dla KGB zostali na jakiś czas uśpieni. Nie oznacza to, że nie przygotowywano planów kolejnych zamachów.

Z archiwum Mitrochina wynika, że plany zabójstw przygotowywano w wypadku każdego ważnego zdrajcy czy uciekiniera na Zachód. Dotyczyło to nawet artystów. Leżały i czekały na okazję. W tamtym czasie większości nie zrealizowano, gdyż na Kremlu uznano, że psuje to wizerunek ZSRS. Chyba że chodziło o bratnią pomoc. I takiej pomocy udzielono Bułgarom. Chodziło o Gieorgija Markowa, pisarza i dziennikarza, który w 1969 r. uciekł do Wielkiej Brytanii. 11 września 1978 r. na moście Waterloo w Londynie nieznany mężczyzna potrącił idącego tamtędy Markowa i ukłuł go w stopę końcówką parasola. W tej końcówce była zamontowana miniaturowa wyrzutnia mikronabojów ze śmiertelną dawką rycyny, która rozkłada się po około dobie. Moskwa przeprowadziła atak na Markowa, rewanżując się Bułgarom za pomoc w rosyjskich operacjach. Wykrycie rycyny było możliwe tylko dzięki temu, że tą metodą posłużono się już wcześniej, lecz mikronabój z rycyną nie pękł i ofiara przeżyła. Lekarze znaleźli go podczas badania, a brytyjskie służby sprawdziły i w ten sposób poznały tę metodę.

Aby podkreślić, że żaden zdrajca nie uniknie kary, służby ZSRS stworzyły specjalną legendę swojej bezwzględności, przy okazji egzekucji pułkownika GRU Olega Pieńkowskiego, najbardziej wartościowego agenta czasów zimnej wojny. Został on aresztowany 22 października 1962 r. za szpiegostwo na rzecz CIA i MI6. W maju 1963 r. Pieńkowskiemu zorganizowano pokazowy proces. Został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie (o wykonaniu wyroku zakomunikowano 17 maja 1963 r.). Ryszard Kukliński twierdził, że Pieńkowskiego nie rozstrzelano, tylko wrzucono żywcem do pieca hutniczego. Z tej egzekucji nakręcono ponoć film, pokazywany funkcjonariuszom służb i wojska podczas szkoleń i nauki. Tej wersji raz zaprzeczał, a raz ją potwierdzał były oficer GRU, znany pod nazwiskiem Wiktor Suworow. Niezależnie od tego, czy spalenie Pieńkowskiego w piecu jest faktem czy legendą, niezaprzeczalnie odegrało swoją odstraszającą rolę.

JAK ZABIJAJĄ

W swojej książce „Jak zabijają Rosjanie. Ofiary rosyjskich służb od Trockiego do Litwinienki" Grzegorz Kuczyński opisuje tajne laboratorium nr 12, specjalizujące się w produkcji trucizn i broni biologicznej na potrzeby zabójców ze służb ZSRS. Wedle tych informacji już w 1937 r. rozpoczął pracę nad truciznami Grigorij Majranowski, znany jako Doktor Śmierć. Trucizny, m.in. mieszaniny arsenu i talu, cyjanku potasu i sodu, kolchicynę, digitoksynę, akonitynę, strychninę i naturalną kurarę testowano na więźniach. Najbardziej cierpiały osoby, którym aplikowano akonitynę. Trucizny podawano więźniom z jedzeniem lub wstrzykiwano. Prowadzono też eksperymenty z zatrutymi kulami, które zawierały akonitynę. Egzekucje odbywały się w piwnicy budynku, gdzie działało laboratorium nr 12. Strzelano w takie miejsca, żeby nie zabić od razu. Kule pękały wewnątrz ciała, uwalniając truciznę. Tylko w latach 1939–1940 podczas tych zbrodniczych prób zginęło około 40 osób.

Otrucie Aleksandra Litwinienki (1 listopada 2006 r.), pułkownika rosyjskiego kontrwywiadu FSB, który



Siergiej Skripal z córką Julią

Fot. East News/REX

w 2000 r. uciekł do Wielkiej Brytanii, było nawiązaniem do tego, co robiono w laboratorium nr 12. Litwinienko zmarł 23 listopada 2006 r. Trzy tygodnie wcześniej spotkał się w londyńskim hotelu Millennium z byłymi agentami FSB Andriejem Ługowojem i Dmitrijem Kowtunem, z którymi współpracował biznesowo. Nie miał wątpliwości, że został otruty „przez rosyjskie tajne służby na zlecenie Władimira Putina". Zginął, gdyż złamał nakaz milczenia. Ługowoj wrzucił do zielonej herbaty ofiary izotop polonu. Po kilku godzinach Litwinienko poczuł się źle. Ługowoj i Kowtun liczyli na to, że izotop polonu nie zostanie zidentyfikowany ze względu na swoją rzadkość i wywoływane objawy. Wykrył go Matthew Puncher, który był ekspertem od ochrony radiologicznej i pracował dla brytyjskiego rządu. W maju 2015 r. Matthew Puncher zmarł z powodu licznych ran zadanych dwoma nożami. Żona Litwinienki Marina twierdziła, że zabójcy liczyli na szybką śmierć jej męża, lecz był on bardzo silny fizycznie, więc przeżył ponad trzy tygodnie. Mówiła też, że kiedy planowano morderstwo, zleceniodawcy nie rozumieli, iż zabijają obywatela Wielkiej Brytanii na brytyjskiej ziemi. Dlatego sprawy nie udało się zamieść pod dywan, choć początkowo nie było to takie pewne, m.in. wskutek obaw o relacje z Rosją ówczesnej szefowej MSW, a obecnej premier Theresy May.

10 listopada 2012 r. Aleksandr Pierieplicznyj, który od trzech lat mieszkał w Wielkiej Brytanii, wyszedł pobiegać. Kilka minut później stracił przytomność i upadł – ok. 50 m od domu w Weybridge w południowo-wschodniej Anglii. Wezwana karetka dojechała już do nieboszczyka. Został najprawdopodobniej otruty, lecz testy toksykologiczne zrobiono dopiero trzy tygodnie po jego śmierci, gdy stosowane przez rosyjskie służby trucizny już się rozłożyły. Pierieplicznyj był kluczowym świadkiem w śledztwie o oszustwa podatkowe i wyłudzenia na szkodę funduszu inwestycyjnego Hermitage Capital Management. W tej sprawie „umoczeni" byli ważni ludzie Putina. Pierieplicznyj był też istotnym świadkiem w sprawie śmierci w 2009 r. w więzieniu Matroskaja Tiszyna w Moskwie prawnika Siergieja Magnickiego, też zapewne zamordowanego. Kiedy Magnicki doniósł o przestępstwach związanych z funduszem Hermitage Capital, sam został aresztowany i oskarżony o oszustwa podatkowe. W więzieniu oficjalnie zmarł na atak serca.

Mimo dwóch sekcji zwłok w ciele Pierieplicznego nie znaleziono trucizny. Jak jednak napisał w swojej książce Grzegorz Kuczyński, o możliwej przyczynie śmierci Pierieplicznego opowiedział na łamach „The Guardian" dezerter z rosyjskich służb. Chodzi o fluorek sodu, który można podać na przedmiotach codziennego użytku, takich jak pióro czy telefon, albo w miejscach, gdzie ofiara może go wdychać. Fluorek sodu rozpuszcza się w ciele ofiary, więc nie wykryje go sekcja zwłok. Z kolei botanik prof. Monique Simmonds wskazała na rzadką egzotyczną roślinę – Gelsemium elegans. Zaledwie kilka kropli jej ekstraktu połknięte lub wstrzyknięte może zatrzymać akcję serca. Dlatego ta roślina jest nazywana trawą złamanego serca.

PEDAGOGIKA STRACHU

Wiele wskazuje na to, że służby Rosji obciąża też śmierć Borysa Bieriezowskiego, skonfliktowanego z Putinem rosyjskiego oligarchy. 23 marca 2013 r. został on znaleziony martwy w swym domu w Sunninghill. Leżał na posadzce w łazience, na szyi miał zaciśniętą pętlę z części szala. Druga część zwisała z ramy prysznica. Mimo że Bieriezowski ważył około 100 kg, rama się nie wygięła. Testy nie wykazały śladów przemocy ani obecności trucizny. Jednak Aleksander Litwinienko długo przed swoją śmiercią twierdził, że nakłaniano go do zabicia Bieriezowskiego, ale odmówił.

Bieriezowski opowiadał Jurijowi Felsztinskiemu, autorowi książki „Borys Bieriezowski. Zapiski wisielca", że „Putin należał do grona osób, które wiedziały o zamachach terrorystycznych we wrześniu 1999 r., zaś [Nikołaj] Patruszew [ówczesny szef FSB] do bezpośrednich wykonawców". Chodzi o ataki na bloki w Moskwie, Wołgodońsku i Bujnaksku, w których zginęło około 300 osób. I te ataki stały się pretekstem do rozpętania drugiej wojny czeczeńskiej. Władimir Putin, wtedy premier, oskarżył Czeczenów o zorganizowanie zamachów. Bieriezowski zwrócił uwagę na nieudany zamach w Riazaniu: „Nie mam wątpliwości co do udziału rosyjskich służb specjalnych w eksplozjach w Moskwie i Wołgodońsku – ten sam schemat próbowano powtórzyć w Riazaniu, jednak bez powodzenia. Jedyne, czego nie jestem w stanie zrobić, to dowieść, że Putin wydał rozkazy do tych operacji, że osobiście nimi kierował". Tragedii w Riazaniu zapobiegł jeden z mieszkańców bloku, który 22 września 1999 r. zauważył mężczyzn wnoszących do piwnicy jakieś worki i wezwał milicję. W workach był heksogen, silny materiał wybuchowy. Lokalni milicjanci ustalili dane mężczyzn, lecz wtedy szef FSB Patruszew ogłosił w telewizji, że w Riazaniu służby przeprowadziły ćwiczenia.

Przedstawione powyżej przypadki dowodzą, że Rosja Putina nie tylko kontynuowała zabijanie przeciwników i zdrajców, lecz także przestała się tego wstydzić czy to ukrywać. Oficjalnie Putin wszystkiemu zaprzecza, ale nie przeszkadza mu łączenie zabójstw ze służbami Rosji. Wręcz przeciwnie, uznał to za bardzo skuteczny środek realizowania polityki wewnętrznej i zagranicznej. Polityki zastraszania i pokazywania potęgi Moskwy.



Tam, gdzie wiara spotyka się z rozumem

Fot. Shutterstock

W tym roku obchodzona jest 160. rocznica objawień Najświętszej Maryi Panny w Lourdes. Dała ona początek najczęściej odwiedzanemu sanktuarium maryjnemu w Europie. Do niewielkiej miejscowości we francuskich Pirenejach od półtora wieku przyjeżdżają chorzy z całego świata w nadziei na cudowne uzdrowienie. Niektórzy doświadczyli tam powrotu do zdrowia, który z naukowego punktu widzenia okazał się niewytłumaczalny. Badaniem tego typu przypadków zajmuje się specjalne Biuro Medyczne. Przez 12 lat na czele tego zespołu stał dr Patrick Theillier. W tym miesiącu Kościół uznał i oficjalnie potwierdził 70. cud za wstawiennictwem Matki Bożej Niepokalanej z Lourdes.

Z dr. Patrickiem Theillierem, dyrektorem Biura Medycznego w Lourdes w latach 1998–2009, rozmawia Grzegorz Górny

Jak to się stało, że został pan dyrektorem Biura Medycznego w Lourdes?

Patrick Theillier: To Matka Boża, Dziewica z Lourdes, wybrała mnie do tej posługi! Tak było, nie żartuję. Studiowałem medycynę na północy Francji, czyli bardzo daleko od Lourdes. Będąc już lekarzem, w 1998 r. przeniosłem się jednak do miejscowości znajdującej się najwyżej 20 km od miejsca objawień. Chciałem stamtąd kilkakrotnie wyjechać, jednak – jak wspomniałem – zostałem wybrany. Kiedy w roku 1998 dowiedziałem się, że nowy biskup tego miejsca poszukuje dyrektora Biura Medycznego w Lourdes – zgłosiłem się. Wybrał mnie spośród 12 kandydatów. Nie mam wątpliwości, że zaprowadziła mnie tam Matka Boża.

Czym zajmuje się ta nietypowa w świecie medycyny placówka, na której czele pan stanął?

Biuro zajmuje się zbieraniem świadectw pielgrzymów, którzy w tym miejscu doświadczyli cudów za przyczyną Matki Bożej. Mówiąc wprost: chodzi o uzdrowienia. Lekarze zaangażowani w Biurze Medycznym gromadzą świadectwa i weryfikują je z punktu widzenia medycyny. Istotne jest więc to, by pracujący w tym miejscu byli odpowiednio doświadczeni zawodowo, ale – co równie ważne – muszą być wierzący i dysponować wiedzą religijną. Cuda są przecież faktem religijnym.

Ile cudów udokumentowano do tej pory w Lourdes?

Mówi się o 7 tys. uzdrowień, ale Kościół oficjalnie uznał 70 z nich.

Proces ich badania to niezwykle skomplikowana procedura. Przez ponad dekadę mojej pracy w Biurze Medycznym potwierdzono dwa cuda: Jeana-Pierre'a Bély'ego i Anny Santaniello.

Gdy stałem na czele biura, ludzie przysyłali tam liczne świadectwa. Jeśli dobrze pamiętam – nie chciałbym nikogo wprowadzić w błąd – było ich ok. 50 rocznie, czyli mniej więcej jedno na tydzień. Jak się pan domyśla, większość nie została ostatecznie pozytywnie rozpatrzona, ale dla mnie to było świadectwo konkretnych, niezwykłych wydarzeń. Podobnie zresztą jak wiedza, którą zdobywałem o cudach, do których doszło tutaj wiele lat temu. Wszystko to opisałem w swojej nowej książce „Cuda Lourdes. Uzdrowienie przez Maryję".

Z jednej strony mówi się o tysiącach cudów, ale z drugiej strony oficjalnie uznano ich znacznie mniej. Skąd się to bierze?

Jak wspomniałem, stosunek cudów uznanych przez Kościół do tych zgłoszonych jest bardzo niski. Co to oznacza? Czy świadczy to o tym, że znaczna część świadectw jest nieprawdziwa? Powiedziałbym w ten sposób: Kościół nie kieruje się emocjami przy analizie poszczególnych świadectw. Robi to z wielką rozwagą i ostrożnością. Musi mieć pewność, że zdarzenie, pod którym się podpisuje, faktycznie wiązało się z ingerencją nadprzyrodzoną. Nie oznacza to jednak, że niepotwierdzone przez Kościół cuda się nie wydarzyły. Po prostu nie spełniły surowych kryteriów, jakie są wymagane, by uznać je za oficjalne. Musimy to stanowisko Kościoła uszanować, szczególnie że ma ono uzasadnienie.

Czy lekarze mogą wypowiadać się w sprawie cudów? To przecież domena raczej teologii niż medycyny.

Oczywiście, ma pan rację, dlatego nie śmiałbym powiedzieć, że w Biurze Medycznym, jak pan to określił, wypowiadaliśmy się w sprawie cudów. Po prostu świadectwa, które do nas spływały, ocenialiśmy pod kątem medycznym. Wymagane tu było odpowiednie przygotowanie religijne lekarzy zatrudnionych w biurze, ponieważ po to, by dane świadectwo mogło być w ogóle brane pod uwagę jako cud, należało uznać, iż w świetle nauki opisane zdarzenie jest niewytłumaczalne. Zajmowaliśmy się więc analizą świadectwa cudu i określaliśmy, czy z punktu widzenia medycyny istnieje dla niego jakieś wyjaśnienie. Oczywiście odzyskanie zdrowia nigdy nie jest przypadkiem, ale bywa, iż wstawiennictwo Maryi jest decydujące, że dokonał się namacalny cud uzdrowienia, niejako wbrew temu, co mówi medycyna.

Jak lekarze próbują wyjaśnić dziś naturę uzdrowień niewytłumaczalnych w świetle nauki, pozostając zarazem na gruncie wiedzy medycznej?

To trudne pytanie i muszę na nie odpowiedzieć w sposób, który zapewne nie wszystkich przekona. Wiedza medyczna okazuje się po prostu w pewnych kwestiach bezsilna, nie potrafi wyjaśnić daru uzdrowienia. A więc trudno pozostawać na jej gruncie, gdy w grę wchodzi bezpośrednia ingerencja Boga. Trzeba po prostu wierzyć, że Bóg działa w sercu i duszy człowieka, a działanie to może się rozprzestrzenić na całe ciało, może się okazać widoczne, namacalne.

Tak myśleć może jednak tylko człowiek wierzący, dlatego wspomniałem, że w Biurze Medycznym pracują lekarze, którzy są chrześcijanami. Oni muszą być przekonani, że człowiek to sfera nie tylko fizyczna, lecz także duchowa, że dusza i ciało stanowią pewną całość.

Studiował pan dokumentację wszystkich cudów, jakie wydarzyły się w Lourdes od drugiej połowy XIX stulecia. Czy rzeczywiście są to wydarzenia, dla których w świetle nauki nie ma wytłumaczenia? A może medycyna od tamtego czasu poczyniła takie postępy, że dziś da się racjonalnie wyjaśnić to, co sto kilkadziesiąt lat temu było nieosiągalne dla ówczesnych lekarzy?

To intrygujący temat, ale muszę rozczarować wszystkich tych, którzy bezgranicznie wierzą w postęp medycyny i wyłącznie w nim pokładają nadzieję. Medycyna zawsze przegra w starciu z cudem i ani obecnie, ani w przyszłości, stojąc na gruncie nauki, nie udzieli odpowiedzi na pytanie o przyczyny uzdrowienia. Przy ocenie cudu bardzo ważny jest bowiem warunek, by do uzdrowienia doszło nagle. Nie może to być proces związany z terapią kliniczną. Choroba po prostu musi się cofnąć. W książce „Cuda Lourdes" opisuję przypadki, które wydarzyły się wiele lat temu, ale nie sposób ich wytłumaczyć także dzisiaj.

Jedno z pierwszych uzdrowień, do jakich doszło w Lourdes, dotyczyło pracownika kamieniołomu, Louisa Bouriette'a. Człowiek ten doznał wypadku podczas pracy w kamieniołomie i stracił wzrok. Usłyszawszy jednak o cudownej grocie Lourdes, udał się tam na pielgrzymkę, przemył oczy w źródełku i niedługo później po prostu odzyskał wzrok. Od tamtego dnia minęło ponad sto lat i zapewniam, że medycyna nie jest w stanie wyjaśnić tego uzdrowienia.

A czy pan był bezpośrednim świadkiem cudu w Lourdes?

Nie, nigdy nie byłem bezpośrednim świadkiem cudu. Takie wydarzenie wiąże się z wielkim wstrząsem wewnętrznym uzdrowionego. Ci ludzie często po prostu pragną być niezauważeni. Często mówiłem pielgrzymom, by zgłaszali się, jeśli doświadczyli cudu. Zdaję sobie sprawę, jak ten proces może być kłopotliwy dla uzdrowionego, wiąże się bowiem z wielkim wysiłkiem. Dlatego zapewne wielu uzdrowionych nie chce o tym szerzej świadczyć. Ale chociaż nigdy nie byłem świadkiem uzdrowienia, na szczęście miałem zaszczyt poznać ludzi, którzy w przeszłości doświadczyli cudu.

A który z cudów zrobił na panu największe wrażenie?

Wszystkie cuda, których historie poznałem, zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Ale najgłębiej w pamięć zapadło mi uzdrowienie pewnej kobiety, która została uleczona z bardzo groźnej choroby – krwotocznego zapalenia okrężnicy. Oprócz radości z odzyskanego zdrowia doświadczyła też wielkiej duchowej przemiany. Została bowiem

dotknięta potęgą Bożej miłości. Jakież było moje zdziwienie, gdy opowiadając mi o tym, wyznała, że jest... muzułmanką! Jak najszybciej poprosiła o chrzest. To było niesamowite, wszak to przykład, że cuda w Lourdes to nie tylko uzdrowienia cielesne, lecz także głębokie przemiany duchowe.

Czy znane są przypadki lekarzy, którzy nie wierzyli w cudowne uzdrowienia, a jednak przekonywali się o ich prawdziwości, gdy zbadali je na miejscu? Czy zna pan takie osoby?

Oczywiście, miałem okazję spotkać się z takimi przypadkami. Nie są być może zbyt spektakularne, ale wiele mówią o Lourdes. Znałem pewnego amerykańskiego lekarza, któremu, gdy wszedł do groty, na ramię skapnęła kropla cudownej wody. To było dokładnie to ramię, z którym miał problemy – cierpiał bowiem na nadoponowe zapalenie stawów, a był zapalonym golfistą! I faktycznie został uzdrowiony. Znam także przypadek pewnego włoskiego lekarza, który przyjechał do Lourdes w poszukiwaniu odpowiedzi na pewne duchowe rozterki, a wyjeżdżał z odmienionym sercem. Później zmieniło się całe jego życie. Wiem, nie są to wydarzenia zapierające dech w piersiach, ale cuda w Lourdes dzieją się naprawdę na bardzo różnych poziomach, a przede wszystkim na tym najważniejszym – duchowym.

W Lourdes ludzie najczęściej dostępują uzdrowień dzięki wodzie ze źródełka Massabielle. Czy posiada ona jakieś wyjątkowe lecznicze właściwości odróżniające ją od innych wód termalnych?

Woda ze źródła w grocie nie ma, w sensie badawczym, żadnych szczególnych właściwości medycznych ani cieplnych. Została poddana szczegółowej analizie, więc w tym sensie możemy być pewni – strukturalnie nie ma w niej niczego wyjątkowego. Nie ona też decyduje o uzdrowieniu, bo cudu dokonuje Bóg. Dlatego też nie wszystkie kuracje odbywają się przy źródle. Natomiast siła tego źródełka polega na tym, że może być używane jako pewne narzędzie w rękach Bożych. Dlatego trafia ono do wielu miejsc na świecie. Jednak by doświadczyć uzdrowienia, musimy przede wszystkim zawierzyć Bogu.

Czyli znane są przypadki uzdrowień związanych z Lourdes, które dokonały się bez kontaktu z wodą z Massabielle?

Oczywiście. Do Lourdes trafiają liczne prośby o modlitwy i wiem, że ich efektem są także uzdrowienia. Jest to jednak ta kategoria uzdrowień, które najpewniej nigdy nie zostaną oficjalnie uznane przez Kościół, co – jak mówiłem – wcale nie oznacza, że nie doszło do cudu. Najważniejsza jest wiara i modlitwa, nie zaś kontakt z wodą z groty.

Uzdrowienia w Lourdes biorą swój początek od objawień maryjnych, do których doszło w 1858 r. Matka Boża przekazała wtedy miejscowej pasterce Bernadecie Soubirous konkretne orędzie. Jak to przesłanie jest związane z niezwykłymi wydarzeniami, których doświadczamy tam od ponad półtora wieku?

Dobre pytanie, bo Matka Boża nie mówiła św. Bernadecie, że za jej wstawiennictwem dokonają się w Lourdes tak liczne cuda uzdrowień. Mimo to niedługo po objawieniach pojawiły się pierwsze uzdrowienia, niczym wiosna po ciężkiej zimie. I trwają dotąd.

Co Matka Boża chce nam przez te wielkie znaki powiedzieć? Sądzę, że pragnęła pokazać straszliwemu, minionemu już, stuleciu, że życie zawsze będzie potężniejsze od śmierci. Dlatego nigdy nie wolno nam rozpaczać. Musimy wierzyć w obecność oraz działanie Boga w naszym życiu nawet wówczas, gdy dotykają nas straszliwe cierpienia.

Czy można powiedzieć, że Lourdes to miejsce, w którym wiara spotyka się z rozumem?

Zdecydowanie tak! Lourdes to naprawdę niesamowite miejsce, gdzie łączą się wiara i rozum, a są one – jak pisał św. Jan Paweł II – „jak dwa skrzydła, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy". Potrzebujemy więc Lourdes, bo potrzebujemy wiary i rozumu, które występują oddzielnie, ale nie rozdzielnie. Pozwalają nam one przyjąć to wszystko, co się dzieje wokół nas – niezwykłe uzdrowienia i przemiany ludzkich serc. Musimy też pamiętać, że finałem tych wydarzeń będzie Życie – łaska zbawienia darowana nam przez Chrystusa.



Patrick Theillier

francuski lekarz, żonaty od ponad 40 lat, ojciec szóstki dzieci i szczęśliwy dziadek. W Centrum Medycznym przy Sanktuarium w Lourdes zaczął pracować w 1999 r. Praca ta ukształtowała go religijnie, bo choć od dziecka wychowywany był w katolickiej rodzinie, jako lekarz często zajmował się głównie cielesnym aspektem poszczególnych chorób. Działalność w Lourdes doprowadziła go do przekonania, że droga do uzdrowienia wiedzie nie tylko ścieżką medyczną, lecz także szlakiem wiary.

Kilka miesięcy temu ukazała się w Polsce książka Patricka Theilliera „Za progiem śmierci", w której opisał wstrząsające doświadczenia osób, które znalazły się w stanie DPŚ (doświadczenie z pogranicza śmierci). Brawurowo analizował je pod kątem medycznym oraz swoich doświadczeń pracy przy Sanktuarium w Lourdes.

W 2018 r. ukaże się kolejna książka Patricka Theilliera „Cuda Lourdes. Uzdrowienie przez Maryję". Lekarz pokazuje w niej, w jaki sposób objawienia, do których doszło 160 lat temu, zmieniły świat, prowadząc do Boga miliony ludzi. Namacalnym dowodem cudownego działania Matki Bożej stały się uzdrowienia, których świadectwa zamieścił w książce.

Fot. Archiwum prywatne Patricka Theilliera

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Współczuję poczciwcom

Mam z tym filmem sprzed 10 lat, przypomnianym przez telewizyjną Dwójkę, leciutki kłopot. Choć „Wojna domowa" (tytuł oryginalny „Easy Virtue") to widowisko efektowne, lekkie, świetnie grane, w tradycji inteligentnych brytyjskich opowiastek z życia sfer wyższych. Nic to, że reżyserował je Australijczyk Stephan Elliott, który potem nie stworzył już dzieła na taką miarę.

Kiedy w młodości czytałem powieści zbuntowane przeciw mieszczańskim lub ziemiańskim konwenansom (a taka jest większość literatury), szukałem racji tych, którzy tych konwenansów bronili. Choćby przez przekorę. Nie zawsze miałem rację, ale w sumie jestem zadowolony, że gdy inni stawali po stronie pięknej, trochę lalkowatej, poszukującej miłości Ireny Forsyte, ja współczułem jej drewnianemu, prozaicznemu mężowi Soamesowi Forsyte'owi.

Z wiekiem w pewnych sprawach staję się bardziej konserwatywny, w innych skręcam w lewo. „Wojna domowa" to opowiastka o młodej Amerykance, która poślubiwszy jeszcze młodszego Anglika, wkracza w życie jego rodziny potraktowanej mniej sympatycznie niż ziemianie z serialu „Downton Abbey". Ta wojna jest klasyczną wojną toczoną w literaturze od stuleci (a to adaptacja sztuki): rozwichrzona kontra uładzeni.

Oczywiście sporo jest też żartów ze zderzenia amerykańskości z angielskością. Skądinąd czasem dyskusyjnych – nie wiem np., czy istotnie międzywojenni przybysze z Nowego Świata byli w swej masie mniej pruderyjni niż angielska szlachta. No ale takie nam dobrano egzemplarze i kazano kibicować. Piękna Jessica Biel jako naturalna w swoich ekscesach i nietaktach Amerykanka kontra wytrenowana w rolach angielskich matron, a tu na dokładkę odarta z jej zwykłej seksualności, zimna Kristin Scott Thomas jako teściowa.

I od razu wątpliwość. Czy istotnie ta rodzina nie ma prawa do obaw? Sposób, w jaki przyjezdna absurdalizuje miejscowy rytuał polowania na lisa, budzi i moją sympatię. Ale już wieść, że była sądzona za domniemane zamordowanie poprzedniego męża? Naprawdę nic się nie stało? Naprawdę jej młody małżonek nie powinien się zdziwić choćby tym, że nic mu nie powiedziała?

Kłopot w tym, że za arbitra robi teść, zdziwaczały weteran I wojny grany sugestywnie przez Colina Firtha. On sam z jednej strony powinien się stać naszym idolem jako typowa, zgorzkniała ofiara wojny (to osobny, przyznaję, ciekawy wątek). Ale z drugiej kieruje się po prostu seksualną fascynacją synową. W efekcie cała „wojna domowa" staje się wojną z hipokryzją... kobiet, matki i sióstr młodego małżonka. Zawsze byłem przekonany, że to kobiety najgorliwiej pilnowały dawnego porządku, bo choć je czasem krzywdził, to też w jakiś sposób chronił.

Rzecz kończy się skandalem, choć złagodzonym. Amerykanka porzuca męża, niemniej... Nie chcę spoilerować. Byłoby to ciekawe studium wzajemnego niezrozumienia, gdyby nie ten dydaktyczny ton unoszący się nad całością. Rozwichrzeni mają rację z definicji. Co ja poradzę, że rozumiem



także chłopaka, który nie udźwignął „zbyt trudnej miłości", bo zanadto liczył się z rodziną? Gra go urodziwy Ben Barnes, w innym świetnym brytyjskim filmie demoniczny Dorian Grey, ale tu poczciwina. We współczesnym świecie poczciwcy nie mogą się doczekać współczucia.

Ba, rozumiem nawet jego mamusię pomimo jej zachowań egoistycznych i konwencjonalnych. Rozumiem trochę i dlatego, że współczesna kultura zbyt nachalnie mi rozumieć zabrania. Taki mały paradoks.

Piotr Zaremba



Fot. Shutterstock

Madagaskar na nas czeka

Pierwszy człowiek przybył tutaj ponad 2 tys. lat temu, z dzisiejszej Indonezji albo Malezji. Kiedy na wyspie wylądował pierwszy Polak, nie wiadomo. Jednak żeby trafić na Madagaskarze na polski ślad, nie trzeba się wiele natrudzić. W stolicy kraju – Antananarywie – jedna z głównych ulic to Rue Benyowski. Nie tak dawno Polska otrzymała zaproszenie do zainwestowania w tę największą wyspę Afryki. Ale nasz kolonialny apetyt na Madagaskar skończył się chyba wraz z II Rzecząpospolitą



TADEUSZ BRZOZOWSKI

Sześć z dziesięciu najszybciej rozwijających się gospodarek świata to państwa afrykańskie. Roczne wzrosty rzędu 8–10 proc. robią wrażenie. Madagaskar, choć nie ma go w czołówce i wciąż jest jednym z najbiedniejszych państw świata, ma niewiarygodny potencjał i bardzo przyzwoity wzrost przekraczający 5 proc. Według Banku Światowego ta wielka wyspa może wkrótce dołączyć do afrykańskich gospodarczych liderów. Inwestorów kuszą szafiry, wanilia, turystyka, ale przede wszystkim olbrzymie złoża niedawno odkrytej ropy naftowej.

Przed dwoma laty do Katowic przyleciał ówczesny minister rolnictwa Madagaskaru Harrison Randriarimanana, dzisiaj doradca głowy państwa. Roztaczał przed polskimi przedsiębiorcami nieograniczone możliwości inwestycyjne. „Mamy ogromny potencjał. 40 proc. naszego terytorium nadaje się na uprawy rolne, a obecnie uprawiamy tylko 3 mln ha, 20 mln ha czeka na maszyny i inwestycje. Mamy 22 mln mieszkańców i z tych 3 mln ha nie możemy się wyżywić, liczymy na zaangażowanie Polski w nasze rolnictwo. Mamy też 5 tys. km wybrzeża, możemy wspólnie rozwijać rybołówstwo. Podoba się nam wasz biznes z ludzką twarzą" – komplementował i zachęcał minister.

WANILIA I ROGATE ZEBU

Nikt jeszcze nie przyjął tego zaproszenia, choć da się zauważyć ślady bardzo rachitycznej wymiany handlowej. W markecie Shoprite w Antananarywie widzę na półkach polskie wafelki jogurtowe i słoiki z ogórkami konserwowymi. W sklepie działa klimatyzacja, półki uginają się od południowoafrykańskich i francuskich produktów, a przed sklepem, w centrum miasta rumowisko. Półnagie dzieciaki bawią się w czerwonym kurzu na środku ulicy, pobocze zapchane jest straganami z warzywami, owocami, rybami, kurami. Trudno się poruszać w tym ulicznym rozgardiaszu. Madagaskar eksploduje dziećmi, są wszędzie, w małych i wielkich grupach. W dwa lata od wizyty w Polsce ministra Randriarimanana przyszło na świat ponad 2 mln małych Malgaszy.

Wyspa rzeczywiście ma wielki potencjał. Właśnie odkryto wokół niej bogate złoża ropy naftowej. Pierwsze szyby mają się pojawić za trzy, cztery lata. Ale do tego potrzebne są ol-

brzymie inwestycje. Światowy biznes jest gotowy umieścić na Madagaskarze 10 mld dol. do 2020 r. W kolejce do wierceń ustawili się już Rosjanie, których jest coraz więcej na wyspie, Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi. Ale dzisiaj wciąż głównym produktem eksportowym jest wanilia. To biznes zastrzeżony dla nielicznych, związanych zazwyczaj z miejscową władzą. Wanilia rośnie na wysokich, rozłożystych drzewach. Po zerwaniu długie, zielone strąki wrzucane są do gorącej wody, by powstrzymać proces dojrzewania. Nim jako przyprawa trafi do ciast i ciasteczek, poddawana jest pracochłonnemu, codziennemu suszeniu w promieniach słońca i zawijaniu na noc, by nie nabrała wilgoci. Tak postępuje się z nią przez ponad trzy miesiące. W tym czasie strąki zmieniają barwę z zielonej na orzechową. Zbiory odbywają się co trzy lata, nic więc dziwnego, że po szafranie to najdroższa przyprawa świata, za której kilogram trzeba często płacić ponad 600 dol.

Wszędzie też hoduje się bydło, przede wszystkim lokalną odmianę zebu, które zdominowało wyspiarski krajobraz. – Dla Malgasza zebu jest tym, czym wielbłąd dla Araba – wyjaśnia mi Ram, kuzyn Yovana, z którym od tygodnia podróżuję po Madagaskarze. – Wykonuje najcięższą pracę przy uprawie ryżu, ubijając bagnistą glebę; ciągnie wozy, które nazywamy tu saretami. Wjadą tam, gdzie nie wjedzie samochód terenowy. W wielu regionach, po śmierci swych właścicieli, zebu składane są w ofierze, a ich czaszki zatknięte na pal przez wiele kolejnych lat strzegą spokoju zmarłych – ciągnie Ram, który – choć jest Malgaszem od kilku pokoleń – ma hinduskie korzenie. Yovan jest biznesmenem z Mauritiusu, również hinduskiego pochodzenia, co jest wystarczającym powodem do nazywania Rama kuzynem.

MISJA MAJORA

Przez dwa tygodnie podróżujemy z Yovanem po wyspie, gdy on załatwia swoje interesy, ja rozglądam się za polskimi śladami. Gdzieś muszą być. O pomoc proszę Alberta Ziębę, Polaka, który 20 lat temu zamiast do Ruandy poleciał na Madagaskar, gdzie prowadzi polsko-malgaskie stowarzyszenie POLka. – Niewielu nas tu Polaków, ok. 70, większość to misjonarze rozsiani po całej wyspie. Takich jak ja, zakorzenionych, na stałe tu mieszkających jest chyba dziewięcioro, dziesięcioro. Czasami ktoś przyjedzie na dłuższy lub krótszy kontrakt, są wolontariusze prowadzący szkoły. Nikt nie narzeka, każdy pracuje. Jeden jest dyrektorem w telekomunikacyjnym gigancie, drugi menedżerem we francuskiej firmie odpowiedzialnej za bezpieczeństwo stołecznego portu lotniczego, inny ma przedsiębiorstwo połowu ryb na zachodnim wybrzeżu – wylicza Zięba.



Fot. NAC

Mniej więcej tylu Polaków było tu przed II wojną światową, gdy mówiło się o polskiej kolonizacji Madagaskaru, a sanacyjny rząd wysłał na wyspę trzyosobową komisję, która miała sprawdzić, czy warto zawracać sobie nią głowę. Jej przewodniczący, mjr Mieczysław Lepecki, pisał, że wszystkim powodziło się dostatnio, jeden prowadził dom handlowy, inny był właścicielem małego statku pływającego pod polską banderą po śródlądowych wodach wyspy.

Polska snuła kolonialne mrzonki, bo podobnie jak wiele innych państw dwudziestolecia międzywojennego borykała się z problemami demograficznymi i gospodarczymi. Europie w latach 1920–1939, mimo nieprzerwanej migracji do obu Ameryk, przybyło niemal 57 mln mieszkańców. Ta eksplozja demograficzna dotyczyła głównie wschodniej części kontynentu. W ówczesnej Polsce wskaźnik zaludnienia wynosił 88 osób na 1 km2 i znacząco odbiegał od europejskiej średniej.

W 1937 r. na pokładzie francuskiego okrętu Compiegne przybyli na Madagaskar wspomniany mjr Mieczysław Lepecki – niegdyś adiutant marszałka Piłsudskiego, Salomon Dyk – agronom z Palestyny, i Leon Alter z Żydowskiego Towarzystwa Emigracyjnego Jeas. Gubernator Madagaskaru zorganizował im pięć wypraw w różne regiony wyspy. Ostatnia podróż – na północną część wysokiego płaskowyżu, zwaną Ankaizina – wydała się Lepeckiemu szczególnie interesująca. W wydanej w 1938 r. książce „Madagaskar. Kraj, ludzie, kolonizacja" tereny te wielkością porównał do województw krakowskiego i śląskiego razem wziętych. Jak na kilkutygodniowy pobyt major pozostawił niezwykle interesujący obraz Madagaskaru, opisując jego historię, klimat, obyczaje, a nade wszystko możliwości adaptacyjne potencjalnych przybyszów z Europy. Widział ich uprawiających żyzną ziemię, produkujących i eksportujących kawę, tytoń, kukurydzę, wonne olejki, czyli dobra, które w owym czasie skutecznie oparły się światowemu kryzysowi, a które i dzisiaj są podstawą malgaskiego eksportu.

Wyprawa rządowa została wsparta przez nieoficjalną – niektórzy sugerują, że zainspirowaną przez wywiad – misję Arkadego Fiedlera, który pobyt na wyspie uwiecznił w książce „Madagaskar. Gorąca wieś Ambinanitelo". Pisarz nie ruszył śladem komisji. Kilka miesięcy spędził wraz ze swym przyjacielem w wiosce nad rzeką Antanambalana. Zamiast szpiegować, Fiedler wolał fotografować zwierzęta i rośliny czy przyglądać się obyczajom miejscowej ludności. Było na co patrzeć, las bowiem tworzą tu jedne z najwyższych drzew świata, między którymi przemykają lemury i równie dziwne fossy, największe żyjące tutaj drapieżniki, przypominające trochę kota, trochę lisa, trochę wydrę i trochę psa. Dzisiaj tereny te, choć chętnie odwiedzane



Fot. Z archiwum autora

przez turystów, nie należą do najbezpieczniejszych miejsc na Madagaskarze z powodu dość licznych uzbrojonych grup kłusowników polujących zarówno na lemury, jak i fossy. Ale ich głównym zajęciem jest nielegalne wycinanie ściśle chronionych, a będących na wymarciu, drzew różanych. Cenne drewno trafia do Chin, gdzie wyrabia się z niego skrzypce i meble.

Lepecki optymistycznie zakładał, że na badanych przez niego terenach mogłoby osiąść 50–70 tys. migrantów, a koszt osadzenia jednej rodziny szacował na ok. 5 tys. polskich złotych, z czego znaczna część miałaby przypaść na transport. To dużo, bo mniej więcej tyle kosztował fiat 508, obiekt marzeń ówczesnego Polaka, ale potencjalne zyski miałyby, zdaniem Lepeckiego, zrekompensować to mniej więcej po dekadzie. Pozostali członkowie komisji studzili entuzjazm majora, mówiąc, że co najwyżej można przesiedlić 2 tys. osób, co cały pomysł pozbawia sensu. Nie doszło jednak do rzeczowej dyskusji, wojna całkowicie pogrzebała plany zasiedlenia odległych ziem.

POLSKI KRÓL

Na północnym płaskowyżu nigdy nie powstały polskie wioski ani miasta. A przecież mieliśmy tutaj swego króla. Choć z pochodzenia był Węgrem, który urodził się w małym majątku w Verbó, czyli dzisiejszym słowackim Vrbové, Maurycy Beniowski, bo o nim mowa, sam uważał się za Polaka i niezwykle silnie związał z Polską swe losy, ale życie oddał za odległy Madagaskar.

Wielkim miłośnikiem Beniowskiego jest wspomniany Albert Zięba, który od lat tropi ślady jego pobytu na wyspie. Sprawił, że przy Rue Benyowsky w Antananariwie pojawiła się polska tablica pamiątkowa. O życiu hrabiego mógłby opowiadać godzinami.

W 1768 r. Beniowski przyłączył się do konfederatów barskich walczących z panoszącą się w Polsce Rosją. Ujęty w jednej z potyczek, zesłany został na Kamczatkę, gdzie przy pomocy zakochanej w nim córki gubernatora i kilkudziesięciu podobnych mu desperatów opanował osadę, porwał rosyjski okręt wojenny i wyruszył w wielomiesięczną podróż przez pół świata. Przez Japonię, Tajwan, gdzie uciekinierzy wdali się w lokalną wojnę plemienną, przez Makao, gdzie sprzedali porwany Rosjanom okręt, po krótkich postojach na Mauritiusie i Madagaskarze dotarli do Francji. Tu przyjęto Beniowskiego jak bohatera, który wyrwał się z kart przygodowej powieści. Szybko oczarował dwór Ludwika XV. Ten wkrótce powierzył mu zadanie podbicia dla Francji Madagaskaru. Beniowski już jesienią 1773 r. wylądował na brzegu wielkiej zatoki Antogila, gdzie wybudował fort Louisbourg. Teraz to niewielkie miasto Maroantsetra.

Hrabia podporządkował Madagaskar Francji, wrócił do Paryża, ale wcześniej Malgasze obwołali go swoim królem. W Paryżu przedstawiał się wobec tego jako władca Madagaskaru, który chce podpisać traktat z francuskim monarchą. Oferty nie potraktowano poważnie, ale na paryskich salonach spotkał posła młodej, amerykańskiej republiki Beniamina Franklina. Zauroczony tym politykiem i uczonym nie po raz ostatni postanowił walczyć o czyjąś wolność i podobno wstąpił w szeregi wojsk George'a Washingtona.

Wrócił na wyspę w 1785 r., jak chcą niektórzy jego biografowie, by zwrócić Madagaskar Malgaszom. Zginął w następnym roku, broniąc jednego z nadbrzeżnych fortów przed Francuzami, nieopodal dzisiejszej wioski Ambodirafia, na wschodnim krańcu wyspy. Oprócz uśmiechniętych Malgaszy często można tu spotkać różnej narodowości poszukiwaczy, wierzących, że któregoś dnia odkryją miejsce spoczynku hrabiego.

NIE TYLKO BENIOWSKI

Madagaskar jeszcze ponad 100 lat po śmierci Beniowskiego cieszył się wolnością od obcych imperiów. Jednak w 1895 r., po kilku wojennych kampaniach, Francuzi włączyli go do swojego imperium, znieśli niewolnictwo i zmusili większość mieszkańców do ciężkiej pracy na plantacjach wanilii, cynamonu i przede wszystkim ryżu, którego uprawa, zamieniająca jeziora w płytkie bagna, szybko przyczyniła się do ściągnięcia na wyspę plagi malarii. W tym właśnie czasie przybył tu Polak, którego ślady pobytu widoczne są do dzisiaj i który w pamięci Malgaszy jest chyba żywszy niż Beniowski. W 1899 r., po dziesiątkach lat starań, ks. Jan Beyzym otrzymał od swych przełożonych zgodę na działalność misyjną na Madagaskarze. Syn powstańca styczniowego zdecydował się nie tylko pracować z malgaskimi trędowatymi, lecz również zawziął się, by wybudować dla nich szpital. Olbrzymią jak na tamte czasy kwotę 25 tys. franków potrzebnych na inwestycję zebrał od Polaków ze wszystkich trzech zaborów. Papież Jan Paweł II beatyfikował Beyzyma w 2002 r. Szpital pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej wciąż stoi w Maranie i od ponad 100 lat służy chorym.



Fot. Kino Świat/Krzysztof Wiktor

Władysław Pasikowski i Marcin Dorociński na planie „Pitbulla”

To nie tylko starcie między „Kobietami mafii” Patryka Vegi, króla kina akcji, a nowym „Pitbullem” Władysława Pasikowskiego, weterana tego gatunku. To pojedynek między całą spuścizną policyjnego kina z logo „Pitbull” a legendą „Psów”

Pasikowski przejmuje „Pitbulla”



ŁUKASZ ADAMSKI

W końcu w polskim kinie doczekaliśmy się starcia rodem z Hollywood. Mieliśmy lata, gdy na ekrany wchodziły dwa filmy o tej samej tematyce: o końcu świata („Armageddon”, „Dzień zagłady”), zalewającej Amerykę lawie („Góra Dantego”, „Wulkan”), ataku na Biały Dom („Olimp w ogniu”, „Świat w płomieniach”). W roku 2018 w kinach biją się dwa polskie policyjne hity. To nie tylko starcie między „Kobietami mafii” Patryka Vegi a „Pitbullem. Ostatnim psem” Władysława Pasikowskiego, starego wygi kina akcji. To pojedynek między całą spuścizną policyjnego kina Vegi z logo „Pitbull” a legendą „Psów” Pasikowskiego. Na dodatek serial „Pitbull” (2005–2008), który wyniósł Vegę do rangi wielkiej nadziei polskiego kina, bezpośrednio konkurował z serialem „Glina” (2004–2008) powracającego do policyjnego świata (po koszmarnym „Reichu”) speca od twardzielskiego Hollywood „made in Poland”.

ZMIANA REŻYSERA

Po tym, jak Vega pokłócił się z producentem poprzednich filmów z serii „Pitbull”, w projekt wszedł właśnie Pasikowski. Napisał swój scenariusz i ściągnął część obsady oryginalnego serialu

(Marcin Dorociński, Michał Kula, Rafał Mohr, Krzysztof Stroiński). Pasikowski słowem „pies" w podtytule bardzo mocno zaznaczył swoje terytorium. „Pitbull. Ostatni pies" nie jest zwykłą kontynuacją „Nowych porządków" i „Niebezpiecznych kobiet". To autorskie dzieło Pasikowskiego. Czy można mówić o „Psach 3"? W pewnym sensie tak, choć Pasikowski wszedł jednak na teren swojego młodszego kolegi, gdzie nie ma ubeków ani agentów z Samuna. Niemniej film otwiera scena w magazynie, w którym polski glina ściera się z brutalnymi Rosjanami. Pamiętają państwo słynną scenę „z palcem Pazury" w „Psach 2. Ostatniej krwi"?



Pasikowski daje nam to, w czym się czuje najlepiej. Są wóda, powiedzonka w stylu Franza Maurera i złożona ze schematów silna kobieta

Fot. Kino Świat/Krzysztof Wiktor



Fot. Krzemiński Jordan/AKPA

Nie miał Pasikowski łatwego zadania, wchodząc w świat Vegi. Oba poprzednie „Pitbulle" miały milionową widownię, biły rekordy frekwencyjne w historii polskiego kina. Nie miały wiele wspólnego z oryginalnym serialem. Były to filmy źle wyreżyserowane, scenariusz polegał na zlepieniu z sobą dobrych i złych scenek, które cechowała specyficzna wulgarność. Po pokracznym „Botoksie" wydawało się, że butny Vega, który znalazł klucz do duszy polskiego widza, do końca świata i jeden dzień dłużej będzie eksploatował stylistykę swoich grafomańskich opowieści. Okazało się, że Pasikowski jest straszakiem na kroczącego od sukcesu do sukcesu filmowca.

Patryk Vega wiedział, że „Kobiety mafii" będą porównywane z filmem Pasikowskiego, który został wynajęty do zamknięcia trylogii Vegi. Pisałem w swojej recenzji na wPolityce.pl, że Vega wyciągnął wnioski z krytyki, jaka spadała na jego poprzednie filmy. Wygląda na to, że zbawienny wpływ na specyficzny styl pracy Vegi ma współscenarzysta Olaf Olszewski, który widnieje również przy scenariuszu zdumiewająco (na tle filmu) udanego serialu „Botoks", zrobionego dla Showmaxu.

Patryk Vega, reżyser „Kobiet mafii"

„Kobiety mafii" to najpoważniejszy, najbardziej przemyślany i najlepszy film Vegi. Od czasu zrealizowanego ponad dekadę temu serialu „Pitbull" Vega nie nakręcił niczego równie spójnego, zdyscyplinowanego i wypełnionego dobrze nakreślonymi postaciami. Nie tekturowymi imitacjami psów i gangusów, będących parodią kultowych bohaterów serialu, czyli Gebelsa, Nielata, Despera i Metyla, ale realnymi postaciami z krwi i kości.

Z czego wynika przemiana filmowca, który tak spektakularnie artystycznie położył poprzednie dwa filmy z serii „Pitbull"? Może z tego, że Pasikowski właśnie na Desperze, Metylu i Nielacie zbudował swój scenariusz. W „Pitbullu. Ostatnim psie" słyszymy jednak nawiązania do postaci znanych z dwóch poprzednich „Pitbullów". Ba, Pasikowski wbija nawet delikatne szpile („kto to jest Majami?") w trupę aktorską Vegi, która nie zgodziła się zagrać w ostatniej odsłonie serii. Wraca za to stara gwardia na czele z będącym na wygnaniu Desperem Dorocińskiego), zrehabilitowanym Metylem (Stroiński), Nielatem (Mohr), który po szkoleniu przez FBI stał się Quantico. „Psy" wchodzą na wojenną ścieżkę z mafią po tym, jak zabito partnera bohatera filmów Vegi, Majamiego. Despero staje się „undercover cop", jak mówi zamerykanizowany Quantico, i zamienia posterunek w Juracie na świat gangusów z Warszawy. Świat dosyć anachroniczny.

PASIKOWSKI KOCHA RETRO

Nie wiem, czy Pasikowski przewrotnie zastosował rozwiązania rodem z czasów, gdy był królem kina akcji („Prusz-

ków" z „Wołominem" od dwóch dekad z sobą nie walczą!), czy po prostu inaczej nie potrafi spojrzeć na rzeczywistość gangsterską współczesnej Polski. Nie jest to aż tak istotne, wszystkie bowiem dziury scenariuszowe zasypują aktorzy. Solówki Dorocińskiego i Stroińskiego nabierają nowego wymiaru w rękach takiego reżysera jak Pasikowski. Od dawna niezagospodarowany w polskim kinie Cezary Pazura (to dzięki „Krollowi" debiutującego Pasikowskiego wszedł z przytupem do polskiego kina) i zjawiskowo wszechstronny Adam Woronowicz tworzą zaś intrygujący duet braci gangsterów. Woronowicz to mistrz takich kreacji, co pokazał jako diaboliczny gangster w „Chrzcie" Marcina Wrony. Teraz pokazuje jeszcze inną twarz gangstera w garniturze. Właśnie takich złożonych, intrygujących postaci brakuje ostatnim filmom Vegi. Słynny mjr Bońka (Janusz Chabior), czyli nawracający się na chrześcijaństwo zabijaka z WSI w „Służbach specjalnych", jest wyjątkiem.

Pasikowski daje nam to, w czym czuje się najlepiej. Jest wóda, powiedzonka w stylu Franza Maurera (Despero nawet „zabije ich wszystkich sam") i złożona ze schematów silna kobieta. Dorota „Doda" Rabczewska jak na amatorkę dobrze poradziła sobie z rolą. Na tyle, na ile pozwalał jej scenariusz. Pasikowski nie umie pisać ról kobiecych, czego nigdy nie ukrywał. Wyraźnie nie radzi sobie z postacią „panienki gangstera", która staje się bezwzględną „matką chrzestną". Jej przemiana jest mało wiarygodna i szczególnie w zestawieniu z kobietami mafii w filmie Vegi wypada blado (przypomnijcie sobie postać Agnieszki Dygant). Ten film potwierdza tylko, że Patryk Vega jest wrażliwym feministą i naprawdę kocha oraz rozumie kobiety. W „Botoksie" pokazał problem molestowania, zanim wybuchła akcja #MeToo. Po „Kobietach mafii" zanosi się na tarantinowską trylogię o zemście silnych kobiet. Pasikowski to starodawny maczo mówiący wciąż, że „to zła kobieta była".

WARSZTAT KONTRA ENERGIA

Choć Pasikowski nie ma tak dobrego jak Vega ucha do grypserki gangusów i policyjnego żargonu, to radzi sobie, bazując na terminologii wziętej z serialu Vegi. Ma za to twórca „Jacka Stronga" świetny warsztat, którym bije na głowę ojca marki „Pitbull". Pasikowski wie, co to kompozycja kadru, symboliczne ujęcia, spójna narracja i konsekwentne rozwijanie charakteru bohaterów. To dojrzały filmowiec i znakomity rzemieślnik, który na dodatek wypracował autorską stylistykę. Nie zapominajmy, że Pasikowski zdemolował inteligencki etos polskiego kina lat 80. Wymiótł solidarnościowe kino moralnego niepokoju, robiąc bohaterem cynicznego zabijakę esbeka, którego potem sam nieświadomie sparodiował. Gdyby nie rewolucja Pasikowskiego, nie byłoby dzisiejszego polskiego kina sensacyjnego.



Kadr z filmu „Kobiety mafii"

Fot. Kino Świat

Nie byłoby też Vegi, który „Psom" naostrzył zęby i nazwał „Pitbullami". Następnie ten sam Vega zburzył policyjne kino Pasikowskiego, budując własny styl opowiadania. Teledyskowy, z przyczynkową fabułą, ale za to trafiający ulicznym realizmem do mas. Nie ma Pasikowski ożywczej anarchii Vegi. Nie ma jego bezczelności, świeżości, grafomanii, które tworzą te zjawiskowo niepodrabialne bohomazy. Dlatego jestem przekonany, że nie pokona Vegi w box offisie.

Pasikowski zagryzł jednak poprzednie dwa „Pibtulle", które w rękach Vegi były koszmarnie pokraczne. Mając z sobą Marcina Dorocińskiego, czołowego gwiazdora polskiego kina (jego kariera zaczęła się od „Pitbulla" z 2005 r.), jako Despera, nie potrzebował nawet Gebelsa (Andrzej Grabowski pozostał wierny Vedze i odmówił Pasikowskiemu), by pozwolić widzom zatopić się w klimacie genialnego serialu Vegi sprzed dekady. Jego „Ostatni pies" ociera się o mrok „Gliny", zagląda w stronę rasowego thrillera policyjnego. To męskie kino w starym stylu. Mięsisty oldskul dla widzów wychowanych w latach 90. Momentami wygląda to na zjazd absolwentów, którzy przy wódzie wspominają dawne lata. Owszem, mamy tutaj echa afery Amber Gold, mafię paliwową i VAT-owską oraz piramidę Ponziego. Trudno się natomiast pozbyć wrażenia, że to wątki usilnie doklejone, by uwspółcześnić opowieść skrojoną pod kino akcji lat 90. Nieco się to gryzie.

Jaki werdykt po walce dwóch pragnących krwi psów? Stary wyga pokazał wszystkim, jak wygląda „Pitbull" zrobiony przez profesjonalistę. To solidna sensacja spełnionego mistrza gatunku, który zrobił sobie przerwę od rozliczeniowo-historycznych westernów („Pokłosie", „Jack Strong"). Wyjął dawne zabawki dla dużych chłopców i dzięki nim przygotował kawał kina klasy B. Jednak ci, którzy wolą się bawić z nieprzewidywalnymi hultajami, wybiorą Vegę. Na dodatek Vega zabrał Pasikowskiemu samego Bogusława „Franza Maurera" Lindę, który wystąpi w następnych częściach kobiecej trylogii Vegi. U Pasikowskiego nie zagrał od 17 lat. Symboliczne.

Biez wodki nie razbieriosz

Wartości liberalne, gorliwie rozpowszechniane w tzw. zachodnim świecie, już były bliskie utrwalenia się na zawsze i wyeliminowania – jako bardziej kuszące i wolnościowe – dominujących przez dwa tysiąclecia wartości chrześcijańskich. Do eliminowania tych nikomu niepotrzebnych i tylko utrudniających konsumpcję życia wartości sprzed dwóch tysięcy lat przyczyniła się rewolucja cybernetyczna końca XX w. Do walki z zacofaniem i prymitywizmem ruszyły media, najpierw telewizja, a następnie internet. I wszystko poszło gładko. Propaganda sukcesu poprawności politycznej ścigała się z modą na nieograniczony seks wśród dziatwy gimnazjalnej, wzorującej się na nieograniczonej nieobyczajności swoich rodziców, tak jak i oni wychowanych antyautorytarnie, czyli puszczonych samopas. Do 2000 r. internet był jeszcze w powijakach, a jak już dotarł do niemal każdego, sukces tego – jak mu tam – liberalizmu lewicowego, a raczej lewackiego, wydawał się murowany. I tu zaczęły się schody. W dół, a nie w górę. Internet jest środkiem komunikacji dostępnym każdemu – i liberałowi, i chrześcijaninowi, i muzułmaninowi, marksiście, leniniście, gimnazjaliście, a nawet przedszkolakowi.



Czytając ostatnie rewelacje lewicowej gazety brytyjskiej „The Guardian", można dojść do wniosku, że elity europejskie dążą do powtórki z czasów stanu wojennego

To prowadzi do chaosu. Lecz lewactwo chaos miało zaprogramowany, bo tylko rozprzężenie, bezprawie i dwuznaczne prawodawstwo jest skuteczną bronią ze wszystkim, co trąci tradycją, w tym religijną. Totalny chaos dotarł też do krajów muzułmańskich przyniesiony na sztandarach „arabskiej wiosny" z UE, wraz z laptopami, smartfonami itd. Lecz nie osłabił religijnego fanatyzmu islamistów, tylko go wzmocnił, dzięki czemu mogą oni organizować zamachy, przekazując rozkazy i instrukcje drogą wirtualną. Nie wychodząc z domu. I jak na złość establishmentowi dotarł też do całej masy normalnych ludzi, którzy wreszcie mogą swobodnie wyrażać swoje poglądy, korzystać z powszechnie dostępnych informacji i konfrontować je z sobą, prawdziwe z nieprawdziwymi.

Okazało się, że nie udało się wyjałowić większości konsumentów zachodniego dobrobytu z samodzielnego myślenia i wyrażania negatywnych opinii na temat multikulti i ideologii gender. Dzięki internetowi mogą korzystać z informacji na temat kampanii wyborczych w swoim kraju i za granicą. Ale gdyby nie było internetu, też by korzystali z istniejących mediów, z informacji i opinii przekazywanych przez gazety, radio i TV. Za czasów „Solidarności" internetu nie było, a dwa kanały telewizyjne uprawiały bezczelną propagandę wyższości socjalizmu nad reakcjonizmem. Mieliśmy tylko bibułę i tajne rozgłośnie. I co? Gdyby Jaruzelski nie ogłosił stanu wojennego, mielibyśmy inną Polskę, wolną i demokratyczną już od 1980 r.

Czytając ostatnie rewelacje lewicowej gazety brytyjskiej „The Guardian", można dojść do wniosku, że elity europejskie dążą do powtórki z czasów stanu wojennego. Oto okazało się – według tej gazety – że Donald Trump i Andrzej Duda wygrali wybory prezydenckie nielegalnie. Przyczyniły się do ich zwycięstwa media społecznościowe, a konkretnie Facebook. To z nim zawarła umowę brytyjska firma Cambridge Analytica, zajmująca się doradztwem politycznym, czerpiąc dane na temat kandydatów i opinii o nich zawartych na tym portalu. Cytuję: „Dzięki narzędziom Facebooka zespół Andrzeja Dudy zamienił jego stronę w główny kanał komunikacji z wyborcami". Czy ktoś coś z tego rozumie? Rosjanin w obliczu takiego kretyństwa zwykł mawiać: „Biez wodki nie razbieriosz".

Co można zrobić, żeby zmienić stan rzeczy i ogłosić Hillary Clinton oraz Bronisława Komorowskiego prezydentami USA i III RP? Jako że wybory były nielegalne, bo Facebook dostarczył firmie doradczej informacji na temat kampanii wyborczej Trumpa i Dudy. Ale na Facebooku było przecież pełno informacji i opinii na temat wszystkich czołowych kandydatów, także prowadzonej przez nich kampanii wyborczej. Nie mówiąc o TVN, Polsacie i „Gazecie Wyborczej". CNN w USA było pewne wygranej Clinton, a naczelny redaktor „Gazety Wyborczej" dowodził, że Komorowski przegra tylko wówczas, „jeśli przejedzie na pasach pijaną zakonnicę w ciąży".

Tracący wpływy liberalny establishment chciałby zapewne likwidacji Facebooka, posłania do więzienia szefa Cambridge Analytica, zakazu niesłusznego doradztwa politycznego, godzącego w system „liberalnej demokracji". Co gorsza, musiałby tak jak ta firma analityczna „odłowić" podatnego na sugestie widza i przekonać go do oddania głosu na swoich, sprawdzonych misiów. A jak się nie uda, zlikwidować internet i ogłosić stan wojenny.

35/0218/F

Ciuchcie wyborcze

Nad totalną opozycją wisi jakieś fatum. Nic jej się nie udaje. Ludzie zachodzą w głowę, jak to się mogło stać, że Platforma Obywatelska dzierżyła przez osiem lat władzę niemal absolutną. Tak sprytnie, że przez dwie kadencje oszukiwała naród, ukrywając swoje łajdactwa w atmosferze chaosu postliberalnego, dającego rozliczne wolności obyczajowe i zwodząc tolerancją religijną, a nawet flirtując z Kościołem, czego symbolem był ślub kościelny Tuska z cywilną przez 26 lat małżonką. W utrzymaniu tej władzy pomagała propaganda sukcesu polityki zagranicznej III RP, polegającej na uzależnieniu się państwa polskiego od kapitału zagranicznego, w tym od koncernów, które dawały łaskawie pracę niewolniczą obywatelom tego zacofanego cywilizacyjnie kraju. Ludzie godzili się na wszystko za cenę importowanych z Zachodu błyskotek, imitacji dobrobytu, która miała być antidotum na kompleks niższości wobec lepszego świata. Którego mieliśmy się wstydzić, bo byliśmy mało warci.

Rządy Tuska, a potem Ewy Kopacz do tego stopnia utraciły kontakt ze społeczeństwem, że uznały, iż tylko PO dysponuje światłymi elitami, zdolnymi do rządzenia, i dały sobie wmówić przez swoje zakłamane media, że opozycja to jakieś wieśniaki, niewykształcone i prymitywne, a prawdziwa inteligencja to Poniedziałek i Środa. Tymczasem pogardzana przez „elity" PO prawicowa opozycja nie próżnowała, przygotowując program naprawy państwa i poprawy losu narodu; wyszła do ludzi z prawdą o stanie III RP, wyszła do zwykłych ludzi, którzy są większością narodu, i naprzeciw ich oczekiwaniom. Swoją działalność polityczną opierała na przekonaniu, że naród polski jest godny szacunku i uznania ze strony zagranicy, co właśnie się dzieje na złość zdrajcom polskich interesów, czyli opozycji totalnej.

PO, PSL i Nowoczesna w oczach Polaków straciły natomiast resztki szacunku, partie te są przedmiotem drwin i pogardy, wystarczy zajrzeć do internetu: narzędzia komunikacji, które rozłożyło zachwycone sobą „elity" na łopatki. Jeszcze śmieszniej prezentują się wybitne autorytety moralne i polityczne w osobach byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego czy córki Wojciecha Jaruzelskiego, Moniki. Oni mają ponoć być lokomotywami w wyborach do samorządów i Sejmu. To nie są lokomotywy, to są zaledwie ciuchcie wąskotorowe, symbole komuny i postkomuny, dla młodego pokolenia, rozeznanego w świecie, przeszłość, której trzeba się wstydzić. A te ciuchcie zdążają do końcowej stacji, gdzieś w szczerym polu poprawności politycznej, w pustce politycznej, moralnej i intelektualnej.

Krystyna Grzybowska

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

Gorączka

Wojciech Stanisławski

Opowieść o Wandzie Kronenberg rozsadza proste wyobrażenia o niepokonanej Warszawie



To nie jest monografia, chociaż może się z niej wykluć tuzin habilitacji i drugie tyle bestsellerów, to nie analiza źródeł, chociaż przy każdej trudnej do uwierzenia tezie wisi uspokajająca kotwiczka przypisu, uziemiające pioruny odwołanie do konkretnej klatki mikrofilmu z zasobu AAN czy IPN. Autor swoją najnowszą książkę opatrzył podtytułem „Śledztwo dziennikarskie", ale to coś więcej niż zapis śledztwa, to zabieg, do którego czasem uciekają się mistrzowie formy, których znużyło cyzelowanie marmuru, szwu czy frazy, i postanawiają odsłonić chaos, który panuje przed premierą książki czy spektaklu, wszystkie te ścinki, fastrygi, szkice, zwykle zamiatane, wygładzane: niech nas zobaczą.

Pewnie nie mogło być inaczej, bo opowieść o Wandzie Kronenberg rozsadza proste wyobrażenia o okupacyjnej, niepokonanej Warszawie. Michał Wójcik niejedną swoją książką udowodnił (przypomnijmy choćby wywiady rzeki ze Stanisławem Likiernikiem i Lucjanem „Sępem" Wiśniewskim, album „Teraz '44 Historie"), że zna tamten czas na wylot, przemyka po jego piwnicach, kanałach i pasażach. Traktuje go serio, nie bawi się w tanie demitologizacje „chłopaków z AK", w odwracanie znaczeń, w chłosty śmiechu dobre dla kabareciarzy. A zarazem nie pozwala sobie założyć wędzidła patosu: opowiada o grze wywiadów, w której niemal każdy jest w stanie się zjednoczyć z niemal każdym: agentura AK współdziała z Sipo przeciw Sowietom, czynni w Warszawie biali Rosjanie infiltrują środowiska jeńców rosyjskich, swoimi siatkami sięgają w stronę Białorusi i Londynu, a narodowcy, jak to oni, niezmordowanie tropią żydokomunę. Zagrania jak z Le Carre'a, paranoja jak w „Pamiętniku znalezionym w wannie" Lema, realia warszawskie – ryksze, bimber, oficerki – jak u Grzesiuka i Dygata razem wziętych.

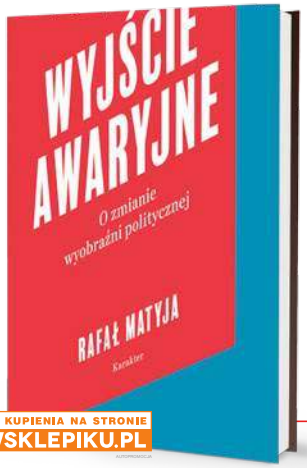
W tym wszystkim ona, siedemnastolatka, śliczna, groźna i zagrożona, nadwiślańska Mata Hari pisząca niegramatyczne raporty, Młodziakówna z MI5: Wanda Kronenbergówna, wychowanka pałacu ze skazą złego urodzenia, zdecydowana nie tyle wygrać, nie tyle nawet przetrwać, ile grać. Podwójna, potrójna agentka, współpracująca jednocześnie z wywiadami niemieckimi (najpierw Sipo, potem gestapo, wreszcie abwera) i AK-owskim, najpewniej – to jeszcze jedna, niejedna, niepostawiona w tej książce kropka nad i – również brytyjskim? To zdanie wydaje się niemożliwe, dopóki nie zrozumiemy, właśnie za sprawą tej książki, że żaden z wywiadów nie był monolitem, że rozwarstwiały się jak kryształy grafitu pod mikroskopem na osobne siatki, grupy wpływów, jaczejki, między którymi przemyka, jak między zbyt dużymi oczkami sieci, „Lida", „Frau Müller", „Edith": Wanda, której brawura nie mieści się w głowach analitykom. Idąc tropami Le Carre'a, to trochę tak, jakby „krawiec z Panamy" ogrywał Smileya.

Literackości w losie Kronenbergówny jest aż za dużo i Michał Wójcik usiłuje poradzić sobie z nią, zmetabolizować ją jakoś, bawiąc się pastiszowymi tytułami rozdziałów, które brzmią jak tytuły kolejnych zeszytów „Żbika" („Perskie dywany, judaszowe srebrniki", „Agentka Lida melduje", „Czerwony ołówek SS-Standartenführera"), przerywając rekonstrukcję fabularnymi wstawkami, szarżując przerysowaną frazą („puste oczodoły śmierci"). Ale wszystko to na nic, jest za dobrym autorem: napisał książkę, przy której głośna i mocna przecież „Morfina" Twardocha będzie już na zawsze bladą fikcją.



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
Michał Wójcik, „Baronówna. Na tropie Wandy Kronenberg", wyd. Znak, 2018

Polski ring



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

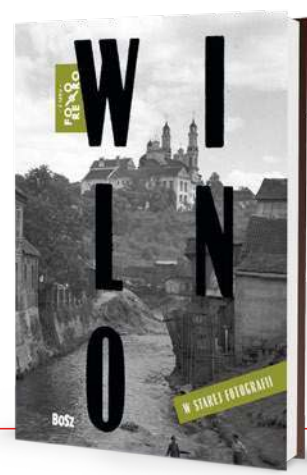
Rafał Matyja, „Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej", wyd. Karakter, 2018

Fala uderzeniowa porusza się szybciej niż dźwięk, przez pierwszą chwilę mury rozsypują się w ciszy. Marzy mi się sytuacja, w której esej Rafała Matyi rozrywa w drzazgi, zanim ktokolwiek zdoła się zorientować, szalunki okopów koszmarnej wojny polsko-polskiej, posklejane z urazów, anegdot, akt i wyrwanych z kontekstu fraz termitiery, w których zamknęły się na głucho dwa „plemiona", i stawia nas wszystkich wobec przejmującej, lodowatej prawdy: zmarnowaliśmy większość z danych nam spokojnych trzydziestu lat, stoimy w obliczu nadchodzącego chaosu z niesprawnym, nieprzemyślanym na nowo państwem. I nie przez służby tak się stało, nie przez korupcję czy „populizm" (chociaż żadnego z tych czynników nie brakowało), lecz przez lenistwo intelektualne.

Niespokojne czasy sprzyjają wysypowi celnych a spóźnionych diagnoz, nawet dzisiejsi maturzyści potrafią wyliczyć wszystkich tych Konarskich, Leszczyńskich i Kołłątajów, którzy bili na alarm w przeddzień rozbiorów. W ciągu ostatnich kilku lat też nie brakowało, jakkolwiek źle wróżyłoby to III RP, diagnoz wykraczających poza publicystycznego squasha, od Krasowskiego i Ziemkiewicza po niedawną celną, gniewną „Żadną zmianę" Stefana Sękowskiego. Ale „Wyjście awaryjne" Matyi – wykładowcy, twórcy „nowosądeckiej szkoły politologii", ale też współpracownika kilku solidarnościowych gabinetów – ma jakość, prozodię i chłód traktatu. Kolejne zdania mają smak spiżu, który tak lubią kolekcjonerzy aforyzmów: „Mocarstwa starają się zrozumieć cały świat, potęgi regionalne – najbliższe otoczenie, państwa peryferyjne mają kłopot z rozumieniem samych siebie".

Po roku 1989 nie wymyślono nowej „ramy narracji": jedni się zajęli robieniem z państwa wielkiej grupy rekonstrukcyjnej, drudzy – wyrastającym z fobii rozmywaniem wszelkich tożsamości. Matyja, cięty na PiS nie mniej niż na „tranzytologów", trafiających do polityki cyników i wszechobecny klientelizm, chce nas wyrwać z tego ringu, przystąpić do rozmowy o nowym narodzie politycznym. Czy może to się udać w obliczu fake newsów, plemienności, dzikiego rozhuśtania emocji? Cóż, jeśli nie przeczytamy „Wyjścia awaryjnego", z pewnością nie.

Miasto za szkłem



„Wilno i Wileńszczyzna w starej fotografii", red. Jan Łosiński, seria Foto-Retro, wyd. Bosz, 2018

Czy to możliwe, że Wilno przestało być zapalnikiem polskiej wyobraźni, że abdykowało z funkcji, którą pełniło przez blisko dwieście lat? „Nigdy od ciebie, Miasto, nie mogłem odjechać" –zarzekał się poeta, którego obracało jak figurę w szachach, ale być może ze śmiercią jego i jeszcze kilku okazało się to możliwe. Miasto jest tak łatwo osiągalne: z dworca PKS Warszawa Zachodnia w dziewięć godzin, samochodem, jeśli minąć objazd pod Ostrowią, nawet w sześć. Raz na kwartał odezwie się echem spór o nazwy ulic, ale turysta z Korony nie ma z tym przecież kłopotu, na Aušros Vartu i Didžioji w co drugiej restauracji jest polskie menu, można wybrać napolitanę albo i kołduny, jak ktoś sentymentalny. Co poradzić, że wyschły jakieś źródła.

Nawet jeśli tak jest – czy rzeczywiście? – album oficyny Bosz przypomina czas, gdy było inaczej, gdy „wileńskość" była smakowana niemal histerycznie, kiedy kulawa, niepewna, tocząca się w podwójnym cieniu kryzysu gospodarczego i granicy ryskiej teraźniejszość była przeżywana tym bardziej pompatycznie, że nakładała się na nią bolesna, oczywista, lecz i podkreślana wielka przeszłość Batorych i Filomatów. „Za dużo było Wilna", chciałoby się powiedzieć, parafrazując wiersz o innym kresowym mieście. Były Kaziuki, powódź, procesje, karaimska kenessa i wreszcie sprawca całego tego zamieszania: siwowąsy, patrzący w dół przez bluszcz oplatający werandę domu jego siostry, Zofii Kadenacowej.

Jednemu za mało będzie w tym albumie Jana Bułhaka i piętrzących się nad miastem strasznych, wysokich obłoków, które czasami można jeszcze zobaczyć na Suwalszczyźnie, drugiemu – za dużo szamerunków i rogatywek, sztywnych i irytujących, skoro w ostatecznym rachunku okazało się, że okazały się bezsilne. Wszystkich pogodzi mało znana panorama Wacława Żylińskiego z 1938 r.: widok z Góry Trzykrzyskiej na kościół św. Jana w pochmurnym dniu, w dymach, w zadymce.

Adamski



VOD



Demiurg za plecami Trumpa

„Znajdź mi Rogera Stone'a!" – krzyczy bohater filmu „Za wielcy, by upaść", opowiadającego o początku ostatniego kryzysu finansowego w USA. Kogo? – zapyta polski widz. Przenikliwy i brawurowo zrealizowany dokument „Get Me Roger Stone" odpowiada na to pytanie. Stone to jeden z demiurgów amerykańskiej polityki. Cyniczny manipulant, który nie ukrywa tego, że jest jak Joker wyjęty z komiksów o Batmanie. Kocha chaos i totalne zniszczenie. Film prześwietla ścieżkę kariery tego najmłodszego republikanina zamieszanego w aferę „Watergate". Czy Stone ukrywa swój udział w aferze, która wymiotła z Białego Domu prezydenta USA? Wytatuował sobie wizerunek Nixona na plecach i powtarza: „Lepiej być niesławnym, niż być anonimowym".

65-letni piarowiec, strateg wyborczy i w końcu lobbysta, działał w mniejszym lub większym stopniu przy wszystkich prawicowych prezydentach USA (głównie przy Reaganie i Bushu seniorze). Od lat jest związany z Donaldem Trumpem, który mimo swojego ego wychwala Stone'a. Trudno się temu dziwić. To Stone przez wiele lat kreował Trumpa na polityka. „Potrzebowałem jako dżokej dobrego konia" – mówi dziś z bezczelną szczerością. Od lat 80. namawiał Trumpa do wyścigu o Biały Dom. Wykorzystał wyśmiewanego wówczas za brak elementarnej powagi miliardera celebrytę do rozbicia Partii Reform, co pomogło w elekcji George'a W. Busha. W ostatniej kampanii przeszczepił Trumpowi hasło Reagana „Make America Great Again". Trump szedł do wyborów z hasłem „osuszenia bagna" Waszyngtonu. A przecież to Stone w latach 80. to bagno kreował jako bezwzględny lobbysta. On nawet tego nie ukrywa. Ba, kreuje się w filmie liberalnych i niechętnych mu twórców (potem ten film usilnie reklamuje) na jeszcze mroczniejszą postać, niż jest. Dlaczego? Bo „lepiej, by mówili źle niż wcale". Dziś Stone skręcił w stronę libertarianizmu i głównie skandalizuje (Twitter permanentnie blokuje mu konto). Ten dokument to coś więcej niż obraz skandalisty. Daje możliwość zajrzenia do najbrudniejszej części kuchni współczesnej polityki.

„GET ME ROGER STONE"
JEST DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

DVD

Emocjonalny mecz



„Borg/McEnroe" to przenikliwa i przejmująca historia współzawodnictwa, pokonywania własnych słabości, tresowania ambicji i pierwotnego instynktu walki. Wimbledon, 1980 r. 24-letni najlepszy tenisista świata Björn Borg (Sverrir Gudnason) broni po raz piąty tytułu mistrza. Zimna i opanowana skandynawska maszyna zderza się z 20-letnim sportowym chuliganem, wybuchowym i pełnym agresji Amerykaninem Johnem McEnroe'em (Shia LaBeouf).

Borg jest królem sportu, ale przez wyniszczające treningi ma zdewastowaną psychikę i pogruchotane życie osobiste. Głodny sukcesu McEnroe musi najpierw pokonać własne słabości, by zapracować choćby na szacunek kibiców. Janus Metz Pedersen przeciwstawiając sobie te dwie skrajnie różne osobowości, wnika we wnętrze obu znakomicie zagranych sportowców. Subtelna narracja miesza się ze zjawiskowo pokazanym finałowym meczem. Reżyser te dwie formy wyważa, dając nam emocjonalny dreszczowiec rozgrywający się na korcie i w duszach bohaterów.

„BORG/MCENROE. MIĘDZY ODWAGĄ A SZALEŃSTWEM"
REŻ. JANUS METZ PEDERSEN, DYSTR. BEST FILM

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

VOD/Telewizja



Wszystkie pieniądze świata

Trust" jest lepszą wersją historii, którą pokazał Ridley Scott we „Wszystkich pieniądzach świata". John Paul Getty (1892–1976) w czasie Wielkiego Kryzysu stworzył duży koncern paliwowy Getty Oil Company. Po tym jak zdobył 60-letnią koncesję na wydobywanie ropy z Arabii Saudyjskiej, stał się najbogatszym człowiekiem świata. Getty był ekscentrycznym Scroodge'em wyjętym z powieści Dickensa. Celebrował bogactwo. Upokarzał nim oponentów i wrogów. Był też zawiedziony wszystkimi swoimi dziećmi. Spadkobiercę dojrzał we wnuku Johnie Paulu Gettym III. Pięknoduch i „złoty hipis" zamieszkał z matką w Rzymie. Odrzucał dziedzictwo nazwiska Getty, choć przez hedonistyczne życie potrzebował pieniędzy dziadka. W 1973 r. został porwany i wiele miesięcy był przetrzymywany w kalabryjskich górach. Getty publicznie powiedział, że nie zapłaci okupu. Dlaczego? Bo musiałby potem płacić za porwanie każdego z kolejnych 14 wnucząt. Sytuacja się zmieniła, gdy porywacze okaleczyli wnuka. Getty zapłacił w końcu 2,2 mln dol., które... bezczelnie odpisał sobie od podatku.

Sygnowany przez Danny'ego Boyle'a serial całościowo obnaża osobowość najsłynniejszego sknerusa świata. Scott w swoim udanym, ale powierzchownym filmie jedynie prześlizgnął się po mrokach rodziny Gettych. Twórcy „Trust" dokonują przenikliwej wiwisekcji rodu. Donald Sutherland jest bardziej ludzki w roli Getty'ego niż Christopher Plummer u Scotta. Wyciąga z postaci jej złożoność. Pozwala szerzej spojrzeć na potępione przez cały świat skąpstwo. Odmalowuje dramat starzejącego się „władcy świata", któremu nie udało się nawet wychować swoich dzieci. Boyle bawi się stylistycznie historią. Wypełnia ją kapitalną ścieżką dźwiękową lat 70., dzieli ekran jak De Palma w filmach tego okresu i żongluje nielinearną narracją. Brendan Fraser jako prostacki kowboj i były agent CIA, który zostaje wysłany przez Getty'ego do Rzymu, wprowadza element dziwacznego czarnego humoru, którego twórca „Płytkiego grobu" nie mógł sobie odmówić!

„TRUST" JEST DOSTĘPNY NA HBO I HBO GO

VOD



Sandałowe kino żyje!

Z uwagi na to, że tradycyjne telewizje zaniechały pokazywania religijnych filmów w okresie świąt wielkanocnych, przypominam o moim ulubionym religijnym dziele „made in Hollywood" ostatnich lat. To kino wpisujące się w najlepszą tradycję wysokobudżetowego sandałowego kina z Ameryki lat 50. Historię śmierci i zmartwychwstania Jezusa widzimy oczami rzymskiego trybuna Claviusa (Joseph Fiennes), któremu Poncjusz Piłat zleca odnalezienie uczniów skazanego właśnie na śmierć Jeszui. Clavius podążając za „złodziejami", wyrusza też w głąb siebie. Zetknięcie się ze skandaliczną, rozsadzającą ówczesny świat rewolucją miłości, bezpowrotnie go zmienia. Reżyser Kevin Reynolds solidnie miesza kino detektywistyczne, kostiumowe i religijne. „Zmartwychwstały" nie jest metafizycznym, głębokim teologicznym traktatem. Jest jednak idealnym przykładem na to, jak przekazywać chrześcijańskie wartości masowemu widzowi, wychowanemu na wyśrubowanych standardach wysokobudżetowego kina.



„ZMARTWYCHWSTAŁY" JEST DOSTĘPNY NA FILMY/GOOGLEPLAY





KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Lista pragnień

Wielkanoc tuż-tuż. Idą kolejne przepiękne święta. W ten wyjątkowy czas potrzebę miłości, dobra, prawdy i wiary odczuwamy w sposób dojmująco realny, bliski

Idą święta, w których chrześcijanie w geście przyjaźni dzielą się święconką i tym, co najważniejsze w życiu człowieka – swą duchowością. Dobrym słowem. Nic bowiem tak jak ono nie zbliża, a potem nie łączy ludzi. Całych rodzin.

Jeszcze zacina mokry śnieg. Jeszcze pokaźne płatki wirują nad dachami. Przez kilka sekund, gdy przestaje wiać, lgną do szyszek, układają się w pasemkach na gzymsach, na domkach, gdzie pod daszkami pozostała resztka drewna. Jodły i modrzewie w moim ogrodzie, zapewne już po raz ostatni tej zimy, ugięły się pod kołdrą puchu. Pochowały się kosy, które jeszcze trzy dni temu nuciły swoje romantyczne piosenki. Ludziom trudno się uśmiechnąć. Długo wyczekiwana wiosna utknęła na przedmieściu. Zmylił ją wschodni wiatr. Zbałamucił rosyjski niż. Wyhamował i pogroził palcem. Większość z nas przed śnieżną sambą pochowała się w swoich mieszkaniach, które w jakiejś mierze przypominają o odwiecznej i naturalnej potrzebie ukrycia się przed mroźnym światem. Na jeden wieczór, na jeszcze jedną noc. Z dala od zgiełku. Jak najdalej od trosk, biedy i melancholii.

Potrzeba dobra – dumam nad czystą kartką papieru, okryty kocem. Potrzeba dobra tkwi w każdym z nas. Dlatego tak lubimy słowa, które zawierają uczucia przyjaźni. Czyny bliźniego, które są świadectwem miłości. Pokrzepiają nas cudze komplementy i słowa zachęty. Aby żyć piękniej, kreatywnie, twórczo, myśląc o drugim człowieku. Kto tego nie potrafi, instynktownie nie pragnie, zdaje się pusty. Jak gnijący pień ściętego drzewa.

W poszukiwaniu dobra i miłości w sobie i w drugim człowieku mocujemy się przez całe życie. Jak trudno jest podjąć niejedną decyzję? Przed jakimi wyborami stają kochankowie najsłynniejszej książki Roberta J. Wallera i nakręconego przez Clinta Eastwooda filmu „Co się wydarzyło w Madison County"? On – fotograf, wieczny podróżnik, ona – żona farmera, niespełniona w miłości. Może z tej przyczyny książki Wallera są tak dojmująco prawdziwe i wartościowe? Dotykają bowiem każdego z nas. Opisują sfery, których niekiedy się wstydzimy.

Sięgam po nieprawdopodobnie piękną następną książkę. Dosłownie przed kwadransem dostarczył mi ją kurier. To „Polowanie na Matkę" Moniki Rogozińskiej, absolwentki polonistyki i dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Po studiach pracowała w schronisku w Dolinie Pięciu Stawów. Została ratownikiem i przewodnikiem tatrzańskim. Współorganizowała zimowe ekspedycje na ośmiotysięczniki Himalajów, Karakorum, uczestnicząc w nich jako korespondentka.

Ta książka to „praca o odwiecznej walce zła z dobrem. O sile polskiej toż-

samości, która sprawia, że naród jest nie do pokonania. O źródle, z którego czerpie swą moc. Ta książka to przepis na niezłomność".

Ta opowieść to również ballada o potrzebie prawdy. Lecz czym jest prawda? Dlaczego dążymy do jej poznania w wielu sferach? W miłości i zdradzie. Na wojnach i w czasach pojednania. W ukrywaniu swoich myśli, namiętności. Skazani na grzech. Zdradzona żona docieka prawdy o sobie. Właśnie wówczas w krzyku wyrzuca swoją rozpacz i bezgraniczną bezradność. Policjanci i detektywi, którzy każdego dnia usiłują rozwikłać niejedną kryminalną zagadkę. Jak tę ostatnią, dotyczącą niesprawiedliwie skazanego młodego człowieka na lata w więzieniu.

Jak skomplikowana bywa prawda! Pisze o tym Monika Rogozińska w swojej pracy wydanej przez wydawnictwo Paulinianum – książce, w której docieka prawdy z niezwykłą wnikliwością. Ale przede wszystkim snuje głębokie rozważania o wierze. Ta jest lejtmotywem książki. Opisuje zmagania Polaków w czasach wojen. Los kardynała Stefana Wyszyńskiego, który ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem na obrzeżach stolicy w Zakładzie Niewidomych w Laskach, dającym schronienie prześladowanym. A potem przetrzymywanym w roku 1955 w Komańczy. „Uwięziony w Stoczku Warmińskim prymas Wyszyński od razu ułożył plan dnia wypełniony modlitwą, pracą, lekturami, nauką języków obcych. Pilnował go z żelazną dyscypliną, zakonną, a może i żołnierską – podczas okupacji niemieckiej był kapelanem zgrupowania Armii Krajowej Kampinos. Tak postępowali oficerowie osadzani w oflagach niemieckich i sowieckich. Z rozpaczy i upodlenia podnosili się modlitwą i wzajemnym kształceniem. Prymas Wyszyński pracował także fizycznie: porządkował zdewastowane klasztorne ogrody kolejnych »obozów izolacji«. Trzymanie się porządku dnia sprawiało, że czas upływał niezwykle szybko, »że byłem wolny od smutku i tęsknot« – zanotował. Życie w modlitwie przynosiło uwięzionym pogodę ducha. Patrzyli ze współczuciem na ponurych nadzorców. »Ludzie, których pozbawiono radości religijnych, siedzą jak ptaki z podwiązanymi skrzydłami. Żal nam tych ludzi«" – zapisał Prymas.

O potrzebie wiary można mówić bez końca. Wiara jest busolą człowieka. A kto poszukuje prawdy – musi trafić do Boga. Dlatego zawsze twierdzę, że ci, którzy ją lekceważą, stają się malkontentami, cynikami. A na koniec szubrawcami. Gnuśnieją, zatracają się i w rezultacie nie znajdują sensu w życiu.

I jeszcze kilka cytatów z książki „Polowanie na Matkę". Pozycji, która powinna się znaleźć w każdym domu.

> W poszukiwaniu dobra i miłości w sobie oraz w drugim człowieku mocujemy się przez całe życie

»Na modlitwie rozpoczęliśmy Nowy Rok z imieniem Maryi Jasnogórskiej na ustach« – zanotował Prymas uwięziony w Prudniku Śląskim. Trzy wieki wcześniej i 20 kilometrów od tego miejsca wydarzyło się coś, co jak uważał, przyczyniło się do uratowania Polski w sytuacji beznadziejnej. W 1655 roku, w Głogówku schronił się na wygnaniu niedoszły jezuita i były kardynał Jan Kazimierz Waza – król Polski. Rzeczpospolita wstrząsana wojną domową, buntami Kozaków i chłopów, rozrywana przez wojska prawosławnego cara Rosji, zalewana przez armię protestanckiego króla Szwecji, zdradzona przez magnatów i dowódców, zachłannie łupiona, bezlitośnie mordowana, zdawała się stracona. Trwała jeszcze niewielka, wolna wyspa Jasnej Góry broniona przez około dwustu mężczyzn: paulinów i zwerbowaną przez przeora, ojca Augustyna Kordeckiego załogę – chłopów z okolicy, mieszczan, kilku szlachciców.

Osamotniony król Jan Kazimierz klęczał przed cudownym obrazem Matki Bożej Częstochowskiej. Oryginał wizerunku przywieziony został w brawurowej akcji z oddalonej o 120 kilometrów Jasnej Góry. Ewakuowano go w obawie, że Szwedzi zdobędą ufortyfikowane sanktuarium. Konającą Rzeczpospolitą król powierzył Matce Bożej. Błagając o litość, obrał ją Patronką i Królową Korony Polskiej. Obraz postanowiono odwieźć z powrotem. Twierdza Jasna Góra nie mogła być warownią ducha narodu bez swojej Królowej.

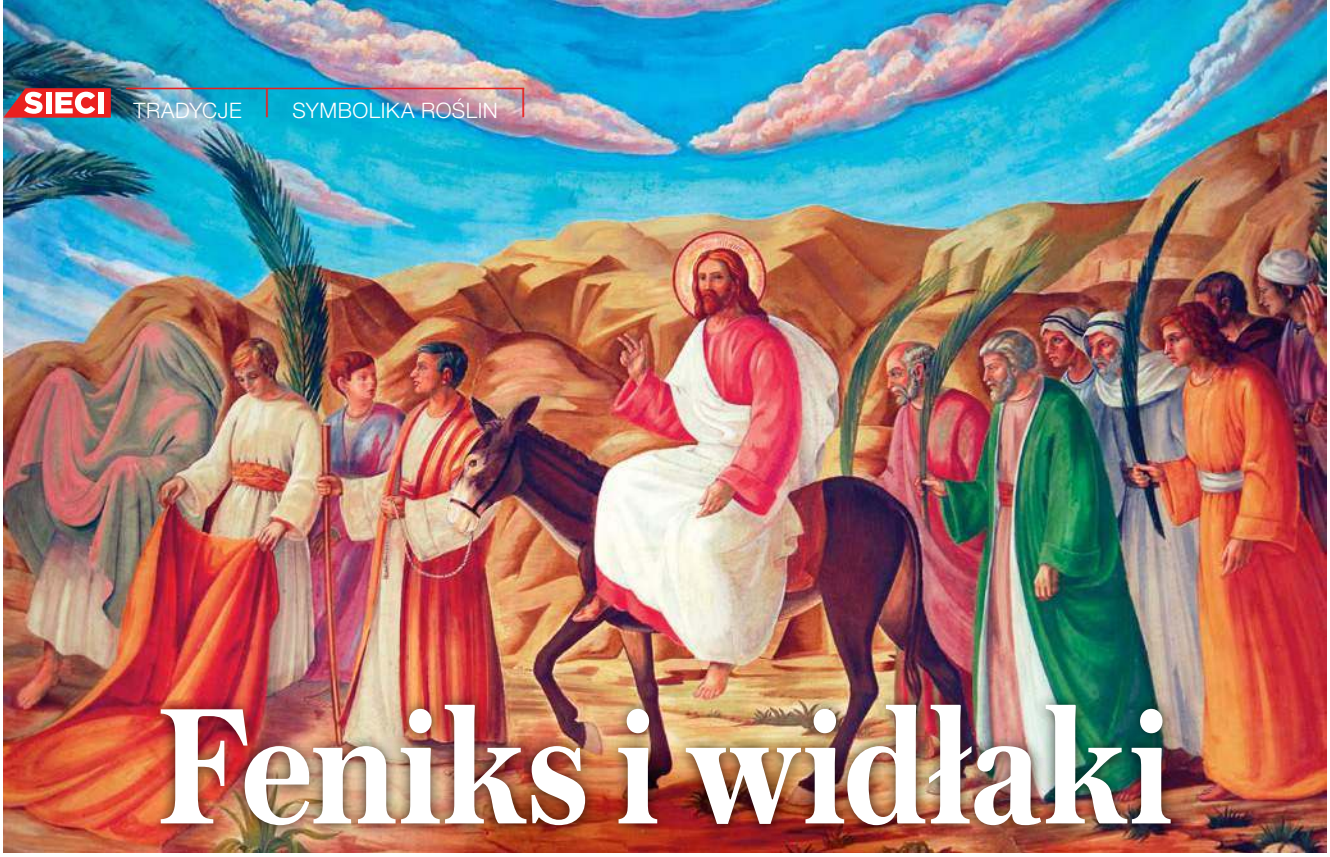
Heroiczna obrona Jasnej Góry zrobiła wrażenie na Szwedach. W nocy z 26 na 27 grudnia 1655 roku Szwedzi odstąpili od oblężenia. Odeszli. Zwyciężyła siła ducha".

„Walczyć o wolność Polski i budować nową Polskę, to znaczy wychowywać siebie i innych" – mówi jedna z bohaterek książki. „Taka Polska – jacy Polacy. Polacy wolni wolnością wewnętrzną – to i Polska wolna... Polacy święci – to i Polska święta".

Na koniec jeszcze jeden cytat – słowa Adolfa Hitlera, jednego z największych zbrodniarzy ludzkości, który unicestwił miliony.

„»Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców, Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób stworzony zastraszający przykład dla całej Europy« – nakazał Adolf Hitler na wieść o wybuchu Powstania Warszawskiego 1 sierpnia 1944 roku. Mieszkańcy stanęli do walki o odzyskanie wolności i godności po pięciu latach okupacji i terroru. Walczyli też o przyszłość. Radziecka Armia Czerwona zajęła już część miasta położoną na prawym brzegu Wisły. Piątego dnia rzezi jeden z dowódców SS martwił się, co robić z cywilami, których więcej zatrzymał, niż posiada amunicji. W ciągu dwóch miesięcy hitlerowcy zabili około dwustu tysięcy ludzi, wygnali milion, miasto obrabowali i spopielili".

Potrzeba miłości, dobra, prawdy i wiary. Wierzę, że każde z tych czterech pragnień inspiruje i po dogłębnym przemyśleniu pomaga nam żyć. Warto się w kolejnych dniach Wielkiejnocy zastanowić: dokąd zmierzamy i dla kogo żyjemy? Życzę również wszystkim czytelnikom tygodnika „Sieci", a także sobie, aby Wielkanoc oświetliła nam wszystkie ślepe zaułki.



Feniks i widłaki

Fot. Shutterstock

W Wielkanocy splatają się losy egzotycznej palmy, nazwanej w starożytności feniksem, oraz niewielkich roślin z polskich lasów i gór – przedstawicieli gromady, która istnieje na ziemi od 400 mln lat



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dwie rzeczywistości, tak bliskie, komplementarne i jednocześnie oddzielone: rzeczywistość zbawienia świata przez Zmartwychwstanie oraz rzeczywistość bogactwa ziemskiego życia spotykają się w jednym szczególnym momencie roku. Wielkanoc łączy te przestrzenie: eschatologiczny wymiar naszej rzeczywistości spotyka się z przyrodniczym fenomenem odrodzenia stworzenia po okresie zimowej zapaści. Zmartwychwstanie, wiosna, życie.

Dlatego myśląc o Wielkanocy, przywołujemy symbole roślinne. Najpierw bazie, wątłe pączki zapowiadające mającą nastąpić eksplozję życia; następnie egzotyczne palmy zaanektowane przez ludową wyobraźnię w formie barwnych bereł i w końcu zieleń roślin obecnych w koszykach, na stołach i w pustym już Grobie. Wielkanoc to wszechobecność roślin!

Pisma Pliniusza Starszego rzucają pewne światło na zagadnienie pradawnej obecności roślin w najważniejszych momentach życia wspólnoty ludzkiej, choć geneza z pewnością sięga głębiej, do tradycji ludów indoeuropejskich. W „Historii naturalnej" Pliniusz pisze o znaczeniu wieńców: „W dawnych czasach dawano wieńce tylko bogom". Czytając te słowa Rzymianina, nie mogę się oprzeć skojarzeniu z wyplataniem przez nasze babcie rosłych palm z gałązek wierzbowych i rosochatych widłaków, przeznaczonych na symboliczne powitanie Jedynego Boga wkraczającego do Jerozolimy.

Wieńce z bluszczu dla triumfatorów, „wieńczenie liśćmi" walecznego Hostusa Hostiliusza przez Romulusa, wieńce z liści dębu jako odznaka męstwa, wieńce dla tych, którzy składają ofiarę... i antywieniec z ciernistej głożyny Ziziphus spina-christi dla Triumfatora, znoszącego obowiązek wszelkiej ofiary poprzez złożenie ofiary z samego siebie, a także palmy słane u Jego stóp w dzień wjazdu do Jerozolimy.

HOSANNA! HOSANNA! HOSANNA!

„Nazajutrz wielki tłum, który przybył na święto, usłyszawszy, że Jezus przybywa do Jerozolimy, wziął gałązki palmowe i wybiegł mu naprzeciw. Wołano: »Hosanna! Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie« oraz »Król Izraela!«" (J 12, 12-13). Tak święty Jan opowiada o ludziach witających Zbawiciela, dających wyraz radości i uwielbienia w najdawniejszy, uświęcony sposób.

Wyróżnienie najwybitniejszych poprzez obdarowanie liśćmi było bowiem największym zaszczytem, zrównującym z najwyższymi dostojnikami i dodającym boskości. Zaszczytem niepotrzebnym oczywiście Jezusowi, bardziej znakiem, którego potrzebowali ludzie; w ten sposób ludność Jerozolimy uznała Go za długo oczekiwanego Króla, a faryzeuszom pozostało tylko trwożne powtarzanie sobie wzajemnie: „Widzicie, że nic nie uzyskacie? Oto świat poszedł za Nim" (J 12, 19).

Przytoczony już Pliniusz Starszy, którego pisma przez wieki były podstawą znajomości starożytności, pisze o zaszczytnych ozdobach z roślin:

„Otrzymany wieniec wolno nosić aż do śmierci. Przy wejściu tak odznaczonego do teatru wszyscy zawsze wedle zwyczaju podnoszą się ze swych miejsc, nawet senatorowie; usiąść taki ma prawo zupełnie blisko przy ławach senatorskich. Jest zwolniony od wszelkich świadczeń, on sam i jego ojciec, i dziadek ze strony ojca".



Przedstawiciel pradawnej gromady – widłak jałowcowaty z polskich lasów – na końcach łodyżek widoczne kłosy zarodnionośne

Fot. Przemysław Barszcz

SYMBOL Z OAZY

Najważniejszą palmą starożytności, zachowującą zresztą do dziś swoje znaczenie jako ta, wokół której koncentruje się życie, jest daktylowiec właściwy Phoenix dactylifera. Odwołanie do mitycznego feniksa, symbolu odrodzenia, nie jest przypadkowe: tam, gdzie na pustyni rosną palmy, tam jest woda i tam są daktyle – czyli to, co wystarczy do przeżycia. Palma utożsamiana była więc z życiem, z wartościami najwyższymi i wielokrotnie jako taka pojawia się w Biblii: „Wywyższyłam się jak palma w Engaddi" (Syr 24, 14), gdzie Mądrość wychwala sama siebie, przyrównując się do życiodajnych daktylowców z pradawnej oazy Engaddi (En Gedi), podzwrotnikowego klejnotu przyrody na Pustyni Judzkiej.

Palmy są botanicznym fenomenem: chociaż przybierają formę drzewiastą i dorastają niekiedy wielkich rozmiarów, nie są drzewami i należą do roślin jednoliściennych, tak jak... trawy.

W naszym, słowiańskim kręgu kulturowym liście palm daktylowych zastąpione zostały przez łodyżki i listki innych roślin, malutkich i niepozornych, lecz nie mniej ciekawych – zarówno jako wielkanocny symbol, jak i z punktu widzenia botaniki.

WIOSENNE OBJAWIENIE

Polska przyroda nie musi się mierzyć z wyzwaniami, jakie niosą z sobą pustynie i jakim przeciwstawiają się palmy w oazach: z brakiem wody, burzami piaskowymi i zabójczym gorącem. Każdego roku, by przetrwać, ludzie, zwierzęta i rośliny w naszej strefie klimatycznej muszą jednak przezwyciężyć inną zabójczą moc: zimę, która śniegiem, mrozem i ciemnością zagraża wszelkiemu życiu. Wszystko więc, co w swojej pozornej kruchości przeciwstawia się tej sile, swoją wyjątkowością budzi ludzką uwagę.

Do tych wyjątków, na drugim biegunie poligonu życia na ziemi, w którym to nie upały, lecz mrozy rzucają najtrudniejsze wyzwanie, należą niewielkie roślinki: widłaki. Mimo niewielkich rozmiarów potrafią stawić czoło śniegom i niskim temperaturom i są zielone przez cały rok; są przy tym zadziwiająco długowieczne.

Niegdyś to właśnie widłaki kształtowały oblicze naszej planety – w czasach, kiedy pierwsze zwierzęta dopiero opuszczały środowisko wodne i długo przed tym, zanim pojawiły się słynne dinozaury, na ziemi rosły już wielkie lepidendrony, należące do tej samej gromady, co rosnące w Polsce widłaki.

Współczesne widłaki są roślinkami niewielkimi, lecz mają w sobie coś, co przykuwało uwagę już naszych przodków. W tym przedwiosennym czasie, kiedy każda oznaka budzącego się życia przyciąga spojrzenie, również ja nie mogłem się oprzeć pokusie pochylenia się nad wyjątkowymi, zielonymi łodyżkami.

W pięknych, łódzkich lasach, które obrałem za cel jednej z moich ostatnich wypraw, pomimo trwającej od początków XIX w. presji przemysłu i niezwykle trudnych warunków, z jakimi przychodzi się mierzyć gospodarującym w nich leśnikom, udało się zachować liczne przyrodnicze osobliwości, wśród których są aż trzy gatunki niezwykłych widłaków. Ich widok był dla mnie wiosennym objawieniem tego roku.

SPOSÓB NA DŁUGOWIECZNOŚĆ

Mimo niepozornych rozmiarów – zależnie od gatunku płożąca się i wijąca po dnie lasu łodyga dorasta około metra długości – widłaki są długowieczne.

Większość roślin tych rozmiarów to organizmy, których cykl życiowy trwa zaledwie jeden sezon. Tymczasem widłaki zdolność do rozmnażania osiągają dopiero w wieku 20, a nawet 25 lat! Wówczas na wzniesionych ponad podłoże pędach wytwarzają się kłosy zarodnionośne, gotowe do rozsiania zarodników. Widłaki rosną przy tym bardzo powoli – zaledwie kilka centymetrów na rok.

Od zarania wieków żywotne, wiecznie zielone widłaki wieszane były w siedzibach ludzkich, jako mające znaczenie magiczne i chroniące przed złymi siłami. Wykorzystywano je także bardziej praktycznie: zarodniki widłaków ratowały niejednokrotnie życie, pomagają bowiem jako zasypka na trudno gojące się rany.

Nawet kiedy dawne zwyczaje odeszły w przeszłość, wczesnowiosenne, rozbłyskające żywą zielenią objawienie, jakim jest widok widłaka w szaroburym jeszcze poszyciu lasu, nadal przyciągał ludzkie spojrzenie. Widłaki zbierano więc do przyozdabiania koszyczków i wielkanocnych palm, przynoszonych w Niedzielę Palmową do kościołów na powitanie Jezusa, tak jak dwa tysiące lat temu liście palm witające Go w Jerozolimie.

Na skutek nadmiernego zrywania widłaki stały się rzadkie. Wolny wzrost i rozwój dodatkowo utrudniał odtwarzanie się ich populacji. Rośliny pochodzące z rodu, który rośnie na ziemi od 400 mln lat, przetrwały na szczęście, i to niezagrożenie. Dziś mało kto już zbiera zielone widłaki do koszyczków i palm, a wszystkie ich gatunki rosnące w Polsce podlegają ochronie prawnej. Dzięki temu te piękne, fascynujące rośliny coraz częściej cieszą swoim widokiem, na nowo wpisując się w symbolikę odradzającego się życia i Zmartwychwstania.



Fot. Shutterstock



Wielkanoc to święto jedzenia. Uczta trwa cały dzień, z przerwami na spacer. Na scenie, jaką jest stół, w roli głównej oczywiście prosiak – i cały, i przerobiony na pasztety, pieczyste czy serdelki – oraz jajo malowane, z najróżniejszymi wzorkami, w kolorowych koszulkach i bez. Ale Oscary przyznawane są również aktorom drugiego planu. A tu bezkonkurencyjne są słodkości. Te najbardziej tradycyjne, czyli puchate, wielkie baby, i te najpiękniejsze – mazurki

Mazurek jak słodki obrazek

O ile zabawa z babą może gospodynię wpędzić w wiosenną depresję, o tyle mazurek jest ciastem stosunkowo mało skomplikowanym, a może wyglądać jak najdroższy obraz. Każdy. Wystarczy się nauczyć piec niespecjalnie trudne kruche ciasto, na które wylewa się rozmaite słodkie masy, albo kupić cienkie andruty i posmarować je kremem krówkowym.

Ideał niedościgniony, nad którym pracuję od lat, to mazurek mojej teściowej. Znam niby wszystkie zasady, ale nigdy nie wyszedł mi tak smaczny jak jej. Dostawaliśmy go od niej w prezencie na święta. Był na stole klejnotem. Zjadaliśmy błyskawicznie i niejako z obowiązku żurki, białe kiełbasy i inne frykasy z mięsa, żeby na zakończenie delektować się tym wybitnym ciastem. Zdradzę państwu przepis – niech państwo sami popróbują.

MAZURKI Z KREMEM BUDYNIOWYM

Kruchy spód to podstawa. Można go potem wykorzystać do wszelkich owocowych placków – szarlotek, śliwkowych, rabarbarowych. Bierzemy 20 dag cukru, 40 dag masła i 60 dag mąki. Cukier waniliowy, szczyptę proszku do pieczenia, sól i dwa jaja. Szybko zagniatamy i twardą, owiniętą folią kulkę wkładamy na godzinę do lodówki. W tym czasie kręcimy krem z budyniu i masła. Teściowa robiła go w dwóch wariantach – na waniliowym układała plastry pomarańczy i zalewała je galaretką, na kakaowy, w którym były kosteczki skórki pomarańczowej, wylewała gorzką czekoladę.

Nigdy nie towarzyszyłam babci Mirce w kuchennym czarowaniu, zawsze przychodziliśmy z pracy na gotowe, ale zdradziła mi kiedyś, że sukces tego ciasta to krem. Puszysty i zawsze wytrawny, robiony wolno i dokładnie, bo każda próba przyspieszenia kończy się zwarzeniem masła. Oczywiście miała rację. Kiedy tylko poszłam na skróty, zaraz były kłopoty i musiałam kręcić budyń z masłem od nowa. Do późnej nocy. Nie ma się więc co spieszyć, bo można dwa razy stracić.

Budyń kupujemy bez cukru (o dziwo, można, mój ulubiony jest doprawiony wanilią burbońską), najlepiej od razu dwa opakowania i gotujemy go zgodnie z przepisem na torebce, a potem studzimy. Musi być twardy, gdy wystygnie. Masło – prawdziwe, pełnotłuste, a nie jakaś mieszanka z olejami roślinnymi – w temperaturze pokojowej zrobi się miękkie i bardzo dobrze, zawczasu trzeba je wyjąć z lodówki, żeby w naturalny sposób nabrało właściwej temperatury. Trzeba o tym pamiętać. Ucieramy masło w makutrze, aż zrobi się puszyste, i powolutku, wciąż mieszając, dodajemy porcjami budyń. Dzielimy krem na pół, do jednej części dosypujemy kakao, a na koniec skórkę, drugą – lekko dosładzamy. Wkładamy do lodówki, żeby obie masy stężały.

Teraz czas na ciasto; dzielimy kulkę na dwie części i wylepiamy szybko dwie płaskie foremki do tarty, a potem pieczemy na złoty kolor. Gdy ciasto wystygnie – nakładamy krem. Na białym układamy plastry pomarańczy i całość zalewamy cieniutko jasną, cytrynową galaretką, na brązowy wylewamy polewę z gorzkiej czekolady. Chłodzimy i czekamy, kiedy będzie można je wreszcie napocząć.

Na takim spodzie wychodzi też najlepsza szarlotka świata. Z własnych, lekko podpieczonych jabłek z odrobiną miodu, wymieszanych ze skórką pomarańczową (muszą być gęste, dobrze odparowane). Nakładamy je na kruchy spód i posypujemy startym na jarzynowej tarce surowym ciastem (trzeba trochę zachować w lodówce na tę okazję). Pieczemy, pudrujemy zwykłym białym cukrem lub cynamonowym. Zachowajcie w portfelu ten przepis – ciasto wychodzi absolutnie wybitne, nie tylko od święta.

NA WAFLU

U mnie rodzinna tradycja, wspierana przez tatę, nakazywała robienie pischingera, mazurka na andrutach. Ma tę zaletę, że wyprodukuje go nawet całkowite beztalencie, wzbudzając podziw wielkanocnych gości. Zasłużony, dodajmy, bo łatwość wykonania nie jest żadną wadą, a smak ma doskonały.

Kiedyś trzeba było na wafle polować w sklepach, teraz są różnej maści, wielkości i kształtu. Szukajcie takich najmniej podprawianych, zwykłych, czystych wafli, najlepiej wielkoformatowych, bo ten mazurek zdecydowanie za szybko znika.

Dawniej w domu przez dwie doby gotowało się mleko z cukrem i masłem na prawdziwy kajmak, teraz można kupić gotowy w puszkach lub słojach. Znalazłam nawet taki bez dodatku konserwantów, za to wzbogacony solą morską. Ma ciekawy smak.

Wafle przekładamy masą krówkową i sklejamy. Jedną warstwę można przesmarować kwaśnym dżemem z czarnej porzeczki – mazurek na tym bardzo zyska, wciąż będzie słodki, ale z ciekawą owocową nutką.

Na koniec to, co lubiłam w dzieciństwie najbardziej. Rozpuszczanie gorzkiej czekolady w kąpieli wodnej (dawniej wkładało się miskę w garnek, teraz mam specjalny rondelek) z odrobiną masła i mleka. Smarowanie nożem i dekorowanie połówkami wyłuskanych migdałów. Świetna zabawa – białe wzory króliczków, bazi, kurczaków na ciemnobrązowym tle. Choć języki nam uciekały, ciasto kroiliśmy w nieduże kostki dopiero w czasie śniadania wielkanocnego. Po pierwszej fali nieokiełznanego obżarstwa zaczynaliśmy tego mazurka oszczędzać, wyliczać kostki, żeby wystarczył na jak najdłużej. Do dziś pamiętam, że dostawałam go jeszcze kilka dni po świętach do szkoły i jadłam wolniutko, żeby poprawić sobie nastrój.



MAZUREK Z DUKLI

Wreszcie najbardziej klasyczny mazurek – znalezisko z książki „Polska na słodko" Wandy Jackowskiej, która zebrała mnóstwo regionalnych przepisów słodkości, także tych świątecznych. Mój jest raczej inspirowany, bo robię kruche ciasto jak teściowa, ale równie pyszny.

Ten placek przygotowujemy z dwóch rodzajów ciasta: kruchego i maślanego, które przekłada się masą serową i dżemem lub, jak ja, konfiturą. Ma kształt prostokąta i wygląda jak kolorowa kartka z najlepszymi życzeniami. Jest cienki, bo klasyczne mazurki układano na grubość palca, więc rzeczywiście przypominały obrazki.

Jak zrobić kruche ciasto, już wiemy. Na maślane ucieramy 5 dag masła, 5 dag cukru, 2 jaja i 5 dag mąki. Masę serową robimy z kubełka twarogu, kilku łyżek budyniu, odrobiny masła, 6 żółtek, które ucieramy z cukrem na kogel-mogel, i bakalii. Pieczemy cienki spód z ciasta kruchego (kawałek odkładamy na ramkę), smarujemy konfiturą lub układamy warstwę masy serowej, albo dajemy i jedno, i drugie, delikatnie rozwałkowujemy ciasto maślane i układamy na serze. Z kruchego robimy wałeczek, a z niego ramkę do słodkiego obrazka. Pieczemy mazurek 20 min w 180 stopniach w prostokątnej, nasmarowanej masłem i obsypanej bułką tartą formie. Gdy ostygnie, polewamy kolorowym lukrem (podbarwionym na przykład kropelką soku z buraka) i ubieramy we wzory z bakalii.

W Dukli robi się jeszcze jedną masę do tego mazurka, makową. Szklankę zmielonego maku trzeba podsmażyć kilka minut z cukrem, miodem, dwoma żółtkami i łyżką masła. Mogą państwo spróbować, choć mnie mak kojarzy się z zupełnie innymi świętami, więc pozostaję przy konfiturze z węgierek, której kilka słoików zaoszczędziłam przez zimę. Inna sprawa, że jeśli Wielkanoc nadejdzie biała, mak będzie w mazurku jak znalazł.

Słodkiego smacznego!

Anna Monicka

SŁODKO-SŁONY

Po świętach

ANNA MONICKA

Gdy skończymy już z tradycyjnymi potrawami świątecznymi, proponuję mały detoks. Taka kuracja przyda się, żeby nieco obkurczyć żołądek. Pomogą w tym owoce i warzywa. I choć na razie nie ma sezonowych, da się znaleźć trochę zieleniny, która ma już smak i zapach. Przekonałam się niedawno, że jeśli dołożymy jeszcze ciut orzechów, najemy się wręcz niewiarygodnie. Weganie też powinni uważać na otyłość.

Na początek ruloniki z cukinii, surowej lub lekko blanszowanej. Kroimy ją wzdłuż w cienkie arkusiki i roladkę nadziewamy twarogiem orzechowym z nerkowców. Orzechy trzeba na noc namoczyć, a potem zmiksować z odrobiną oleju, ewentualnie posolić. Posypać rzeżuchą lub innymi ostrymi kiełkami, na przykład pora lub cebulki. One o tej porze roku dostarczają nam najwięcej witamin. Do tego pesto pietruszkowe, czyli dwie natki zblendowane z dwiema garściami obranych i namoczonych migdałów, doprawione oliwą. Intensywna zieleń tej pysznej papki sprawia, że człowiek natychmiast frunie w myślach do lata.

Danie główne to zapiekanka z amerykańskich słodkich ziemniaków, które o tej porze wyglądają i smakują znacznie lepiej niż nasze bulwy. Bierzemy dwa–trzy i ścieramy na jarzynowej tarce. Mieszamy je z czterema serkami Bieluch, trzema rozgniecionymi ząbkami czosnku i jedną kostką dobrej bryndzy. Na każdy ser bierzemy jajko. Możemy dodać groszek z mrożonki, żółtą fasolkę szparagową, kwiatki brokułów, talarki papryki, żeby zapiekanka miała ładny kolor. Doprawiamy na ostro – może być curry, może być masala. Wylewamy masę na wysmarowaną blachę wysypaną otrębami i posypujemy serem lazur lub bursztyn. Na wierzchu można jeszcze ułożyć paski z pierwszych szparagów. Pieczemy 40 minut, a potem pozwalamy tarcie odpocząć. To ważne, żeby się ustabilizowała.

Jako zupa – barszcz nastawiony w domu na burakach. Obrane warzywa kroimy w talarki, skrapiamy octem jabłkowym, posypujemy solą i pieprzem, dodajemy ziele, listek bobkowy, goździk i zostawiamy na noc. Potem zalewamy wodą i gotujemy kilka godzin na bardzo wolnym ogniu, pilnując, żeby barszcz się nie zabałwanił, bo straci rubinowy kolor. Smak tej klasycznej zupy możemy nieco modyfikować sokiem z wiśni, malin czy porzeczek. Wystarczy kilka kropli, żeby aromat zimy zamienić na wiosenny.

Na deser – owoce miechunki peruwiańskiej. Jej złote jagody wyglądają jak biżuteria. Są kwaskowate, ale można je zamoczyć w miodzie.



Fot. Shutterstock

WINNICA MAZURKA

Święconka w kieliszku

ROBERT MAZUREK

Doradzanie, jakież wina podać na święta, jest upiorne, a Wielkanoc jest pod tym względem najgorsza. Zacznijmy od końca, czyli od deserów. Sporo tu ostatnio było o winach słodkich, więc tylko przypomnę, że to nie tylko **tokaj**, lecz także **porto**, **madera** czy choćby lidlowy **Banyuls Grand Cru 2009**. To tak dobrze załatwia sprawę deseru, że w zasadzie można pominąć ciasta.

Cofając się, dojdziemy do poniedziałkowych obiadów (w samą Wielkanoc nic nie jemy, bo śniadanie po nocnych rezurekcjach jest w południe). I tu podpowiedź zależy od tego, co też u państwa na stole. Zasadniczo – ponieważ to pamiątka Zmartwychwstania Pańskiego – sugerowałbym coś serio. Może regularnie przeze mnie polecane wina z Libanu (**Musar**, **Ksara**, **Kefraya** – że wymienię największych producentów)? A jak nie, to sami państwo wiedzą, co lubią i na co państwa stać.

Ale i tak w Wielkanoc najważniejsze jest śniadanie. Do jaj z majonezem (i nie tylko) poszedłbym w **sherry**. To może być tańsze, zdecydowanie wytrawne **fino** czy **manzanilla**, ale możemy też sięgnąć po jakieś amontillady od Lustau u Mielżyńskiego (poniżej 100 zł, trzeba!). No dobrze, ale co do wędlin? Włosi z Bolonii rzekliby, że oczywiście **lambrusco**, ale choć jestem wielkim fanem tego czerwonego, musującego eliksiru, to wydaje mnie się on nazbyt pospolity. Do śniadania nie może być jednak zbyt ciężko, więc może jakieś urocze gamay z **Beaujolais Villages**? Nie chcemy Francuza? To zapraszam do bratanków. Najlepsza na świecie kadarka to oczywiście **Heimann Kadarka**, jest zabójcza!

Szukają państwo czegoś bardziej uniwersalnego? Jakiś **riesling** z późnego zbioru, półwytrawne **spätlese** widziałbym w towarzystwie pasztetu. A poza tym żadne chrześcijańskie święta nie mogą się obyć bez czegoś z Ziemi Świętej. Mają państwo do wyboru Izrael, Armenię lub Gruzję, wszystkie święte, jak trzeba.



Lustau Escuadrilla Rare Amontillado



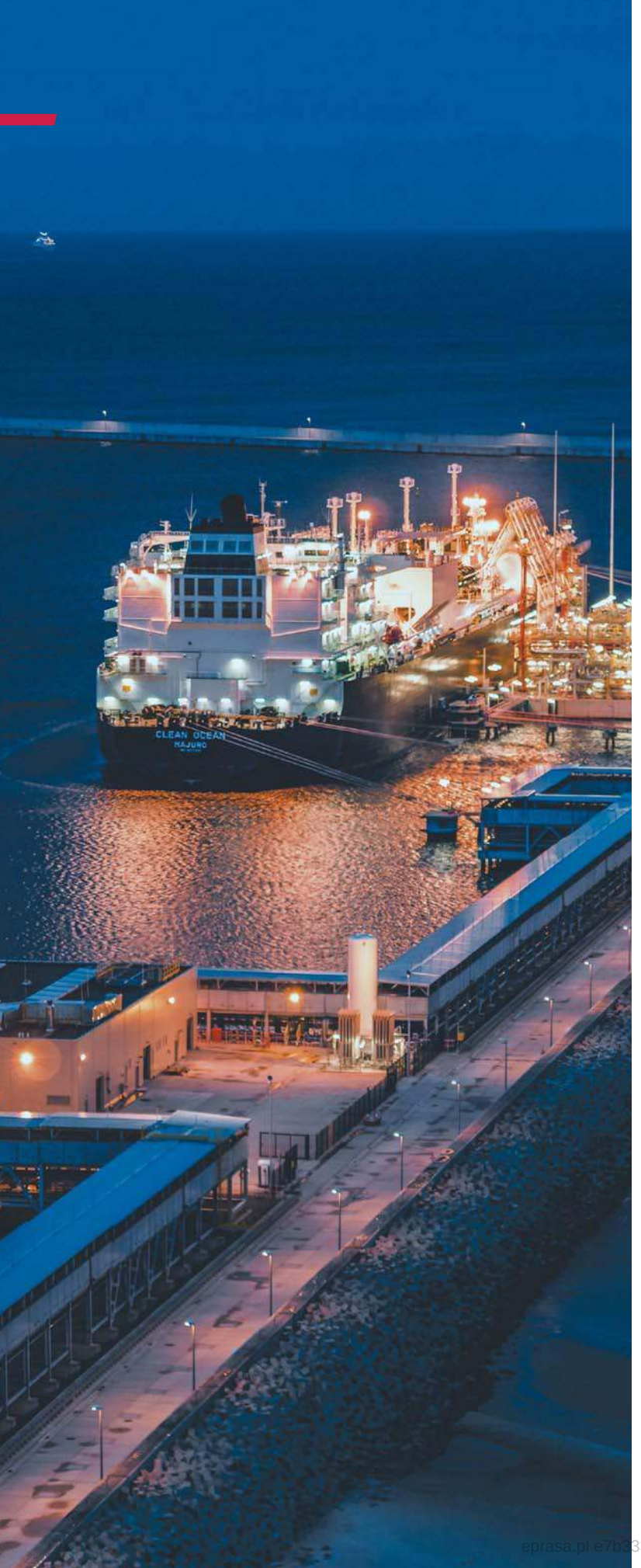
Heimann Kadarka



Nika Saperavi Amor

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

24/0318/F



Bezpieczeństwo

dzięki dywersyfikacji

PGNiG od lat stoi na straży energetycznego bezpieczeństwa Polski. Zapewnienie nieprzerwanych dostaw gazu i ropy odbiorcom indywidualnym oraz przedsiębiorstwom to efekt konsekwentnie realizowanej strategii biznesowej oraz polityki dywersyfikacji źródeł pozyskiwania surowców.

Dzięki koncesjom na eksploatację złóż w Norwegii, projektowi Baltic Pipe, dostawom gazu typu LNG przez gazoport im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu oraz stałemu zwiększaniu zdolności wydobywczej ze złóż krajowych niezmiennie utrzymujemy pozycję lidera na polskim rynku.

PGNiG

eprasa.pl e7b333557f



Fot. Andrzej Wiktor

Smog: jak walczyć, by wygrać?

Walczyć ze smogiem trzeba racjonalnie, unikając emocji, wskazując na zagrożenia, które wiążą się z brudnym powietrzem, pokazując sposoby rozwiązania problemu. A także szukając ekonomicznego wsparcia dla tych, którzy chcą zmienić styl życia na bardziej ekologiczny, ale ich na to nie stać

Redakcja tygodnika „Sieci” zorganizowała debatę z udziałem przedstawicieli środowisk, firm i instytucji, które na co dzień zajmują się problematyką smogu. Walka o czyste powietrze to element ich profesjonalnych zainteresowań, a także część biznesowych strategii. W dyskusji wzięli udział: **Marek Bartczak**, prezes Energa Ciepło Kaliskie Sp. z o.o., **Marek Mielcarek**, ekspert ds. antysmogu w spółce Energa Obrót SA, **Bartłomiej Buczek**, członek zarządu, dyrektor ds. przewozów PKP Szybkiej Kolei Miejskiej w Trójmieście Sp. z o.o.; **dr Grzegorz Rosłonek**, dyrektor Centralnego Laboratorium Pomiarowo-Badawczego PGNiG SA; **dr inż. Krystian Szczepański**, dyrektor Instytutu Ochrony Środowiska, oraz **Anna Żyła**, Główny Ekolog Banku Ochrony Środowiska SA.

W MIEŚCIE BEZ SAMOCHODU

Co robić, by ograniczyć zjawisko smogu? – W działaniach antysmogowych potrzebna jest kompleksowość. Po pierwsze, poprawa efektywności energetycznej poprzez kompleksową termomodernizację budynków, co bezpośrednio zmniejszy zapotrzebowanie na energię nawet o 60–70 proc., ograniczy zużycie paliwa i w rezultacie zmniejszy emisję zanieczyszczeń. Po drugie, zastosowanie nowoczesnych technologii spalania paliw stałych w piecach spełniających najwyższe normy emisyjne, tzw. piece klasy piątej, które charakteryzują się większą sprawnością, czyli lepiej wykorzystują energię zawartą w paliwie i ograniczają emisję zanieczyszczeń nawet o 90 proc. Po trzecie, zadbanie o odpowiednią jakość i przygotowanie paliwa. Mam na myśli określenie parametrów zawartości substancji np. siarki w przypadku węgla czy sezonowanie biomasy, gdy wykorzystujemy np. drewno kawałkowe do ogrze-

eprasa.pl e7b333557f

wania naszych domów. Rząd prowadzi działania właśnie w tych wymienionych obszarach, co znajduje odzwierciedlenie w regulacjach prawnych i programach pomocowych – mówił **Krystian Szczepański**.

Według niego wpływ przemysłu na powstawanie smogu jest stosunkowo niewielki, wynosi najwyżej 8–10 proc., w Warszawie to ok. 3 proc.

Marek Mielcarek mówił, że problem smogu wiąże się również z brakiem odpowiednich przestrzeni w miastach, dzięki którym mogą być one przewietrzane. Według niego każdy transport niskoemisyjny jest dobrym rozwiązaniem w walce ze smogiem. – Oprócz dostępnych dziś tramwajów czy szybkiej kolei miejskiej należy stawiać na rozwój autobusów i samochodów osobowych z napędem elektrycznym. Dobrym pomysłem jest także oparty o transport niskoemisyjny carsharing. Szacuje się, że w 2025 r. cena samochodu elektrycznego zrówna się z ceną auta spalinowego, a połowa dostępnych modeli aut na świecie będzie elektryczna – powiedział **Marek Mielcarek**.

Bartłomiej Buczek mówił o rosnącej popularności parkingów typu „park & ride". – Każda formuła, według której nie trzeba będzie wjeżdżać do centrum miasta samochodami, jest dobra. Środkami publicznymi dojedzie się na miejsce na czas i szybko, autem nie zawsze jest to zagwarantowane. Emisyjność przeciętnego samochodu osobowego liczona w gramach CO_2 na przewiezienie 1 pasażera na odległość 1 km to 141 gr, a kolei elektrycznej – 60 gr. Dlatego rozwiązaniem przyszłości jest sprawnie działający transport publiczny, którego oś stanowi system komunikacji kolejowej – wyjaśniał **Bartłomiej Buczek**.

UBÓSTWO ENERGETYCZNE

– Musimy zacząć od termomodernizacji – mówiła **Anna Żyła**. Dla właścicieli domów wiąże się ona z dużym wydatkiem, ma on jednak głęboki sens. – Jeżeli najpierw dokonamy termomodernizacji, a potem dostosujemy źródło ogrzewania, unikniemy nadmiernego spalania. Wsparciem dla realizacji są dostępne od wielu lat w naszym banku kredyty preferencyjne na przedsięwzięcia termomodernizacyjne oraz wymianę i modernizację systemów grzewczych. Z drugiej strony nie każdego stać na kredyt. To problem tzw. ubóstwa energetycznego, naprzeciw któremu wychodzi program rządowy, przewidujący wprowadzenie mechanizmów wsparcia ze środków publicznych. W przypadku wszelkich programów działaniom na rzecz mieszkańców powinno towarzyszyć wsparcie doradców energetycznych, którzy byliby w stanie pomóc w prawidłowym wyborze i wykonaniu inwestycji. Programy są dostępne od lat, natomiast ważne jest to, by były realizowane bardziej systemowo: zaczynając od dociepleń, a następnie wprowadzając wymianę czy modernizację systemów grzewczych – tłumaczyła **Anna Żyła**.

– Ciepłownictwo jest efektywnym narzędziem w walce z emisją szkodliwych zanieczyszczeń. Barierą w walce ze smogiem jest jednakże ekonomia, skuteczne zachęcenie mieszkańców do przejścia na ogrzewanie ekologiczne – mówił **Marek Bartczak**, prezes Energa Ciepło Kaliskie Sp. z o.o. – W Kaliszu miasto dopłaca 5 tys. zł mieszkańcom za to, by zdemontowali piece, a my dostarczamy ciepło systemowe. Ta zima jest pierwszą, kiedy zaczynamy odczuwać pozytywne skutki tej oferty. Udało się przeskoczyć barierę ekonomiczną, zainteresowanie właścicieli kamienic przerosło nasze oczekiwania. Ekonomiczna pomoc dla mieszkańców jest niezbędna. Walka ze smogiem będzie walką z wiatrakami, jeżeli nie pokona się społecznej bariery.

Anna Żyła podkreśliła, że samorząd powinien inspirować działania antysmogowe, jednocześnie nie może zapominać o wspieraniu najuboższych mieszkańców. – Gama dostępnych rozwiązań jest naprawdę duża. Bardziej zamożnej części społeczeństwa, którą stać na rozwiązania najnowocześniejsze, można zaproponować nie tylko termomodernizację, lecz także mikroinstalacje odnawialnych źródeł energii, takie jak pompy ciepła czy ogniwa fotowoltaiczne. Część osób podejmuje takie działania i widzi korzyści. Osoby mniej zamożne trzeba wspierać innymi rozwiązaniami, a jednocześnie edukować, wskazując, jak ważny jest rodzaj paliwa, które stosujemy we własnym domu – wyjaśniała **Anna Żyła**.

GAZ I PRĄD

Paliwem bardziej korzystnym od węgla – którego nie należy jednak demonizować, co podkreślano podczas dyskusji – jest gaz. – Gaz ziemny jest korzystny dla środowiska i dla odbiorcy, nie emituje cząstek stałych – mówił **Grzegorz Rosłonek**. Sieć dystrybucyjna gazu w Polsce jest bardzo duża, liczy ok. 190 tys. km, ciągle się powiększa, jednak nie dociera wszędzie. – Rozwiązaniem jest tworzenie sieci lokalnych. Z założenia powinny się one rozrastać do coraz większych sieci i z czasem łączyć z sieciami otwartymi. Jak zasilać sieci lokalne? Rozwiązaniem jest skroplony gaz ziemny LNG, który możemy przewozić w dowolne miejsce w kraju – tłumaczył **Grzegorz Rosłonek**. Do tej pory brano pod uwagę odbiorców zainteresowanych co najmniej cysterną LNG, ale dzisiaj odbiorca może być zainteresowany mniejszą partią gazu. – Świetnie wpisuje się to w nasze pomysły związane z nowoczesnym opomiarowaniem zużycia gazu LNG, z pomiarami ilości i jego jakości – mówił **Grzegorz Rosłonek**.

Dyrektor Centralnego Laboratorium Pomiarowo-Badawczego PGNiG SA poruszył również temat pojazdów napędzanych gazem, m.in. autobusów miejskich. – Może być to CNG, czyli sprężony gaz ziemny, lub LNG. Po drugiej stronie musi być jednak flota, a to leży w gestii samorządów – powiedział.

Według **Marka Mielcarka** energia elektryczna w miejscu pobierania wykazuje zerową emisyjność, dlatego korzystanie z niej do ogrzewania w znaczny sposób ogranicza powstawanie smogu. Wśród dostępnych systemów grzewczych można wskazać np. piece akumulacyjne, które nie potrzebują żadnej instalacji wodnej; są one dobrym rozwiązaniem dla starych kamienic, do których można po prostu je wstawić. W nowych inwestycjach można wykorzystać pompy ciepła chrakteryzujące się wysoką sprawnością i bardzo niskim kosztem eksploatacji. Dla promowania tego typu rozwiązań Grupa Energa wprowadziła nie tylko oferty oparte

eprasa.pl e7b333557f

o tzw. taryfę antysmogową. Energa wspiera też inwestycje nastawione na ekologiczne ogrzewanie domu, oferując klientom 20-procentowe zniżki na zakup urządzeń, sięgające 5 tys. zł. – Realizacja inwestycji antysmogowych wymaga wsparcia przez samorządy. Ważne jest, aby nie ograniczało się to jedynie do zapewnienia środków, lecz obejmowało także ich realizację. Ograniczenie się przez gminy do dystrybucji środków w przypadku systemów solarnych spowodowało, że część instalacji była przewymiarowana – mówił Marek Mielcarek.

SKĄD WZIĄĆ ENERGIĘ?

Na elektromobilność należy spojrzeć również pod kątem systemu elektroenergetycznego w naszym kraju. – Skąd wziąć dodatkową energię, według szacunków od 2 do 5 tys. GWh, na rozwój elektromobilności? Kraj się rozwija, co roku o 1,5–2 proc. zwiększa się nasze zapotrzebowanie na energię elektryczną. Do tego dochodzi jeden aspekt – europejski system handlu uprawnieniami do emisji. Energetyka obecnie musi kupić uprawnienia do emisji CO_2 i jeżeli zwiększy się produkcja energii, to zwiększy się emisja gazów cieplarnianych, za co będziemy musieli dodatkowo zapłacić. Jednym z rozwiązań jest energetyka rozproszona, wykorzystująca lokalne, regionalne zasoby energetyczne, co znacznie poprawi pracę całego systemu – wyjaśniał **Krystian Szczepański**.

– Energetyka rozproszona to przyszłość, ogrzewanie dopasowane do tego, co w danym miejscu ma sens – gaz, pompa ciepła, wspomaganie fotowoltaiką. Inaczej powinniśmy działać w Warszawie, inaczej w małej miejscowości – tłumaczyła **Anna Żyła**.

– Jeżeli mówimy o najbardziej ekologicznym źródle ciepła, czyli o prądzie elektrycznym, to w warunkach polskich mówimy o węglu, który jest wykorzystywany w elektrowniach oraz elektrociepłowniach – tłumaczył **Marek Bartczak**. – Energetyka nie jest znaczącym emitentem gazów i pyłów zanieczyszczających powietrze. Nowoczesne instalacje stosowane w Grupie Energa wyłapują zdecydowaną większość szkodliwych substancji pojawiających się jako efekt spalenia węgla. Instalowane są filtry, systemy odsiarczania i odazotowania spalin. Systematycznie dostosowuje się obiekty uczestniczące w emisji wysokiej do obowiązujących wymagań środowiskowych. Wykorzystuje się środowiskowo neutralne paliwa i modernizuje techniki oczyszczania spalin.

> Ciepłownictwo jest efektywnym narzędziem w walce z emisją szkodliwych zanieczyszczeń. Barierą w walce ze smogiem jest jednak ekonomia

Na ile działania proekologiczne są skuteczne, skoro samochodów w rodzinach przybywa, i nawet darmowy transport w niektórych miastach nie zmniejsza ich liczby? – To kwestia wyrobienia pewnych nawyków komunikacyjnych – mówił **Bartłomiej Buczek**. Świadomość obywatelska bardzo wzrosła na przełomie ostatnich lat, jednak potrzebne są różnego rodzaju rozwiązania zachęcające. Na przykład w Kanadzie na autostradowych obwodnicach prawo poruszania się lewym, szybszym pasem mają wyłącznie samochody osobowe, w których jadą przynajmniej dwie osoby. – Jeżeli na lewy pas wjedzie auto tylko z kierowcą, popełnia wykroczenie drogowe, które jest karane. Premią za podzielenie się samochodem jest to, że kierowca może jechać szybciej – powiedział **Bartłomiej Buczek**. Największą szansę w walce ze smogiem w miastach widzi w transporcie publicznym, który powinien mieć bezwzględny priorytet przy kształtowaniu przestrzeni publicznej. Rdzeniem takiego systemu transportu publicznego powinna być kolej aglomeracyjna, pozostałe gałęzie powinny pozostawać komplementarne względem niej.

EDUKACJA OPARTA NA FAKTACH

Podczas dyskusji wielokrotnie pojawiał się wątek edukacji w walce ze smogiem. Według **Grzegorza Rosłonka** ma ona znaczenie fundamentalne, przede wszystkim w przypadku dzieci i młodzieży, w której to grupie wiekowej PGNiG prowadzi liczne przedsięwzięcia ekologiczne, np. konkursy szkolne. **Anna Żyła** wskazywała, że kampanie informacyjne powinny być mniej emocjonalne, a bardziej oparte na faktach, wspierające rozwiązania, które samorząd uważa za optymalne. – Lokalnie rola samorządów jest nie do przecenienia. Ważna jest ich współpraca z niezależnymi organizacjami pozarządowymi – uzasadniała.

– Polityka informacyjna powinna być elementem społecznej odpowiedzialności biznesu, CSR – powiedział **Bartłomiej Buczek**. – Edukujmy dzieci. Natomiast w przypadku dorosłych liczą się przede wszystkim bodźce ekonomiczne zachęcające do zmiany zachowania – mówił **Krystian Szczepański**.

Marek Mielcarek przypomniał o akcji „Oddycham z energią”, prowadzonej przez Energę, której celem jest zaangażowanie jak największej liczby Polaków w działania poprawiające jakość powietrza. Wspomniał też o zakładanych w ramach programu inicjatywach dla seniorów i dzieci, tj. „Ogrodach życia”, czyli o warsztatach skierowanych do wybranych szkół województwa pomorskiego, oraz o Gminnych Dniach Seniora.

Według **Marka Bartczaka** z kolei smog jest medialnie i społecznie tematem bardzo nośnym, a w wyborach municypalnych, które odbędą się w listopadzie tego roku, walka z nim będzie po raz pierwszy w historii jednym z głównych tematów.

Oprac. SK

PARTNERZY DEBATY Energa PGNiG PKP

44/0318/F

eprasa.pl e7b333557f

PGE Polska Grupa Energetyczna



PGE w trosce o czyste powietrze

W ofercie antysmogowej cena za zużycie energii w nocy niższa nawet o **65 proc.**

gkpge.pl

eprasa.pl e7b333557f



Fot. Shutterstock

Czas na 5G

Parametry, którymi będą się charakteryzować sieci 5G, umożliwią wprowadzenie na rynek wielu nowych usług i poprawę jakości tych oferowanych już dzisiaj. Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju, podczas tegorocznego Mobile World Congress w Barcelonie mówił, że dzięki sieciom nowej generacji PKB Polski w najbliższych latach może się zwiększyć nawet o 22 proc.

Start pierwszych sieci 5G jest coraz bliżej – to już nie tylko koncepcja, o której się mówi, lecz nabierająca coraz wyraźniejszych kształtów rzeczywistość, w której będziemy wkrótce żyć.

Widoczne to było podczas niedawnego World Mobile Congress w Barcelonie, gdzie producenci prezentowali prototypy urządzeń i rozwiązań dla sieci nowej generacji. GSMA, organizacja reprezentująca branżę mobilną, w opublikowanym podczas tej imprezy raporcie podkreśliła, że migracja klientów operatorów komórkowych do sieci 4G i 5G będzie dominującym czynnikiem w nadchodzących latach. Firma Ericsson natomiast w opublikowanym w listopadzie ub.r. raporcie prognozuje, że w 2023 r. na świecie będzie już miliard użytkowników sieci 5G. Oznacza to, że w zasięgu takich sieci będzie ok. 20 proc. mieszkańców naszej planety. Pierwsze komercyjne sieci 5G New Radio (NR) powinny zacząć działać w 2019 r., a główne wdrożenia zaczną się rok później.

Co ważne, na finiszu są prace zmierzające do przyjęcia standardu 5G, określającego metody komunikacji między urządzeniami, które będą się składać na sieć mobilną kolejnej generacji, począwszy od urządzeń klienckich (np. smartfonów, czujników), poprzez anteny i inne urządzenia wchodzące w skład stacji bazowych, na sieci szkieletowej kończąc.

SZYBCIEJ, EFEKTYWNIEJ, A OPÓŹNIENIA MINIMALNE

Jednak już dziś wiadomo, że w porównaniu z LTE sieci 5G powinny osiągnąć znacznie wyższą przepustowość, 10-krotnie lepszą wydajność widma, efektywność energetyczną i szybkość transmisji danych na poziomie 10 Gb/s oraz charakteryzować się opóźnieniami na bardzo niskim poziomie, nawet poniżej milisekundy.

> Firma Ericsson prognozuje, że w 2023 r. na świecie będzie już miliard użytkowników sieci 5G

Pozwoli to na wprowadzenie na rynek nowych usług, np. wykorzystywanie możliwości autonomicznych samochodów. Dzięki połączeniu sztucznej inteligencji i technologii 5G autonomiczne auta będą wybierać najefektywniejsze trasy, płynnie przyspieszać, mniej hamować i jeździć w ścisłych formacjach, by uzyskać kilkudziesięcioprocentowe oszczędności energii.

Technologia 5G przyspieszy też rozwój Internetu Rzeczy czy Przemysłu 4.0. Możliwe stanie się wykorzystanie do komunikacji w czasie rzeczywistym sieci czujników, które będą zbierać, przetwarzać i analizować dane o każdej pracującej maszynie, co pozwoli optymalnie planować procesy produkcyjne.

Wraz z upowszechnieniem się 5G producenci będą dostosowywać swoje produkty i wyposażać je w coraz większym zakresie w dedykowane czipy. Dzięki temu powstanie nowa generacja inteligentnych sprzętów, które oprócz dwustronnej komunikacji (machine to machine – M2M) będą w stanie analizować i optymalizować czynności, a nawet podejmować za nas decyzje. Urządzenia będzie można zamontować wszędzie tam, gdzie będziemy tego potrzebować, a dzięki minimalnemu poborowi mocy potrzeba ich ładowania będzie rzadsza niż obecnie.

„Przemysł będzie największym odbiorcą 5G. Jeżeli mówimy o automatyzacji, o robotyzacji, również o ich wykorzystaniu w obronności, to właśnie dzięki tej technologii" – ocenił Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju, podczas sympozjum „Niepodległość cyfrowa. Polska myśl technologiczna, czyli od pomysłu do sukcesu",

eprasa.pl e7b333557f

które odbyło się na początku marca tego roku w Toruniu.

OPERATORZY MAJĄ PLAN NA 5G

W Polsce operatorzy już podejmują pierwsze przygotowania do testów i wdrażania sieci nowej generacji.

„5G to szybsza sieć mobilna, minimalne opóźnienia, możliwość wydzielenia warstw sieci na konkretne potrzeby klientów biznesowych. Dlatego już teraz przygotowujemy się do wdrożenia tej technologii. Intensywnie rozbudowujemy sieć światłowodową, która będzie zapleczem niezbędnym do dobrego funkcjonowania sieci mobilnej nowej generacji i Internetu Rzeczy. Współpracujemy też z dostawcami sprzętu i technologii, by w roku 2020–2021 móc zaoferować polskim klientom usługi oparte na sieci 5G" – mówił Jean-François Fallacher, prezes Orange Polska, ogłaszając w marcu br. plany wdrożenia tej technologii w naszym kraju.

Orange Polska planuje przeprowadzanie pierwszych testów sieci 5G w 2019 r., po czym zamierza przejść do fazy wdrożeń w latach 2020–2021. Program operatora zakłada prace w obszarach architektury sieci, bezpieczeństwa, standardów, zarządzania pasmem radiowym, a także współpracy z innymi operatorami i dialog z regulatorem rynku. W planach są również testy oraz współpraca z dostawcami urządzeń klienckich.

Jean-François Fallacher zastrzegł jednak, że aby to było realne, operatorzy muszą mieć dostęp do odpowiednich zasobów częstotliwości. Szczególnie do pasm 3,4–3,8 GHz, które w krótkim czasie mogą być przeznaczone do budowy sieci nowej generacji, ale dziś ten zasób jest mocno rozproszony na różne podmioty ogólnokrajowe i regionalne (m.in. samorządy, stowarzyszenia, przedsiębiorców). W sumie dziś koncesje na dysponowanie częstotliwościami z zakresu 3,4–3,8 GHz ma ponad 100 podmiotów, jednak według szacunków Orange Polska w ok. 90 proc. przypadków częstotliwości te nie są wykorzystywane.

Marcin Cichy, prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej, wcześniej zapowiadał, że regulator przewiduje dla sieci 5G w Polsce takie pasma jak: 700 MHz, 3,6–3,8 GHz czy 26 GHz. Jednak np. w przypadku tej pierwszej częstotliwości wymaga to uzgodnień choćby z Rosją, która wykorzystuje to pasmo do innych celów, i bez porozumienia nie będzie możliwości wykorzystywania go, by nie powodować zakłóceń.

Korzyści, których można oczekiwać po pełnym wdrożeniu rozwiązań 5G

- *Szybkość transmisji sięgająca 20 Gb/s w łączu w dół i 10 Gb/s w łączu w górę w przypadku wykorzystania pasma EHF (ang. Extremely High Frequency).*
- *Szybkość transmisji rzędu dziesiątków Mb/s przypadająca na dziesiątki tysięcy użytkowników.*
- *Szybkość transmisji danych rzędu 100 Mb/s dla obszarów metropolitalnych.*
- *Szybkość transmisji rzędu 1 Gb/s dla każdego pracownika na tym samym piętrze biura.*
- *Większa pojemność sieci – do 10 tys. razy większa niż obecnie (a w warunkach laboratoryjnych nawet 30 tys. razy większa).*
- *Nawet 1000-krotny wzrost wolumenu danych przypadających na jednostkowy obszar geograficzny, osiągający wartość docelową rzędu 10 Mb/s/m² (w przypadku hot spota w warunkach wewnątrzbudynkowych).*
- *Możliwość obsługi kilkuset tysięcy jednoczesnych połączeń czujników bezprzewodowych.*
- *Wydajność widmowa znacznie zwiększona w porównaniu z 4G (szczytowe wartości tego parametru to 30 bit/s/Hz w łączu w dół oraz 15 bit/s/Hz w łączu w górę).*
- *Zwiększony zasięg.*
- *Ulepszona efektywność sygnalizacji (signaling efficiency).*
- *Czas opóźnienia (latency) znacznie zmniejszony w porównaniu z LTE (nawet do 1 ms).*
- *Maksymalna mobilność: 500 km/h.*

Źródło: Strategia 5G dla Polski

Kolejną kwestią są koszty uruchomienia sieci 5G. Jean-François Fallacher mówi, że po stronie operatorów będą one znaczne, choć dziś trudno jeszcze oszacować ich wysokość.

ROLA PAŃSTWA

Marcin Cichy w swych ostatnich publicznych wypowiedziach, np. podczas Forum Gospodarczego Time w marcu, podkreślił, że operatorzy na pewno będą musieli wyłożyć pieniądze na zakup pasma radiowego i rozwój sieci. Zasugerował jednak też, że być może warto rozważyć, czy i w jakim zakresie środki publiczne mogą zasilić rozwój 5G, np. poprzez fundusze unijne – jeśli nie z obecnej, to z kolejnej perspektywy finansowej. Rolę państwa widzi natomiast głównie w zmianie przepisów w obszarze gospodarki widmem radiowym czy w liberalizacji norm określających dopuszczalne poziomy pól elektromagnetycznych w środowisku, które w Polsce są bardziej restrykcyjne niż w większości krajów UE.

Rząd nie unika zaangażowania się w rozwój 5G. „Polski rząd nie tylko intensywnie rozbudowuje sieć szerokopasmowego internetu, lecz również chce się aktywnie włączać w rozwój infrastruktury 5G, czyli zintegrowanej komunikacji wielokanałowej, której pilotaż niedługo rozpocznie się w Łodzi, oraz dołączyć do przemysłowych inicjatyw standaryzacyjnych, które dziś obejmują Niemcy, Francję i Włochy" – mówiła podczas konferencji Time Jadwiga Emilewicz, minister przedsiębiorczości i technologii.

Warto w tym kontekście przypomnieć, że rządowa Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju mocno akcentuje, iż Przemysł 4.0 to rozwiązania realizowane wyłącznie za pomocą zaawansowanych technik mobilnych. Wymienione w niej w tym kontekście działania to najczęściej usługi opierające się na Internecie Rzeczy (Internet of Things – IoT), polegające na komunikacji wielu urządzeń i maszyn między sobą i przekazywaniu informacji zbieranych za pomocą specjalnych czujników. Aby zaś można to było urzeczywistnić, sieci 5G są niezbędne.

eprasa.pl e7b333557f



Cieplej między Warszawą a Londynem

W Londynie spadł śnieg. Ta anomalia na tyle zaskoczyła Brytyjczyków, że zimny front nazwany Beast from the East nie schodził z czołówki „Evening Standard" przez kilka kolejnych dni. Choć wizyta kilkudziesięciu największych polskich spółek giełdowych w londyńskim City na pierwszą stronę nie trafiła, z pewnością była ważnym wydarzeniem dla inwestorów

Dzięki inicjatywie PKO Banku Polskiego mieliśmy szansę wysłać na Wyspy wyraźny sygnał, że w Warszawie powstaje silne centrum kapitałowe dla Europy Środkowo-Wschodniej. I liczymy na wyraźne ocieplenie kontaktów gospodarczych

Konferencja CEE Capital Markets to trzy dni intensywnych spotkań i rozmów z inwestorami. W prestiżowym hotelu Langham, kilka kroków od polskiej ambasady prezesi i przedstawiciele spółek, domów maklerskich i instytucji kapitałowych, a także warszawskiej giełdy mieli okazję zaprezentować i zareklamować polski rynek finansowy. Nie tylko, bo rozmowy dotyczyły też kondycji polskiej gospodarki i pozwoliły w bezpośrednich prezentacjach odczarować wiele nieprawdziwych mitów.

„Od dwóch lat zapraszamy na konferencję także firmy z regionu Europy Środowej i Wschodniej. To dla PKO BP naturalna działalność" – mówił w Londynie Zbigniew Jagiełło, prezes PKO BP. „Dom Maklerski PKO BP został wyróżniony na polskim parkiecie tytułem Broker of The Year, więc to naturalne, że lider rynku organizuje takie spotkania. Przed nami organizowali je inwestorzy zagraniczni, choćby Morgan Stanley, Barclays, JP Morgan... dziś polskie spółki, chcące skorzystać z podniesienia kapitału, emisji długu podporządkowanego czy wyemitować akcje, korzystają z naszego bezpośredniego wsparcia. To do nas zwracają się też inwestorzy zagraniczni zainteresowani polskimi akcjami. Ostatecznie z roku na roku PKO BP ma coraz lepsze wyniki finansowe" – mówił prezes Jagiełło.

DOBRE WYNIKI GOSPODARKI

Wyniki finansowe były, co naturalne, głównym tematem spotkań. Głównie wyniki całej polskiej gospodarki, a te warte są prezentacji w centrach kapitałowych na całym świecie. W pierwszym dniu CEE Capital Markets Conference opublikowano informację o wzroście prognoz Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) polskiego PKB do 4,2 proc. w 2018 r. i 3,7 proc. w 2019 r. Jeszcze w ub.r. OECD spodziewała się, że wzrost PKB Polski wyniesie w tym roku 3,5 proc. W tym samym raporcie organizacja wskazała, że aby utrzymać wzrost poziomu życia, Polska powinna rozwinąć zdolność innowacji, a także zwiększyć inwestycje w umiejętności i infrastrukturę.

Obecny na konferencji minister rozwoju Jerzy Kwieciński odniósł się właśnie do takich inwestycji.

„Wspólnym mianownikiem tegorocznej konferencji są innowacje, których potrzebujemy właściwie wszędzie. Tu olbrzymią rolę może odgrywać rynek kapitałowy. Ale nie tylko dla dużych podmiotów, lecz przede wszystkim dla średnich firm; nie tylko naszych krajowych, lecz i zagranicznych. Mamy prawie 500 podmiotów na warszawskiej giełdzie i ten rynek musi rosnąć, również pod względem obrotów" – podkreślił minister Kwieciński. „W Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju stawiamy na rozwój polskiego kapitału, którego źródłem muszą być oszczędności. Te muszą znaleźć swoje ujście nie tylko na lokatach w bankach. Takim narzędziem będą Pracownicze Plany Kapitałowe. Uruchamiamy też wiele nowych inwestycji, które potrzebują finansowania. Mam na myśli nie tylko inwestycje infrastrukturalne, drogowe i kolejowe, lecz też program Mieszkanie+, z którym ruszamy z kopyta, a nad którym premier Morawiecki ma osobisty nadzór. Przygotowujemy także nowe programy na najbliższe lata – choćby program odbudowy żeglugi śródlądowej w Polsce".

CHWALIMY SIĘ

O co pytają inwestorzy z Londynu? O naszą gospodarkę. Olbrzymie zna-

eprasa.pl e7b333557f

czenie mają prognozy wzrostu gospodarczego polskiej gospodarki i jej stabilność, kwestie związane z zadłużeniem, deficytem budżetowym.

„A tu mamy bardzo dobre wiadomości. Największy wzrost wśród dużych gospodarek europejskich, finanse w ryzach, deficyt budżetowy w ubiegłym roku dwa razy niższy od prognozowanego, spada zadłużenie, także za granicą" – informował minister Kwieciński. „Najważniejszym wyzwaniem pozostaje wciąż poziom nakładów na innowacje. Przekroczyliśmy 1 proc. wydatków na B+R, ale to wciąż za mało. Rząd musi ściśle współpracować z gospodarką, z małymi i średnimi firmami, i właśnie... z rynkiem finansowym".

Uczestnicy rozmów, przedstawiciele takich spółek jak Alior Bank, CCC, KGHM Polska Miedź, LOTOS, PGE, PGNiG, PKN Orlen, JSW, PZU czy Energa, Orange Polska, ale także MOL, Magyar Telekom czy Wizz Air podkreślali bardzo dobre wyniki spółek notowanych na GPW. Choć dziennikarze dopytywali też, czy rozgrzewająca emocje nad Wisłą sprawa ustawy o IPN pojawia się w rozmowach z inwestorami w Londynie. „Nie słyszałem, żeby ktokolwiek pytał o taką firmę jak IPN, bo nie słyszałem o takiej firmie notowanej na warszawskiej giełdzie" – skwitował pytanie prezes Jagiełło.

PPK ZBUDUJĄ RYNEK

Paweł Borys przyjeżdżał do Londynu jeszcze jako menedżer PKO BP. Dziś, jako prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, miał możliwość prezentować Program Budowy Kapitału i ofertę PFR.

„Rozmawiamy o Pracowniczych Planach Kapitałowych z Brytyjczykami, którzy wprowadzili analogiczny system kapitałowy kilka lat temu. Z sukcesem. Inwestorzy widzą, że PPK, poza oczywistym walorem społecznym, mogą się stać dźwignią dla polskiego rynku kapitałowego i drogą do stworzenia w Polsce prężnego centrum finansowego dla Europy Środkowo-Wschodniej. A to przyciąga inwestorów" – mówił Paweł Borys. „Rozmawiamy też o potencjalnej współpracy w finansowaniu dużych projektów infrastrukturalnych. Warto również zwrócić uwagę na fakt, że działamy w środowisku niezwykle niskich stóp procentowych w Europie i USA. To naturalne, że inwestorzy szukają aktywów wyżej oprocentowanych, z wyższą stopą zwrotu. I tu Polska wyróżnia się pozytywnie. Inwestorzy szukają możliwości inwestycyjnych w infrastrukturze, licząc na wyższe stopy zwrotu, dlatego – co cieszy – interesują się projektami PFR".



Fot. M. Wośko, Shutterstock

Konferencja CEE Capital Markets organizowana przez PKO BP w Londynie. Od lewej: Jakub Papierski (wiceprezes zarządu PKO BP), Zbigniew Jagiełło (prezes zarządu PKO BP), Jerzy Kwieciński (minister inwestycji i rozwoju) i Paweł Borys (prezes Polskiego Funduszu Rozwoju)

BĘDZIE ODDZIAŁ PKO W LONDYNIE

W czasie konferencji padła też ciekawa zapowiedź, która spotkała się z zainteresowaniem nie tylko polskich mediów i inwestorów. „Po Frankfurcie i Pradze przyszedł czas na Londyn" – powiedział prezes Jagiełło, zapowiadając powstanie jeszcze w tym roku oddziału bankowości korporacyjnej PKO BP w Londynie. Warto wspomnieć, że w Niemczech to właśnie polski bank obsługuje Orlen Deutschland i wielu polskich przedsiębiorców szukających informacji oraz usług finansowych na niemieckim rynku.

„PKO BP dostrzegł potrzebę wśród polskich klientów. Gdy popatrzymy na nasze obroty finansowe, trzeba zauważyć, że w Wielkiej Brytanii działa 8 tys. instytucji finansowych z europejskim paszportem. PKO BP będzie kolejną" – mówił prezes Jagiełło podczas konferencji prasowej. „Nasza działalność będzie dotyczyła usług między Wielką Brytanią a Polską. Wierzę, że obroty handlowe między naszymi krajami wzrosną. Mam nadzieję, że pojawią się polskie firmy działające na rynku brytyjskim, które ostatecznie dywidendę będą transferować do Polski".

Pytanie o przyszłość paszportu europejskiego (tzw. single passport rule), pozwalającego na łatwe świadczenie usług finansowych na jednolitym rynku europejskim i sytuację polskich firm po Brexicie, pojawiało się w wielu rozmowach. I choć z Brukseli w stronę Wysp Brytyjskich powiało wyraźnym chłodem, nie tylko za sprawą Beast from the East, to między Polską a Wielką Brytanią prognozy wydają się niezwykle korzystne. Z pewnością inicjatywa PKO BP i intensywna konferencja CEE Capital Markets służą wyraźnemu ociepleniu nie tylko kontaktów między inwestorami, lecz i wykorzystaniu okazji, jaką niesie Brexit dla Warszawy.

Maciej Wośko,
redaktor naczelny
„Gazety Bankowej"

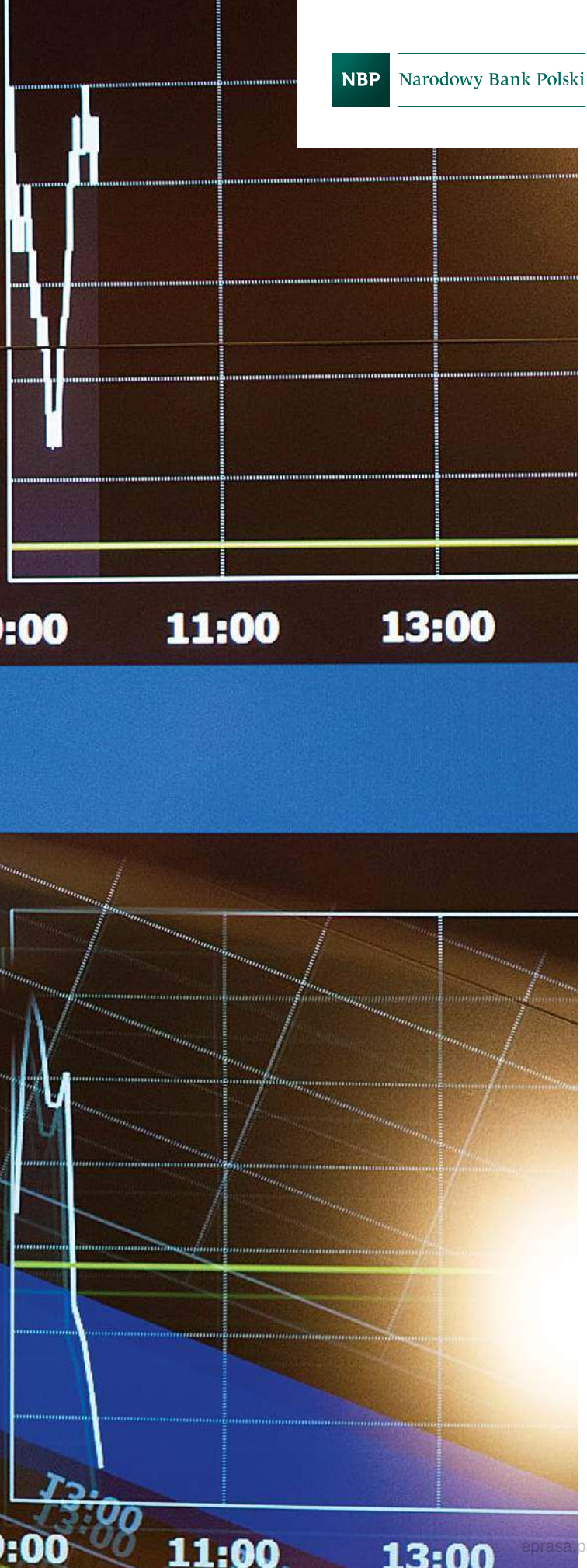
eprasa.pl e7b333557f



Raz hossa, raz bessa

– oceń ryzyko, zanim zainwestujesz

eprasa.pl eZbieranie



Giełda to miejsce, gdzie inwestorzy kupują lub sprzedają instrumenty finansowe i w związku z tym transferują między sobą ryzyko związane z tymi instrumentami

Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie (GPW) jest organizatorem rynku regulowanego (Głównego Rynku GPW), którego zasady funkcjonowania są ściśle określone w przepisach prawa, a spółki na nim notowane muszą przestrzegać licznych wymogów informacyjnych. GPW organizuje również NewConnect, czyli tzw. Alternatywny System Obrotu (ASO), przeznaczony dla małych i średnich firm. Wymogi związane z emisją akcji na NewConnect są mniej restrykcyjne niż na rynku regulowanym.

Podstawowym zadaniem rynku kapitałowego – niezależnie od tego, czy to rynek regulowany, czy ASO – jest dostarczanie średnio- i długoterminowego kapitału na rozwój oraz inwestycje przedsiębiorstw. Na giełdzie można kupić wiele instrumentów finansowych. Najbardziej znane i najczęściej z nią kojarzone to akcje, czyli papiery wartościowe o charakterze udziałowym. Specyfika tego instrumentu polega na tym, że inwestor, kupując go czy to na rynku pierwotnym (podczas emisji przez spółkę), czy na rynku wtórnym (odkupując od innych inwestorów papiery już wyemitowane), staje się jednocześnie akcjonariuszem emitenta. Z tego względu notowania (ceny) akcji zależą w dużym stopniu od sytuacji finansowej konkretnej spółki oraz jej perspektyw. Na wartość udziałowych papierów wartościowych wpływają zatem m.in. koniunktura giełdowa, koniunktura w branży, w jakiej działa emitent, jego wyniki finansowe, a także zmiany personalne w zarządzie spółki.

Koniunkturę giełdową odzwierciedla kilka wskaźników giełdowych (indeksów), zarówno ogólnych, jak i przyporządkowanych określonym branżom. W przypadku GPW w Warszawie najbardziej popularne są dwa: WIG i WIG20. Pierwszy to tzw. indeks szerokiego rynku, obejmujący prawie wszystkie spółki z Głównego Rynku GPW. Indeks jest obliczany od 16 kwietnia 1991 r., a na koniec lutego 2018 r. jego wartość wynosiła 61 703,18 pkt. Jest to indeks dochodowy, a to znaczy, że wlicza się do niego nie tylko zmiany cen akcji, lecz również pozostałe dochody związane z posiadaniem tych instrumentów, np. otrzymane dywidendy. WIG20 jest obliczany od 16 kwietnia 1994 r. i obejmuje 20 największych i najbardziej płynnych spółek z Głównego Rynku GPW. Jego wartość na koniec lutego 2018 r. wynosiła 2364,32 pkt. WIG20 jest indeksem cenowym, czyli wyliczanym tylko na podstawie zmian cen akcji. Swoje indeksy mają również spółki małe i średnie, a także poszczególne branże (GPW posiadała na koniec lutego 2018 r. 14 indeksów sektorowych, np. WIG-Banki, WIG-Budownictwo, WIG-Leki).

Fot. Andrzej Wiktor | 3/1217/F

eprasa.pl e7b333557f

RYNEK BYKA, RYNEK NIEDŹWIEDZIA

Jeżeli koniunktura giełdowa jest dobra, wówczas inwestorzy chętnie zawierają transakcje. Hossa na giełdzie, nazywana potocznie rynkiem byka, to trwające długo, systematyczne wzrosty notowań. Podczas hossy inwestorzy są nastawieni optymistycznie, mają pozytywny stosunek do perspektyw rynku, chętnie więc kupują akcje, licząc na to, że ich cena wzrośnie. Z taką hossą – zarówno na rynkach globalnych, jak i na rynku polskim – mamy do czynienia obecnie. Podczas hossy notowania akcji często biją kolejne rekordy. Tak było w styczniu tego roku, kiedy WIG przekroczył najwyższy poziom w swojej historii, wyznaczony w 2007 r., czyli przed globalnym kryzysem finansowym. Indeks WIG20 osiągnął z kolei najlepszy wynik od sześciu lat.

Hossa na rynkach globalnych trwa od I kw. 2009 r., natomiast przeplatana jest tzw. korektami, czyli krótkotrwałymi spadkami notowań. Tak długi okres dobrej koniunktury giełdowej od pewnego czasu niepokoi ekspertów z niektórych międzynarodowych instytucji. Przykładowo, już w zeszłym roku Europejska Rada Ryzyka Systemowego (ESRB) zwracała uwagę na zbyt duży – jej zdaniem – optymizm inwestorów oraz na potencjalne niedoszacowanie przez nich ryzyka. Nie należy zatem wykluczyć, że obserwowana hossa wkrótce się skończy.

Takie ostrzeżenia są uzasadnione. Od zawsze na giełdzie okresy hossy przeplatają się z okresami bessy, czyli potocznie rynkiem niedźwiedzia, podczas którego dominuje pesymizm, a indeksy zniżkują. Niektórzy definiują bessę dość precyzyjnie: wkraczamy w nią wówczas, gdy ceny akcji spadają przez co najmniej dwa miesiące, w tempie 20 proc. i więcej. Jej przyczyny mogą być różne – przykładowo bessa z lat 2007–2009 została wywołana kryzysem na rynku nieruchomości i kredytów hipotecznych w Stanach Zjednoczonych oraz związanym z tym bankructwem banku Lehman Brothers. Amerykański indeks Dow Jones spadł w czasie tej bessy aż o 54 proc.

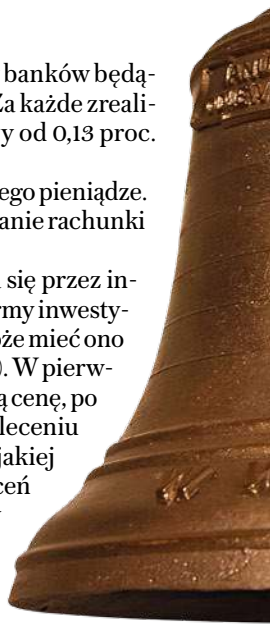
JAK ROZPOCZĄĆ INWESTOWANIE?

Inwestowanie na giełdzie wiąże się z ryzykiem, o którym nie można zapominać. Na ten rynek nie można wchodzić bez przygotowania. Giełdę trzeba poznać i zrozumieć mechanizmy jej funkcjonowania. Jest to miejsce dla zaawansowanych inwestorów, którzy zdają sobie sprawę z tego, że każda niewłaściwa decyzja może się skończyć bolesną stratą.

Jeśli przyszły inwestor zdobył niezbędną wiedzę, może założyć rachunek maklerski. Umowę z firmą inwestycyjną (domem maklerskim lub bankiem prowadzącym działalność maklerską) można podpisać bezpośrednio w biurze, przez internet lub – w niektórych przypadkach – za pośrednictwem systemu bankowości elektronicznej. Przed podpisaniem umowy trzeba wypełnić ankietę MIFID, która tworzy tzw. profil inwestora. Profil ten pomaga określić, jakie instrumenty finansowe i usługi firma inwestycyjna może mu zaoferować, dzięki czemu zmniejsza się prawdopodobieństwo, że inwestor podejmie nadmierne ryzyko. Kolejny dokument do podpisania to amerykański formularz FATCA, który pomaga w ustaleniu klientów banków będących podatnikami Stanów Zjednoczonych. Za każde zrealizowane zlecenie płaci się prowizję – z reguły od 0,13 proc. do 0,39 proc. wartości transakcji.

Po założeniu rachunku należy przelać na niego pieniądze. Niektóre domy maklerskie oferują zintegrowanie rachunki inwestycyjnego z ROR-em.

Zlecenia kupna lub sprzedaży akcji składa się przez internet. Zlecenie trafia najpierw do systemu firmy inwestycyjnej, a dopiero potem wędruje na giełdę. Może mieć ono status „z limitem" lub „po każdej cenie" (PKC). W pierwszym przypadku inwestor określa maksymalną cenę, po jakiej jest gotowy kupić akcje. Natomiast w zleceniu sprzedaży podana jest minimalna cena, po jakiej inwestor chce je sprzedać. W przypadku zleceń PKC nie ma pewności, ile będą kosztowały akcje lub ile za nie dostaniemy, ale mamy za to pierwszeństwo w realizacji tych zleceń.



Wypłata gotówki z rachunku w firmie inwestycyjnej – najczęściej na rachunek bankowy – może być zlecona w każdej chwili. Jeżeli rachunek inwestycyjny mamy np. w domu maklerskim, a konto w banku z innej grupy kapitałowej, to wypłata nie nastąpi jednak natychmiast, tylko zgodnie z harmonogramem sesji ELIXIR. Od dochodów kapitałowych na giełdzie płaci się 19 proc. podatku. Może się jednak okazać, że mimo, iż w skali roku ponieśliśmy straty, i tak musieliśmy zapłacić podatek, na przykład z tytułu uzyskanych dywidend. Taki podatek jest bowiem pobierany u źródła, czyli w momencie wypłaty dywidendy na nasz rachunek.

RYNEK I SPÓŁKI

Inwestorzy, którzy próbują „pokonać rynek", czyli osiągnąć stopy zwrotu wyższe od indeksu (tzw. inwestowanie aktywne), najczęściej korzystają z dwóch podstawowych rodzajów analizy: technicznej i fundamentalnej. Pierwsza z nich służy podejmowaniu decyzji inwestycyjnych na podstawie wykresów cen akcji oraz wartości lub wolumenu obrotu. Analiza techniczna zakłada bowiem, że rynek zmierza w określonym kierunku, czyli posiada trend, który analityk może zidentyfikować oraz określić jego fazę.

Z kolei głównym celem analizy fundamentalnej jest wycena danego przedsiębiorstwa na podstawie jego danych finansowych, a następnie porównanie takiego szacunku z wyceną rynkową.

Warto jednak wspomnieć o koncepcji efektywności informacyjnej rynków finansowych. Według niej, cena na rynku odzwierciedla wszystkie dostępne informacje (publiczne i poufne), przez co zawsze wyraża rzeczywistą wartość spółki. W związku z tym w długim terminie ani analiza techniczna, ani fundamentalna nie jest efektywna, a inwestowanie aktywne, z uwagi m.in. na wyższe koszty, przynosi niższe stopy zwrotu niż inwestowanie pasywne, czyli w uproszczeniu odwzorowywanie stopy zwrotu z indeksu giełdowego.

Do inwestowania pasywnego służą m.in. ETFs, czyli Exchange Traded Funds. Jest to rodzaj otwartego funduszu

eprasa.pl e7b333557f



Fot. Mateusz Zelnik, Zuzanna Kruschewska

inwestycyjnego notowanego na giełdzie, którego zadaniem jest odzwierciedlanie danego indeksu. Kupując tytuły uczestnictwa ETF, osiągamy zatem mniej więcej ten sam efekt, co kupując bezpośrednio wszystkie spółki, które ten indeks obejmuje. W przeciwieństwie do tradycyjnych funduszy obrót ETFs odbywa się w taki sam sposób jak akcjami. Dzięki temu w trakcie sesji giełdowej uzyskujemy ciągłą wycenę naszej inwestycji. Ponadto ETF w porównaniu z tradycyjnymi funduszami inwestycyjnymi ma niższe koszty zarządzania, co przekłada się na wyższe stopy zwrotu w długim terminie.

ZYSK ALBO STRATA

Droga inwestora giełdowego może być ciekawa, emocjonująca, ale i niebezpieczna. Inwestor ma cały czas do czynienia z ryzykiem, o którym czasami zapomina, zwłaszcza w czasach hossy.

Inwestowanie na giełdzie porównuje się czasem do jazdy kolejką górską, ponieważ emocje towarzyszące jej wznoszeniu, a następnie zjazdowi są bliskie tym, które odczuwają inwestorzy podczas, odpowiednio, wzrostów i spadków notowań. Z uwagi na to, że korekty i bessa zwykle nadchodzą niespodziewanie, inwestor giełdowy powinien być cierpliwy i mieć mocne nerwy.

Dlaczego inwestorzy decydują się na kupowanie akcji mimo wspomnianego ryzyka? Ponieważ za ponoszenie tego ryzyka są wynagradzani – zyski na giełdzie mogą być dużo większe niż np. na lokatach bankowych czy obligacjach. W zeszłym roku indeks WIG20 wzrósł aż o 26,4 proc., WIG – o blisko 23 proc., a notowania rekordzisty – firmy z branży budowlanej – skoczyły aż o... 261 proc. Na drugim biegunie znajdują się jednak emitenci, których cena akcji spadła ponad 90 proc. To oczywiście przypadki skrajne, ale pokazują, jak duża jest amplituda cenowych wahań i jak dobrze – albo jak źle – można trafić z inwestycją.

Ryzyko związane z zakupem akcji danej spółki można podzielić na dwa podstawowe rodzaje: systematyczne i specyficzne.

Ryzyko systematyczne (niedywersyfikowalne) związane jest z koniunkturą giełdową. Wynika ono m.in. z sytuacji na rynkach światowych oraz uwarunkowań gospodarczych w danym państwie, w tym polityki fiskalnej i pieniężnej, a także z wydarzeń losowych o dużej skali oddziaływania – wojny czy katastrof naturalnych. Ryzyko systematyczne w pewnym stopniu dotyczy wszystkich spółek notowanych na danym rynku.

Natomiast ryzyko specyficzne ma indywidualny charakter i ściśle wiąże się z działalnością gospodarczą i otoczeniem konkretnej spółki. Ten rodzaj ryzyka związany jest na przykład z wprowadzeniem na rynek nowej marki, zmianami w zarządzie czy promowaniem nowego produktu. W przeciwieństwie do ryzyka systematycznego ryzyko specyficzne można ograniczać, a nawet wyeliminować dzięki dywersyfikacji. Polega ona na zwiększeniu liczby spółek, których akcje mamy w portfelu inwestycyjnym, w szczególności o podmioty z różnych branż. W ten sposób, mówiąc obrazowo, nie wkładamy wszystkich jajek do jednego koszyka. Ewentualne straty w jednej inwestycji mogą zostać zrekompensowane zyskami w innej.

Niezależnie od tego warto pamiętać, że inwestycje w akcje notowane na Głównym Rynku GPW obarczone są istotnie mniejszym ryzykiem niż na rynku NewConnect. Wynika to przede wszystkim z tego, że notowane w ASO spółki są mniejsze i najczęściej nie posiadają długiej historii działalności.

Artur Kliski

eprasa.pl e7b333557f

Dwa końce systemu

PIOTR SKWIECIŃSKI

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o losie Tomasza Komendy, który całą młodość spędził w więzieniu za morderstwo, którego nie popełnił, przypomniał mi się kolega. Kolega jest politykiem partii rządzącej, w okresie PO ciąganym po sądach, bo chyba najbardziej spośród ludzi czynnych w służbie publicznej za tzw. pierwszego PiS zalazł za skórę establishmentowi III RP, który w związku z tym postanowił go zniszczyć. Kolega opowiadał o swoich licznych doświadczeniach z prokuraturą i skonkludował sardonicznie: „Bo to są świetni fachowcy. Traktują cię profesjonalnie, cały czas podkreślają, że tak naprawdę to są po twojej stronie, tylko muszą bez sensu wypełniać papierki. A jak przyjdzie co do czego, jak im każą, to tak samo profesjonalnie cię ugotują, odwracając prawdę do góry nogami. Bez elementu osobistej złości, tylko tak... bo im kazali, a przecież mają taki zawód".



Jeśli zaostrzamy klimat wobec potężnych przestępczych graczy, to tym bardziej musimy myśleć o małych, za to niewinnych ofiarach tego zaostrzenia

A w drugiej kolejności przypomniałem sobie rozmowę ze Zbigniewem Romaszewskim, który mówił – i była to jego zdaniem prawidłowość ogólnoświatowa, dotycząca również krajów jak najbardziej demokratycznych – że wszędzie do policji ponadproporcjonalnie ciągną ludzie o złych instynktach. Ciągną, bo mają nadzieję, że tam będą mogli dać upust skłonnościom do nadużywania władzy, bicia, upokarzania. Dlatego policji nigdy nie wolno ufać, trzeba ją natomiast zawsze trzymać maksymalnie krótko przy pysku.

Komenda przyznał się, bo go bili, nie potrafię znaleźć w sobie żadnego argumentu, by to kwestionować. Policja jest taka, jak opisał ją Romaszewski, wszędzie bije, dlatego trzeba jej pilnować. Ale w sprawie Komendy jest coś jeszcze gorszego. Otóż z 18 lat, które spędził on w więzieniu, co najmniej siedem ostatnich służby do tego powołane powinny mieć zasadnicze wątpliwości co do słuszności wyroku. Bo w 2010 r. pojawił się bardzo mocny sygnał dotyczący braku pewności jego winy. Ale... próby rozgrzebywania tej sprawy nie leżały w interesie nikogo poza samym Komendą, a już najbardziej – organów, które doprowadziły do jego skazania.

I nic to nowego. Tak samo było w sprawie Dreyfussa. Tak samo było w sprawie „szóstki z Birmingham", grupy Irlandczyków, skazanych w latach 70. za podłożenie bomby, której nie tylko nie podłożyli, lecz w ogóle nie byli związani z IRA. W obu tych sprawach od pewnego momentu organa ścigania wiedziały, że ci, którzy siedzą, są niewinni. I w obu tych sprawach nie zrobiły nic, póki nie zostały do tego zmuszone. Bo – sami państwo rozumieją – życie kogoś dogorywającego w lochu w porównaniu z „honorem służb", które go do tego lochu wsadziły i zagrożeniem kariery czynnych przy tym funkcjonariuszy, którzy za zdemaskowanie „zbrodniarza" podostawali awanse, to zupełnie mało ważny argument.

Komenda stał się ofiarą tej prawidłowości i szerzej – uniwersalnej praktyki polegającej na tym, że zainteresowane sukcesem organy, jeśli na moment spuścić je z oka, chętnie wsadzą do kryminału niewinnego, byle im się statystyki zgadzały. I marną pociechą jest to, że w takich Stanach jest pod tym względem jeszcze dużo gorzej. Bo tamtejszy system skłania sprawujących urzędy do zachowań populistycznych i jest jeszcze bardziej niż europejski (w tym polski) klasowy. Czyli premiuje bogatych, natomiast ubogich stawia na niemal z góry przegranej pozycji (co skądinąd powodowało, że nawet wtedy, gdy istniała PRL, a w niej partyjna dyktatura, egzekwowana również w stosunku do wymiaru sprawiedliwości, mimo to, jak twierdzą znawcy, odsetek niewinnie skazanych za przestępstwa kryminalne był w Polsce znacznie mniejszy niż w demokratycznych USA).

Polska przez dekady była państwem twardym i okrutnym wobec słabych, za to bezsilnym wobec silnych graczy. I trzeba było to zmienić. Ale zarazem trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że nie da się zaostrzyć systemu tylko z jednego końca. To znaczy, że zmieniając prawo, a także cały społeczny klimat w stronę większego rygoryzmu, uderza się (słusznie) w dotąd potężnych skorumpowanych i korumpujących, a także innych przestępców – beneficjentów dotychczasowej słabości. Ale zarazem uderza się we wszystkich innych, nierównie liczniejszych. A charakter i instynkty organów pozostają takie, jakie były. I to potencjalnie może grozić nam wszystkim.

Jeśli więc trzeba (a trzeba) utwardzić praktykę i politykę państwa wobec przestępczości, to tym bardziej trzeba wprowadzić nowe, systemowe zabezpieczenia przed takimi i podobnymi przypadkami.

Bo spuszczenie organów z łańcucha daje im pole do kreowania nowych Komendów. W RP z dowolnym numerem porządkowym.

Zatruta studnia

Na początku marca, w przeddzień rocznicy śmierci kata Polaków, Romana Szuchewycza, młodzi Ukraińcy przemaszerowali ulicami Lwowa pod hasłem „Lwów nie dla polskich panów". Najwyraźniej chcieli nam przypomnieć, że miasto zawsze wierne Rzeczypospolitej zostało w 1939 r. odebrane panom i do dziś pozostaje pod nadzorem chamów. Niepotrzebnie, bo – w odróżnieniu od ludów pierwotnych – nie mamy kłopotów z pamięcią historyczną. Wprawdzie szef ukraińskiej dyplomacji Pawło Klimkin odważnie twierdzi, iż poprzez nowelizację ustawy o IPN „Polska próbuje wybielać swoją historię", i apeluje do nas o uznanie „zbrodni popełnionych na Ukraińcach", ale robi to właśnie dlatego, że został wychowany w kulturze pierwotnej. Nie potrafi odróżnić ludobójstwa od samoobrony, rzezi na cywilach od walki o niepodległość, zbiorowego opętania od służby ojczyźnie.

Ukraińcy wciąż wierzą, że psim swędem wejdą do Europy razem ze swoimi demonami

Po Majdanie i wybuchu wojny z Rosją byłem niemal pewny, że Ukraińcy zaczną budować narodową tożsamość na fundamencie Niebiańskiej Sotni, a czarne karty swej historii – od zbrodni Bohdana Chmielnickiego po rzeź wołyńską – potraktują jako dowody bestialstwa, które przez wieki nie pozwalało im się stać pełnowartościowym narodem. A jednak wybrali tradycję piekła na ziemi. Zaczęli stawiać pomniki swoim demonom, machać czerwono-czarnymi szmatami i z dumą dzierżyć tryzub skąpany w krwi niewinnych. Czy nikt im nie powiedział, że taka tradycja nie mieści się w granicach cywilizowanego świata, dyskwalifikuje ich jako państwo, niszczy europejskie aspiracje? Mówiono im to wielokrotnie. Nie posłuchali. Wciąż wierzą, że kłamiąc i matacząc, psim swędem wejdą do Europy razem ze swoimi demonami.

Krajobraz uwieczniony na obrazie Jacka Malczewskiego „Zatruta studnia z Chimerą" przypomina dzisiejsze bezdroża Wołynia. Studnia tkwi w szczerym polu jak ostatnia reduta pamięci o spalonej wiosce. Chimera z pewnością zna jej mroczną tajemnicę, ale nie kwapi się, by podzielić się tą wiedzą ze światem. Samotnie pilnuje zatrutej wody, zaplatając włosy w gęsty warkocz. Dla mnie to personifikacja ludu ukraińskiego. Słowo „chimeryczny", które najprecyzyjniej opisuje zbiorowość naszych wschodnich sąsiadów, posiada dwa słownikowe znaczenia: 1) „mający kapryśną naturę", 2) „niemożliwy do urzeczywistnienia". Resztę znajdą państwo w wierszu z tomu „Polonia aeterna", który ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Arcana.

Zatruta studnia

Ujęć wody się nie drąży na pustkowiu
gdzie nikt żywy miesiącami nie zagląda
kiedyś musiał stać tu rząd drewnianych domów
i musiała tędy biegnąć wiejska droga

wieś spalona sad wycięty krzyż wyrwany
droga dawno zaorana razem z miedzą
tylko studnia porośnięta bodiakami
czarnym okiem wciąż uparcie patrzy w niebo

a z tej studni – co za czary co za dziwy –
płacz dziecięcy krzyki kobiet łkanie Boga
złote słońce się nie rusza znad równiny
a w tej studni połyskuje czarna woda

przaśna chłopka nad topielą wartę trzyma
plecie warkocz i przekornie się uśmiecha
ma swój urok tak jak cała Ukraina
ale lepiej jej nie ufać – to Chimera

chimeryczną więc kapryśną ma naturę
chciałaby się urealnić lecz nie może
jak ten lud który potrafił być rezunem
ale nie jest i nie stanie się narodem

* * *

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel



Stop iluzji

DARIUSZ KARŁOWICZ

Dramatyczna historia byłego rosyjskiego agenta Siergieja Skripala i jego córki, otrutych za pomocą gazu bojowego nowiczok, znalazła stosowne do swojej wagi miejsce w mediach całego świata. Nie chcę się wdawać w szczegóły tej historii. Interesują mnie reakcje na to wydarzenie, a ściślej to, co mówią nam o dzisiejszym Zachodzie i dzisiejszej Rosji.

Zachód AD 2018 to Zachód bez niedawnych jeszcze złudzeń wobec Moskwy. Nie trzeba sięgać pamięcią daleko wstecz, żeby przypomnieć sobie czasy, kiedy każdą krytyczną opinię na temat Putinowskiej Rosji piętnowano jako rusofobię. Tak było nie tylko w uwikłanej w postkomunizm III RP, lecz i w całej Europie. Dobrze pamiętam klimat po zamachach terrorystycznych w 1999 r. w Moskwie i Wołgodońsku, które Kreml uznał za pretekst do wznowienia wojny czeczeńskiej. Opinia, że za wysadzeniem budynków mieszkalnych stało FSB, długo uważana była za niepoważną nie tylko wśród promoskiewskich komentatorów.

Po Gruzji, Ukrainie, aneksji Krymu sytuacja zmieniła się nie do poznania. Użycie niedostępnych dla zwykłych śmiertelników środków bojowych (nowiczok to gaz bojowy typu sarin) i cały kontekst tej historii, sprawiają, że od samego początku nikt nie ma wątpliwości, że odpowiedzialność za zamach ponosi Rosja (najkorzystniejsza, ale przecież kompromitująca jest hipoteza utraty kontroli nad arsenałem broni chemicznej).

W Wielkiej Brytanii na sposób postrzegania Moskwy bardzo duży wpływ miał ogłoszony w 2016 r. raport ze śledztwa w sprawie śmierci zbiegłego do Anglii oficera KGB/FSB Aleksandra Litwinienki. W raporcie uznano, że Litwinienkę zamordowały rosyjskie służby, a Putin „prawdopodobnie zaaprobował" to morderstwo. Śledztwo pozwoliło ustalić zabójców. Żadnemu nie spadł choćby włos z głowy, a jeden z nich został nawet deputowanym do Dumy.

Kapitał zaufania stopniał do zera. W wystąpieniu w Izbie Gmin Boris Johnson, minister spraw zagranicznych, tylko przez zawodową poprawność groźby sankcji ubierał w tryb warunkowy („jeśli potwierdzą się spekulacje"), nie wahając się przy tym nazwać Rosji „wrogą i destrukcyjną siłą". Czasy wsłuchiwania się w głos kremlowskich czarodziejów przeminął. „Rosja powinna dać spokój i się zamknąć" – tak rosyjskie reakcje komentował brytyjski minister obrony Gavin Williamson, a Johnson prosił posłów, żeby przemyśleli obecność w rosyjskich mediach, które stanowią „wehikuł kremlowskiej propagandy".

Oczywiście sprawa jest niezwykle poważna. Zamach na Skripala jest jawną drwiną z brytyjskiego państwa. Ale przecież było nią również zabójstwo Litwinienki! Niezależnie od losów zapowiadanych sankcji powiedzieć można z pewnością, że po dawnym podejściu nie ma nawet śladu. Symbolem zmiany może być sama Theresa May. Premier, która mówi dziś o „nieuprawnionym użyciu siły przez państwo rosyjskie przeciwko Wielkiej Brytanii", jeszcze jako minister spraw wewnętrznych nie ukrywała niechęci wobec śledztwa w sprawie śmierci Litwinienki.

Reakcje widoczne w Rosji składają się z dwu ściśle splecionych wątków. Pierwszy, to stanowcze zaprzeczenia, drugi – ten nieoficjalny – to rodzaj cynicznej drwiny nieomal wprost mówiącej o słusznej i nieuniknionej karze. Przykładem tego drugiego tonu może być to, co w magazynie informacyjnym „Wriemia" mówił dziennikarz Kirił Klejmienow, twierdząc, że zamach na Skripala stanowi doskonałe ostrzeżenie dla marzących o karierze zdrajcy ojczyzny. W szeroko kolportowanej w mediach wypowiedzi Klejmienow ironizował, radząc zdrajcom, żeby unikali Anglii – bo dzieją się tam dziwne rzeczy, a mianowicie ludzie na skalę przemysłową wieszają się, trują, wypadają z okien etc. Ot, takie żarciki, które w przedwyborczym klimacie nie pozwalają zwątpić, że wielka pod putinowskim przywództwem Rosja nie musi liczyć się z nikim ani z niczym.

W działaniach Kremla doskonale widać ograniczenia, które narzuca pogarda. Rosja gardzi Zachodem, uważa go za twór upadający, bezbronny, zepsuty, pozbawiony siły i woli życia. Mówi się nieraz, że Putin dobrze zna Zachód i z pewnością jest w tym coś na rzeczy. Jednak jego wiedza to wiedza spaczona. Punkt widzenia agenta FSB to perspektywa człowieka, który porusza się w obszarze zdrady, słabości, korupcji. Obraz jest prawdziwy, ale przecież niepełny. Putin nie rozumie źródeł siły Zachodu, bo nie rozumie ani nowoczesności, ani wolności. Pochodząc z tyranii i będąc tyranem, nie rozumie podmiotowości wspólnot narodowych i logiki działających w imię racji stanu instytucji.



I właśnie lekceważenie sprawia, że rosyjska strategia okazuje się jawnie przeciwskuteczna. Łatwo zostać więźniem własnej retoryki, ale jeszcze łatwiej pogardy. Gdyby Zachód był tak słaby, jak się to Putinowi zdaje, to w jaki sposób do tej pory utrzymałyby się sankcje? A przecież wbrew wszelkim przewidywaniom nic nie wskazuje na to, by miały zostać zawieszone. Zamach na Siergieja Skripala z pewnością wzmocnił determinację, by je utrzymać. I by wystrzegać się iluzji.

31/0118/F

Wesołego Alleluja!



Ciepłych, rodzinnych Świąt Wielkanocnych,
mnóstwa radości przy domowym stole,
ciepła w sercu, słońca w duszy
i energii na cały rok

życzy Grupa Energa

Energa

eprasa.pl e7b333557f

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Kwiecień 1943



Przeglądam depesze Kierownictwa Walki Cywilnej i radiostacji Świt z lat 1941–1945.

Kopalnia wiedzy o okupacyjnej Polsce, o codziennych zmaganiach ze śmiertelnym wrogiem. Tragiczne fakty, ważne daty, egzekucje, wyroki, nazwiska bohaterów i zdrajców. Dzień po dniu, aż do końca, którym nie był ostatni dzień powstania warszawskiego ani proces moskiewski przywódców Polski podziemnej, ani zajęcie kraju przez Sowiety, aż do ostatniej depeszy nadanej 4 lipca 1945 r., a więc kilka dni po aresztowaniu Stefana i Zofii Korbońskich.

Depesze opatrzył wstępem historyk Roman W. Rybicki, prezes Fundacji im. Stefana Korbońskiego. Mecenas Stefan Korboński był ostatnim Delegatem Rządu RP na Uchodźstwie w Londynie oraz szefem Kierownictwa Walki Cywilnej, członkiem Komendy Głównej AK. W pracy konspiracyjnej towarzyszyła mu żona Zofia, szyfrantka, kurierka, kobieta „od wszystkiego". Radiostacja Świt otrzymywała bieżące informacje z okupowanej Polski. Były one tak aktualne, że Niemcy sądzili, iż radiostacja nadaje z Polski. Dopiero w trakcie powstania warszawskiego gen. Tadeusz Bór-Komorowski dowiedział się od Stefana Korbońskiego, skąd naprawdę nadaje Świt. A radiostacja (polski kryptonim Anusia) nadawała do kraju dwa razy dziennie z miasteczka Bletchley pod Londynem.

Radiostacja nadała w sumie kilka tysięcy depesz, a do najważniejszych z nich, jak wspominała Zofia Korbońska, należały te o eksperymentach medycznych na więźniach w Auschwitz, lokalizacji kwatery Hitlera pod Kętrzynem, próbach nowej broni V-1 i V-2 na terenie Polski. Obsługa radiostacji nadających do centrali w Londynie liczyła prawie 50 osób. Połowa z nich, w ciągu czterech lat pracy, zginęła tragicznie od bomb lub została zamordowana przez Niemców. W celu schwytania radiotelegrafistów Niemcy używali samolotów, wozów goniometrycznych, ale najskuteczniejsi byli wtedy, kiedy przebierali się za Polaków, za kolejarzy, a nawet za księży. Wystarczyła antena wszyta w ramiona płaszcza czy marynarki, by po namierzeniu fali zawiadomić żandarmerię.

W czasie gdy Jan Karski dotarł ze swoim raportem o eksterminacji polskich Żydów do prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta, radiostacja Świt pełną parą nadawała depesze z Warszawy. Niemcy weszli do getta 19 kwietnia 1943 r. Sądzili, że następnego dnia, w rocznicę urodzin Hitlera, zameldują o zlikwidowaniu polskich Żydów. Tego dnia jednak radiostacja Świt przekazała zupełnie inną depeszę: „Spod Smoleńska wróciły dwie polskie delegacje. Pierwsza pod przewodnictwem Ferdynanda Goetla, druga Polskiego Czerwonego Krzyża. Mundury, szarże, odznaki pułkowe, ordery, legitymacje, listy dowodzą niezbicie, że to groby polskich oficerów, sporna może być liczba. Zidentyfikowano już kilkadziesiąt osób, w społeczeństwie groza i oburzenie, co nie wpływa na stosunek do Niemców". Była to już druga depesza o mordzie w Katyniu. Mimo nachalnej propagandy antysowieckiej stosunek Polaków do Niemców nie tylko nie uległ zmianie, lecz i zaowocował propagandową kontrakcją. W Krakowie pojawiły się afisze w języku polskim i niemieckim o zbrodni pod Smoleńskiem, która, jak pisano, wskazuje na „bardzo prymitywne sposoby mordowania przez bolszewików", dlatego wydział propagandy niemieckiej informuje o „zorganizowaniu wycieczek do Oświęcimia, Majdanka, aby Polacy poznali humanitarne urządzenia, jak komory gazowe i krematoria na trzy tysiące osób na dobę". Okazało się, że wiele niemieckich urzędów afisze te wywiesiło, sądząc, że są autentyczne. Tak więc, jak w 1939 r., mieliśmy nadal dwóch śmiertelnych wrogów.

20 kwietnia 1943 r., dzień po natarciu Niemców na warszawskie getto, polski radiotelegrafista prosił Świt, aby „przemówić do getta". Pierwszy podał na Zachód informację o użyciu przez Niemców czołgów i samochodów pancernych. Donosił, że „Żydzi się bronią, słychać strzały i wybuchy granatów". A potem już codziennie docierały do Londynu meldunki o walkach, zbrojnym oporze, łunach pożarów.

Starania Jana Karskiego w Ameryce, aby zainteresować tamtejszą społeczność, szczególnie żydowską, losem mordowanych polskich Żydów, spotykały się z niedowierzaniem i obojętnością. W ósmym dniu powstania w getcie warszawskim do Roosevelta pisał zrozpaczony Szmul Mordechaj Zygielbojm, członek Rady Narodowej RP w Londynie, socjalistyczny działacz Bundu. „Niech najbliżsi nasi sprzymierzeńcy uzmysłowią sobie nareszcie rozmiary odpowiedzialności wobec bezprzykładnej nad całym narodem popełnionej zbrodni hitlerowskiej, której tragiczny epilog teraz się odbywa". Tuż przed swoim samobójstwem, w pożegnalnym liście, napisał: „Odpowiedzialność za zbrodnię wymordowania całej narodowości żydowskiej w Polsce spada przede wszystkim na sprawców, ale pośrednio obciąża ona również ludzkość całą, narody i rządy państw sprzymierzonych". Tego tragicznego 19 kwietnia 1943 r. rozpoczęła się konferencja bermudzka. W cieniu palm i daktyli sprzymierzeni oraz żydowskie organizacje radziły tygodniami, jak ratować europejskich Żydów.

Fot. Andrzej Wiktor

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Muchy

Nie ma nic nudniejszego niż zajmowanie się własnym środowiskiem, nawet gdy człowiek stara się trzymać od tego środowiska na bezpieczny dystans.

Kiedy jednak spoglądam na rojące się na łajnie muchy, nieodparcie pojawiają się w mojej wyobraźni persony z żurnalistycznej socjety. Żyję już na tyle długo, aby pamiętać, co, kto i kiedy wygadywał oraz wypisywał. Teraz przyglądam się, jak trwa wyścig o to, kto będzie najbardziej po linii i na bazie. Nikomu nie doskwiera to, że w poniedziałek autor pisze sążniście w jednym kierunku tylko po to, aby we wtorek pisać zupełnie przeciwnie.



Witold Gadowski

Nie dziwię się pewnemu ciekawemu mężczyźnie, który kiedyś spotkał mnie na ulicy i zapytał:

– Skądś pana znam. Czym się pan zajmuje?

– Jestem dziennikarzem, taki mam zawód – odrzekłem bezwiednie.

– No rzeczywiście... – stropił się mężczyzna. – Robicie nam wielki zawód – dokończył nieco zmatowiałym z autentycznego smutku głosem.

Tak, sami sobie też to robimy. Dziś wystarczy, aby kogoś wpuszczono na antenę np. publicznej telewizji i natychmiast staje się „kimś" – i, dalejże, zaczyna pouczać, ustawiać, rozdawać fawory. Obserwuję, jak kilku takim ludziom przewraca się właśnie w głowach. Mataczą, knują, załatwiają jakieś podejrzane interesy, a jednocześnie donoszą i podlizują się tym, którzy stoją nieco wyżej niż oni. Byłem pełen nadziei, że wraz z nastaniem dobrej zmiany zmienią się też warunki uprawiania dziennikarskiego zawodu. Będzie więcej wolności i rzetelności. Jest jeszcze gorzej. Zamiast dziennikarzy pojawiły się kibolskie watahy skłonne zglanować każdego, kto wystąpi przeciwko ich interesom. Dziennikarstwo zostało zamienione w bezczelną propagandę. To droga w jedną stronę, stoi za nią „kłamstwo w imię lepszej sprawy". Sęk jednak w tym, że ta prawdziwie lepsza sprawa żadnych kłamstw ani nagięć rzeczywistości nie wymaga.

Takie lamentowanie zawsze brzmi cokolwiek podejrzanie, bo albo facet się nie załapał i marudzi, albo też ktoś mu nadepnął na odcisk i nie mógł oddać, to się sfrustrował. Obojętnie jednak, z jakich powodów piszę tu wam swoją jeremiadę, porzućcie na chwilę jej autora i zastanówcie się nad tym: o ile lepiej działoby się w państwie polskim, gdybyśmy mieli zastępy uczciwych i rzetelnych dziennikarzy, którzy na dodatek szanują swój zawód i uprawiają go z niejaką odwagą. Co? Zbyt to idealistycznie brzmi? Tak zepsuła się nam rzeczywistość, że od inteligentnych ludzi nie można już wymagać zachowania honorowego, szanowania się i pokory wobec misji swojego zawodu?!

Szlachectwo

Nie mam parcia na herbowe szpanowanie. To próżność. Każdy sam musi zapracować na swój wizerunek. Ród Makowieckich wywodzi się ponoć z Podola, byli tam potentatami rzecznego transportu zboża.

W wykazie szlachty Ziemi Dobrzyńskiej (skąd pochodzę) przypisano nam konkretny herb, ale dowodów na błękitną krew nie posiadam; w wojennej zawierusze nie ocalał żaden album rodzinny, żadna pamiątka ani żaden dokument. Kiedy mój ojciec Stanisław (12-letnie dziecko wywiezione na roboty do Niemiec) wrócił w 1947 r. do rodzinnej wsi, zamiast domu i zabudowań gospodarczych zastał pusty plac. Osierocony chłopak sam musiał się zmierzyć z podstawowymi problemami bytowymi i nie w głowie było mu odtwarzanie drzewa genealogicznego. Ciągłość pokoleń została brutalnie przerwana. Żal.



Lech Makowiecki

Zazdroszczę ludziom, którzy potrafią wywieść linię swych przodków od czasów bitwy pod Grunwaldem. Ale obserwując poczynania niektórych polityków (aspirujących do miana herbowej „elity"), zastanawiam się, czy owi zacni przodkowie byliby z nich dumni.

Polacy awansowali w hierarchii społecznej dzięki wiernej, heroicznej służbie ojczyźnie. Czy powstaniec styczniowy i zesłaniec – Wojciech Jaruzelski – przyznałby się do wnuka o tym samym imieniu? Co uczestnik Bitwy Warszawskiej, ziemianin Jaruzelski Władysław (odmawiający przyjęcia radzieckiego dowodu tożsamości, zmarły na Syberii) powiedziałby swemu synowi, generałowi LWP, idącemu na wojnę z narodem? Jak Henryk Sienkiewicz (dzięki któremu przetrwała w nas polskość) zareagowałby na epitet skierowany pod adresem Rzeczypospolitej przez swego prawnuka Bartłomieja, ministra III RP? Ale też kim są dawne autorytety – bohaterowie podziemnej „Solidarności", którzy dziś za eurosrebrniki i synekury gotowi byliby sprzedać własny kraj?

Mój dziadek, żołnierz Bitwy Warszawskiej, poległ w II wojnie światowej i czynem potwierdził swój status. Szlachectwa się nie dziedziczy. Zabiegać o nie należy od nowa i każdego dnia.

PRZEZ ŚWIETLIK

Dzieciaki z bambusem

Marszałek Senatu Stanisław Karczewski zrezygnował z ubiegania się o ubieganie się – bo na razie na tym etapie to było – o fotel prezydenta Warszawy. Każdy ma prawo ubiegać się o ubieganie i z niego zrezygnować, nie miałbym większych pretensji ani zdziwień. Zastanawiające jest jednak wyjaśnienie Karczewskiego. Otóż u niego siwy włos, a przydałby się ktoś młodszy. Nie po raz pierwszy słyszę takie wyjaśnienia w różnych sprawach. 50-latek na menedżera? Odpada, za mało dynamiczny będzie. Dziennikarz? Tylko nie po czterdziestce, bo to już pewnie wypalony, niech zajmie się lobbingiem albo polityką.

Warto jednak przypomnieć, że w Warszawie był jeden młody prezydent i jego rządy zasłynęły głównie jako pasmo korupcji, nieumiejętności zamykania nielegalnych klubów i tłumaczenie budowy własnego majątku skutecznym kręceniem jednorękim bandytą. Był też prezydent nieco starszy, z siwym włosem na skroni, i jego rządy przeszły do historii jako udane pasmo walki o praworządność w mieście, a potem prezydenturą kraju.

Nie wiem, czy lepszym prezydentem byłby pan Karczewski, czy pan Jaki, ale akurat do zarządzania tak skomplikowanym organizmem jak dwumilionowe miasto z gigantycznym budżetem i ogromnymi problemami z powodzeniem przydałby się ktoś z dużym doświadczeniem zawodowym, kto – np. jak Karczewski – był choć dyrektorem dużego szpitala. W każdym razie na pewno siwy włos nie powinien być w tej sytuacji dyskwalifikujący. Churchill, mając 70 lat, wygrywał II wojnę światową, a urząd premiera składał po osiemdziesiątce. De Gaulle rządy składał rok przed osiemdziesiątką. Reagan został prezydentem po siedemdziesiątce, ale do rządzenia Warszawą 62-latek jest za stary. Znowu w awangardzie. To samo słyszę z jednej z mniejszych miejscowości. Kandydat dobry, ale czy nie za stary? Szukajcie po żłobkach.



Wszystkie strony polityczne mówią, że walczą z wykluczeniem osób starszych, a tak naprawdę żyjemy w społeczeństwie coraz bardziej przypominającym świat chińskich hunwejbinów

Mam wrażenie, że tak to wygląda wszędzie. I to w czasach lewicowego bredzenia o ejdżyzmie, w czasach wielkich funduszy kierowanych na rozmaite uniwersytety trzeciego wieku i programy 50+. Wszystkie strony polityczne bardzo ambitnie mówią, że walczą z wykluczeniem osób starszych, a tak naprawdę żyjemy w społeczeństwie coraz bardziej przypominającym świat chińskich hunwejbinów albo kambodżańskich Czerwonych Khmerów, gdzie czołowymi kwalifikacjami zawodowymi były: nieskończone 16 lat i sprawne używanie bambusowego kija w okładaniu nim tych starszych. Albo z „Przedwiośnia" Żeromskiego, gdzie bezużytecznych i chorych starców odprowadzano do specjalnie dla nich przeznaczonej stodoły, umieralni.

Oczywiście wszystko teraz odbywa się w sposób bardziej kulturalny i cywilizowany, jak na czasy przystało. Teraz emeryturka, darmowe leki, seriale w telewizji. No, chyba że były funkcjonariusz bezpieki, wtedy może zostać jakimś prezesem.

Marudzisz, Świetliku, bo sam będziesz już tylko starszy, a nie młodszy? Może i tak, ale warto przypomnieć, że dotyczy to nas wszystkich.

Wiktor Świetlik
Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

2018.pl
100. rocznica odzyskania niepodległości
Patriotyczny serwis dla wszystkich, którzy są dumni z historii Polski
eprasa.pl e7b333557f

Nieświadomość



Aleksander Nalaskowski

Wszyscy wiemy, że czas goi rany. I pewnie w przypadku większości dramatycznych doznań oraz doświadczeń jest to prawda. Jednakowoż są i takie przeżycia, które nie poddają się terapii czasu, a rzec by można, że w miarę upływu miesięcy, lat intensyfikują się i przybierają na sile. Tym samym zamiast bliznami stają się ropiejącymi i brzydko pachnącymi ranami.

Tak też postrzegam trzy, a może cztery, największe afery III RP. Każda z nich miała swoją telewizyjną twarz pokazywaną jako posiedzenia komisji śledczej, delegowanej przez parlament. I tutaj zaczynają się schody. Widać bowiem, jak bardzo różniły się „śledztwa" prowadzone przez kolegów osób i grup umoczonych w rozmaite malwersacje w poprzednich kadencjach Sejmu, a jak odmiennie wyglądają teraz. Przyznam, że dociekliwość i bezkompromisowość niektórych członków komisji do spraw Amber Gold po pewnym czasie mnie znużyła, a przesłuchania wydawały się bezbarwne. Wraz z upływem kolejnych miesięcy przestałem już zwracać uwagę na wymieniane milionowe kwoty, wywożone w torbach sztabki złota czy pensje sowicie wypłacane zaangażowanym w przestępstwo osobom.

Jeśli ktoś mówi o tym, że dzisiejsza Polska jest klonem PRL, to niech się puknie w głowę

Dotarł do mnie wreszcie zupełnie inny przekaz. Zarówno tzw. afera Rywina, jak i podobnie brzmiąca afera hazardowa nie zostały nigdy wyjaśnione. Z perspektywy czasu widać, jak bardzo było odgórnie ograniczone grono osób stawianych w stan oskarżenia czy podejrzenia, jak bardzo chroniono kogoś wyżej, jak ślizgano się po temacie, jak unikano zbyt dociekliwych pytań, zastępując je ciekawością o rozkład toalet w budynku (Błochowiak). Dopiero komisja pod przewodnictwem Patryka Jakiego, a zwłaszcza ta pod przewodnictwem hiperinteligentnej Małgorzaty Wassermann pokazała, jak można, a właściwie jak należy, dociekać prawdy i oczyszczać skażone miejsca do cna.

Zarówno komisja Rywina, jak i komisja hazardowa były ledwie teatrem, nieźle zaaranżowanym przedstawieniem dla naiwnych i w żadnym momencie nie miały dociekać prawdy. Tutaj pojawia się moja niewyważona analogia do procesów w sprawie zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki, gdzie widać było, że akt oskarżenia musi być z góry ograniczony do czterech funkcjonariuszy SB i – broń Boże – żaden trop nie może prowadzić wyżej. Komisja weryfikacyjna i komisja Amber Gold nie mają takich ograniczeń. Śmiało pną się coraz wyżej i niestety wyżej. Wyłania nam się z ich pracy jakiś zupełnie nienormalny, ale dobrze skrywany, obraz III RP. Dokonywano ogromnych przestępstw, wzbogacano prywatne konta o niewyobrażalne sumy, skrzywdzono tysiące osób, które straciły oszczędności życia lub dach nad głową.

Wszystko działo się pod okiem, za wiedzą i w znacznej mierze pod opieką oraz z błogosławieństwem najwyższych władz. Dodajmy, władz pochodzących z demokratycznego wyboru, pełniących swoją misję w wolnym kraju. Prokuratorzy, sędziowie, najwyżsi rangą funkcjonariusze służb wewnętrznych, wysocy rangą urzędnicy stołecznego ratusza, bonzowie partyjni okazali się nitkami tej samej pajęczyny, jakiegoś fantastycznego związku przestępczego. Zupełnie tak, jakby przynależność do elit władzy była absolutnie równoważna z wejściem w obszar potwornych przekrętów, okradania ojczyzny i współobywateli. Jakby sprawowanie władzy polegało tylko na tworzeniu pozorów jej sprawowania i kreowaniu okazji do wielkoskalowego złodziejstwa. Każdy, kto wiedział o tych przestępstwach (a myślę tu o wszystkich czterech aferach – jak dotąd czterech...), każdy jest współwinowajcą i nie widzę tu żadnego usprawiedliwienia.

Jeśli więc teraz ktoś mówi o tym, że dzisiejsza Polska jest klonem PRL, to niech się puknie w głowę. Wszak to III RP była realnym dziedzicem układów, koneksji, nawyków, metod działania i folwarkiem dla wybranych. Jeśli teraz przy znajomości zapewne tylko części skali przestępczości gospodarczej, której dokonywano w tamtym okresie, ktoś próbuje reanimować trupa „lewicy" czy peowskie relacje koleżeńsko-finansowe, to jest po prostu obłąkany. Jak wspomniałem, nie chodzi tu najbardziej o niebotyczne kwoty, które są tak niewyobrażalne, że na wielu nie robią żadnego wrażenia, ale o całą skomplikowaną pajęczynę utkaną w jakimś podziemiu władzy, w jakimś zupełnie niewidzialnym świecie, o którego istnieniu setki tysięcy słabo opłacanych nauczycieli, kolejarzy, kierowców czy emerytów nie miało zielonego pojęcia, chociaż co miesiąc zupełnie tego nieświadomi dokładali się do tej skarbonki dla wybranych.

Jeśli za kilkaset lat znajdzie się nowy Długosz opisujący dzieje Polski, to z całą pewnością nie zabraknie w nich akapitu o realiach sprawowania władzy w III RP. Tego nie da się zapomnieć.

48/0318/F

ROBERT MAZUREK

Felieton tylko dla mężczyzn

Panowie, mam zamiar skłonić was, byście upiekli mazurka. Będzie prosto, łatwo i pysznie

Zasadniczo co drugi facet po czterdziestce jest mistrzem kuchni. Przeszedł jak burza przez etap jajecznicy, błyskotliwie zdał egzamin teoretyczny (ile to jest 250 g cukru), kupił książkę Nigelli, najlepiej z dużymi zdjęciami autorki, hipsterski fartuch i dawaj, zapraszać znajomych na sobotnią imprę (grunt to pamiętać o napojach). O dziwo, co piętnasty z tych kolesi umie gotować.

Moja osoba w tygodniu żywi się byle czym. Ale jedzenie na święta przyrządzam osobiście. I nie, to nie z nadmiaru ambicji, ale z konieczności dziejowej. A było tak... To miała być nasza pierwsza Wielkanoc z córką (równo w Wielkanoc rok wcześniej przyszła na świat), gdy żona mojej osoby spytana o stan przygotowań oznajmiła, że „ciasta się kupi", resztę też. O nie, tkwienia w takim grzechu uczyć dzieci nie będziemy – oznajmiłem i wziąłem się do roboty. PT Żonę zatrudniłem na etacie kuchcika i tak zostało do dziś.

Teraz uwaga drobna. Informuję, iż znaczną część tego felietonu już kiedyś gdzieś napisałem. I mógłbym się bronić na dwa sposoby: na litość (ratuje mnie to, że nie pamiętam gdzie i kiedy) lub na bezczela (dobry tekst warto powtórzyć, żeby się utrwalił – powiedział stary redaktor Jaś Stachurski po tym, gdy dwa dni z rzędu puścił w gazecie tę samą informację). Ale ja mam powód inny. Otóż ja mam misję.

Panowie, mam zamiar skłonić was, byście upiekli mazurka. Najpierw umówmy się, że sam nie znoszę przepisów skomplikowanych, bo mam dwie lewe ręce i jestem z natury leniwy. Będzie prosto, łatwo i pysznie. Więc idźcie się teraz szykować, zaraz zaczynamy, ja w tym czasie sobie popiszę.

Otóż z racji nazwiska co roku zarzucany jestem prezentami – niejadalnymi, przesłodzonymi okropieństwami, które ktoś nazwał mazurkiem. To jest dno i dwa metry mułu. Prezentuję tu przepis będący w mojej rodzinie od pokoleń, konkretnie od dwóch pokoleń, bo mama dostała go od Najlepszej Sąsiadki Galaktyki, pani Urszuli Starszak.



Panowie, wróciliście? To kombinujcie tak:

- 1/2 kg mąki,
- 250 g masła,
- 2–3 żółtka,
- 1 łyżeczka cukru, szczypta soli,
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia,
- 3–4 łyżki jogurtu naturalnego lub kwaśnej śmietany.

Mąkę i masło (posiekane) na stole wymieszać i wygnieść, wlewając doń po kolei pozostałe składniki (żółtka, cukier, jogurt etc.). Blachę posmarowaliśmy sobie margaryną, tak? To teraz lepimy łapami ciasto na spodzie. Nie grubo, centymetr, półtora. Do pieca z tym. Nie wiem na ile, weźcie maks 180 stopni i ma się upiec.

Jak ostygnie (może być po kilku dniach, bo wykończeni jesteście), robicie polewę:

- ½ kg cukru,
- ½ szklanki mleka,
- ½ kostki masła (teraz masła są małe, pamiętajcie, że ma być ok. 130 g),
- 3 łyżki kakao (prawdziwego, gorzkiego),
- 1 łyżka kawy rozpuszczalnej.

Wszystko do rondelka i gotujemy kwadrans, mieszając. Jak za rzadkie, dodajemy cukru, jak za gęste – trochę mleka i masła. Potem całość wylewamy z rondla na ciasto. I – uwaga! – od razu dodajemy bakalie. Sam piekę co najmniej dwa mazurki – jeden ozdabiam na biało (wiórki kokosowe, migdały posiekane, ewentualnie kilka orzechów włoskich) – to wersja elegancka, miastowa. Ale jest i moja ulubiona, wersja rustykalna, na wsiowo i kolorowo. Tu wrzucamy wszystkie orzechy, suszone kolorowe papaje i inne takie oraz mnóstwo kolorowej posypki.

Sajgon w kuchni sprzątają kuchciki, a wy oszołomieni sukcesem kulinarnym zażywacie wypoczynku. Przyda się wam, bo za rok będziemy piec pasztety i mięsa.

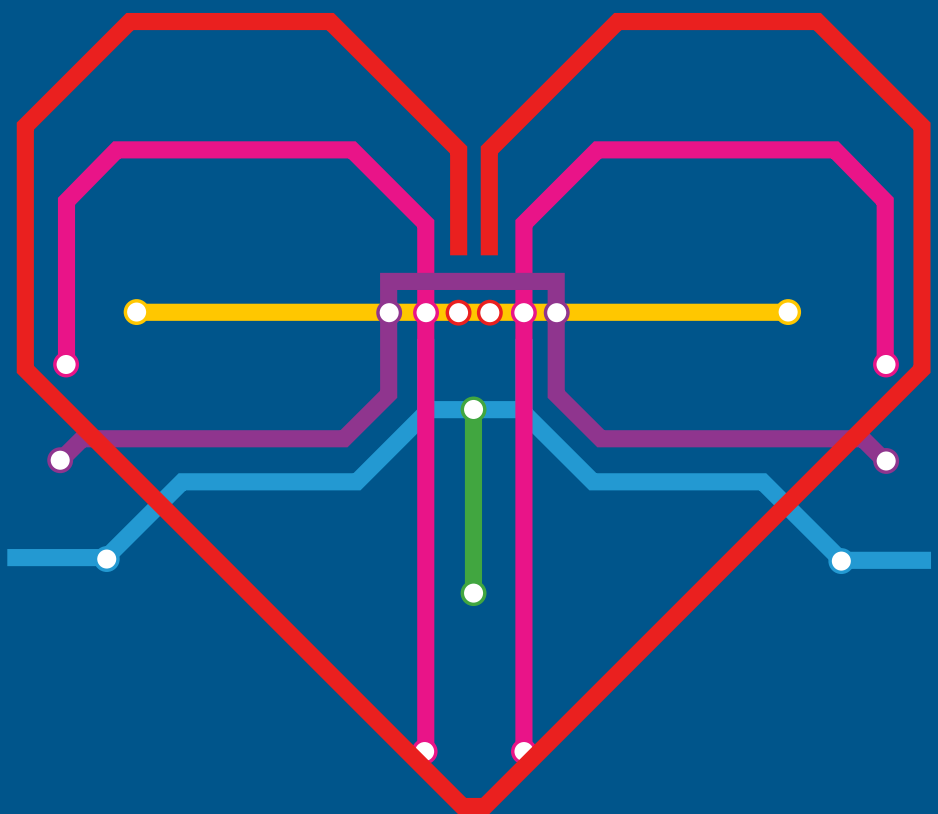
robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor | 32/0318/F

FUNDACJA GRUPY

PKP

Pomóż nam pomagać



Przekaż 1% na Fundację Grupy PKP

KRS: 0000499069

- **Pielęgnujemy** tradycję
- **Troszczymy się** o ludzi
- **Edukujemy** w zakresie bezpiecznych zachowań
- **Przeciwdziałamy** wykluczeniom i wspieramy potrzebujących
- **Wspieramy rozwój** szkolnictwa

eprasa.pl e7b333557f



TRENDY I OWĘDY

Muzeum Polin na tropie

W tej placówce kulturalno-oświatowej trwa poszukiwanie oznak antysemityzmu



Ryszard Makowski

Dyrekcja muzeum Polin wyznaczyła sobie niezwykle ambitne zadanie. Postanowiono udowodnić tezę, że marzec 1968 i marzec 2018 są bliźniacze, jeśli chodzi o stopień gnębienia w Polsce Żydów. Zorganizowano wystawę: „Obcy w domu. Wokół Marca '68". Jeden dr hab. poprowadził debatę pt. „Epidemie mowy nienawiści. Jak blisko Marca '68 jesteśmy?". Chyba to musi być ktoś wybitny, bo na swoje wypocinowe dociekania dostał od Narodowego Centrum Nauki grant w wysokości 2 mln zł. Przeprowadzono też panel o języku wykluczenia w mediach. W wyniku szeroko zakrojonej akcji jako przygważdżające dowody niechęci do Żydów znaleziono dwa tweety, fragment piosenki kabaretowej i ktoś tam się krzywo spojrzał, przechodząc obok muzeum.

A Marzec '68 miał różne oblicza. Młody aktor – parodysta z Kabaretu pod Egidą – podszył się pod politruka z KC i zadzwonił do profesora PWST Kazimierza Rudzkiego: „Towarzyszu profesorze, są rozruchy, zgłosicie się na dziedzińcu uniwersytetu. Musimy pokazać, że kadra jest z partią. Pałkę dostaniecie na miejscu". Wieczorem prof. Rudzki wpadł do kabaretu i wzburzony gestykulował, na co to sobie teraz pozwalają. Radości nie było końca. Może by w Polinie zamiast szukać czegoś, czego tak naprawdę nie ma, zrobić wystawę humoru żydowskiego. „Przy szabasowych świecach" czy coś w tym stylu. Pośmiejemy się razem, to nam zdecydowanie lepiej zrobi niż kreowanie niepotrzebnych podziałów.

Zawistowski prezentuje: Mundial



Głosy wielkanocne

Ścichły organy i ludzkie pienia
Zamarła cisza
– Ziemi i Nieba milczenie...

I moment – głos ten o świtaniu
Zew – Gloria Dnia Trzeciego
Dzwony napełniające
serca ludzi...
Ziemię i Niebo

Gwiazdko zawilca przybyła
w lesie
Na świat w to rano
– Widokiem świata oniemiała
Eskadro tarniny ponad parowem
– Dołączajcie
Do radości tej – Alleluja pospołu
Bez granic i poza granicami

Bowiem jak jest powiedziane
Ten który jest Zmartwychwstający
Z martwych wstał i dla nas
Dziś oto rano
Dnia Trzeciego
– Jak jest powiedziane



***Leszek* Długosz**

Wycinki z przeszłości

„Światowid" z kwietnia 1936 r. przynosił w numerze taki opis z połowy wieku XVI. To relacja Mikołaja Przonka, dworzanina hetmana Tarnowskiego, który opisywał w liście do żony święcone u mieszczanina krakowskiego za czasów króla Zygmunta Augusta.

„Stół okrągły, wielki dębowy, żeby stu ludzi około niego wygodnie siadło i jadło. Obrus na nim wielki, w krzyż zszywany.

Na sześciu misach srebrnych roboty wspaniałej, były mięsiwa wędzone wieprzowe z zad. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt okrągluchnych, kiełbasy najmniej po cztery łokcie, długie, a dziwnie pachnące, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnej barwie. Pomiędzy misami figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Poncjusz Piłat wyjmował kiełbasę z kieszeni Mahometowi, a wiadomo, że Żydzi i Turek nie jedzą mięsa wieprzowego.

Na samym środku stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki. Stało też wino w gąsiorkach, prawda szklanych, ale te gąsiorki stały w koszykach srebrnych wyzłacanych.

Pomijam inne drobniejsze rzeczy, by przystąpić do kołacza, grubego na dwie piędzi. Jakeśmy tylko weszli do izby, to nam już zapachniał przyprawami. Po brzegach wokół niego stały różne figurki, święci dwunastu Apostołowie, udani jak żywo".

Nasze święcone skromniejsze, ale czy mniej radosne?

(mk)



CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Ekskluzja zamiast dialogu

W poniedziałek 19 marca 2018 r. wybraliśmy się do Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin" na spotkanie „Język nienawiści – dyskusja z cyklu »Obcy w domu. Wokół Marca '68«".

Panelistami byli Andrzej Skworz, redaktor naczelny magazynu „Press" – moderator, prof. Dariusz Stola, dyrektor muzeum, prof. William Grueskin z Columbia University, Ewa Milewicz – była dziennikarka „Wyborczej", Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej" oraz Andrzej Stankiewicz z Onetu.

Zaczęło się obiecująco. Grueskin przedstawił rzeczowy wykład na temat zjawiska fake newsów. Stola ze swadą naszkicował komunikacyjny wymiar antysemickiej nagonki roku 1968 w PRL, wskazując, że ówcześnie także były fale fake newsów. A jednak późniejsza dyskusja, raz po raz wpadająca w dryf, beztrosko pogrzebała szansę głębszej rozmowy.



W muzeum Polin obejrzeliśmy pokaz niezdolności do rozmowy ponad podziałami

QUASI-DIALOG W POLINIE

Gdy tylko padły z sali trudne głosy: a to zarzut, że profil postaw polityczno-ideowych panelistów jest jednolity, że brak przedstawiciela prawicy; a to prośba o dookreślenie pojęcia „antysemityzm", które jest przecież i bolesnym zarzutem, i sposobem stygmatyzacji – nikt z panelistów nie stanął na wysokości zadania.

Nie sposób przecież poważnie potraktować odpowiedzi prof. Stoli, że poprosił o udział jednego znajomego z prawicy, ale ten odmówił. A już wyższościowe reakcje (w stylu: „Na to pytanie nie chce się odpowiadać") moderatora oraz pokrzykiwanie części audytorium w trakcie wypowiedzi Krzysztofa Bosaka, trudno określić inaczej niż jako żenujące. W ogóle mieliśmy wrażenie, że większość obecnych zachowywała się tak, jakby przybyła przede wszystkim dla przeżycia wspólnych, środowiskowych emocji, a nie w celu rzeczowego, publicznego namysłu nad trudnymi sprawami, ważnymi dla naszego społeczeństwa.

BEZ DEFINICJI ZERO DIALOGU

Rozmowa panelistów była poświęcona mowie nienawiści oraz antysemityzmowi w dzisiejszej Polsce – oglądanej w perspektywie wydarzeń marca 1968 r.

Jednak o ile prof. Grueskin zdefiniował pojęcia fake newsa i dzięki temu zdyscyplinował swój wywód, to paneliści nie uczynili nic podobnego z kluczowymi dla całej ich rozmowy pojęciami „mowa nienawiści" oraz „antysemityzm".

Prawdziwy dialog mogący łagodzić napięcia, rozmowa mająca chronić nas przed detonacją przemocy potrzebują w punkcie wyjścia – poza samą wolą rozmowy – zdefiniowania przynajmniej części tego, co kontrowersyjne. Dlaczego to takie ważne?

Definicje kluczowych pojęć wypracowane wspólnie albo chociaż zaproponowane przez jedną ze stron sporu narzucają pewną dyscyplinę rozmowy. Dzięki definicjom nie wymachujemy oskarżeniami jak maczugami. Definicje umożliwiają wyciąganie wspólnych wniosków, pomagają uzyskać poczucie odpowiedzialności za słowo. A przecież jednym ze źródeł mowy nienawiści jest brak właśnie takiej odpowiedzialności.

DYSTANS

Definicje budują dystans między nami a zjawiskami, które nas niepokoją. Dzięki definicjom oddzielamy język od tego, co za jego pomocą opisujemy. Często bez definicji – w tym zwłaszcza uzgadnianych w toku społecznych konfliktów – bywa, że to język (np. język naszych obsesji i lęków) mówi nami, a nie my w sposób racjonalny, wyważony się nim posługujemy. Definicje pomagają w tym, by z centrum zdarzeń – mówiąc szczerzej: z centrum naszych emocji – zrobić krok w tył i zrewidować nasz ogląd spraw. By zresetować swoje emocje i odświeżyć ogląd spraw.

W muzeum obejrzeliśmy pokaz niezdolności do rozmowy ponad podziałami. Tymczasem od dyskusji realizowanej, jak podaje strona Polin, dzięki wsparciu nowojorskiej organizacji Fellowships at Auschwitz for the Study of Professional Ethics należy oczekiwać więcej niż tylko ekspresji złych emocji. A do trudnych tematów trzeba moderatora większego formatu.

Gdy w reakcji na rzeczywisty i domniemany antysemityzm próbuje się w swoim własnym towarzystwie ćwiczyć nagonkę na rzeczywistych i domniemanych antysemitów, nie robi się kroku ku deklarowanym wartościom. Utwardza się co najwyżej swoje poczucie wyższości i osaczenia zarazem. Reprodukuje się chore pętle historii.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 37/0318/F | 48/0318/F

Już 3 kwietnia w tygodniku SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

SERIA DODATKÓW EDUKACYJNYCH



Zesłańcy, etnolodzy, pisarze, badacze Syberii i jej ludów

Bronisław Piłsudski • Wacław Sieroszewski • Edward Piekarski

PARTNER DODATKU

Energa

W każdy pierwszy poniedziałek miesiąca do końca roku kolejne odcinki o polskich wynalazcach, odkrywcach, innowatorach, którzy uczynili świat lepszym

eprasa.pl e7b333557f

Miliony do zdrapania!



W WIELKIEJ ZDRAPCE 777
do wygrania nawet
2 000 000 zł

Zdrapki

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl e7b333557f